

ANNA ROZENBERG

Gdy żądza przejmuje kontrolę, zbrodnia jest
kwestią czasu

DUSZE SPOPIELONE



ANNA ROZENBERG

DUSZE SPOPIELONE



HARDE
WYDAWNICTWO

Copyright © by Anna Rozenberg, 2023

Projekt okładki i grafiki: Daniel Rusiłowicz

Redaktor prowadząca dział fiction: Małgorzata Hlal;
mhlal@grupazpr.pl

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Redakcja: Zofia Rokita

Korekta: Maciej Korbasiński, Beata Wójcik

Zdjęcie Anny Rozenberg: Piotr Grzybowski

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023

ISBN 978-83-8343-189-5

Wydawca: TIME SA

ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Prolog

Rozdział I. 30.12.2013, poniedziałek

Świt

Rano

Popołudnie

Wieczór

Rozdział II. 31.12.2013, wtorek

Rano

Popołudnie

Wieczór

Noc

Rozdział III. 1.01.2014, środa

Rano

Południe

Popołudnie

Wieczór

Rozdział IV. 2.01.2014, czwartek

Rano

Południe

Popołudnie

Rozdział V. 3.01.2014, piątek

Rano

Południe

Popołudnie

Wieczór

Noc

Rozdział VI. 4.01.2014, sobota

Rano

Południe

Wieczór

Rozdział VII. 5.01.2014, niedziela

Rano

Południe

Popołudnie

Wieczór

Noc

Rozdział VIII. 6.01.2014, poniedziałek

Rano

Południe

Popołudnie

Noc

Rozdział IX. 7.01.2014, wtorek

Rano

Epilog

Podziękowania

Przypisy.

Łukaszowi – prawdziwie Wielkiemu Bratu

PROLOG

Czerwone bmw pięło się po spiralnym wjeździe na parking w Peacock Centre. Deborah wierciła się niespokojnie na siedzeniu pasażera, nie mogąc powstrzymać się od krytykowania kierowcy. Peter ignorował jej narzekanie i skupił całą uwagę na wąskiej drodze.

– Pospieszmy się, ślub jest za godzinę, a musimy dojechać do Brooklands. – Po raz kolejny spojrzała wymownie na zegarek, którego złota wskazówka bezlitośnie się przesuwała i była coraz bliżej południa.

– Mogliśmy odebrać ten prezent wcześniej – mruknął Peter, rozglądając się za miejscem parkingowym blisko wejścia do sklepów. Wiedząc, że za chwilę będzie taszczył wielkie pudło z zastawą stołową i srebrnymi sztucami, chciał zostawić samochód jak najbliżej filii Debenhamsa, który miał własną windę.

– Nie mieliśmy czasu – prychnęła Deborah.

– Ja nie miałem czasu, bo byłem w pracy do wieczora.

– Kto normalny pracuje w przedostatni dzień roku?

– A kto normalny urządza ślub tuż przed sylwestrem? – warknął Peter, ignorując komentarz żony. Pracował w księ-

gowości i na koniec roku miał akurat najwięcej pracy. – Mogłaś to załatwić, ale wolałaś robić sobie paznokcie!

– Wiesz przecież, gdzie i do kogo jedziemy – zachnęła się. – Ten ślub to towarzyskie wydarzenie. Nie tylko trzeba się pokazać, ale i wyglądać. – Rozłożyła osłonę przeciwsłoneczną, spojrzała we wmontowane w nią lustro i poprawiła woalkę przy kapeluszu. – A już na pewno nie wypada się spóźnić.

Peter pokonał ostatnią serpentynę parkingu. Ucieszył się, że na czwartym piętrze stał tylko jeden, za to bardzo ładny samochód. Mijając srebrnego bentleya, zatrzymał się gwałtownie.

– Wychodzi na to, że nie tylko my jesteśmy spóźnieni – skomentował pasażerów znajomej limuzyny.

– Co masz na myśli? – Deborah oderwała wzrok od torebki, w której zapalczywie czegoś szukała.

– Samantha i Alan też się spóźnią. – Peter nie krył rozbawienia. – I to na własny ślub.

– Pewnie się pokłócili. Wiesz, jacy oni są – skwitowała Deborah i z trzaskiem zamknęła torebkę, nie znajdując pożądanego przedmiotu.

Zaparkował dwa miejsca dalej, jakby w obawie, by nie zarysować luksusowego auta przyjaciół.

– To może lepiej im nie przeszkadzać? – zawahał się Peter.

– Oczywiście, że przeszkadzać – oburzyła się. – Może uda się ich pogodzić. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki skandal

wybuchnie, jeśli nie dojdzie do ślubu. Ratując go, możemy tylko zyskać – dodała i złapała za klamkę.

– Ja pójdę – powiedział na głębokim wydechu Peter, delikatnie łapiąc żonę za łokieć, po czym wysiadł z samochodu.

Mrugająca nad bentleyem jarzeniówka sprawiła, że nie mógł skupić wzroku na pasażerach, których twarze raz po raz znikwały za oświetloną ostrym światłem szybą.

Ale jednego był już pewny: Samantha i Alan nie dotrą na swój ślub.

ROZDZIAŁ I

30.12.2013, poniedziałek

Świt

Deszcz grał swą partyturę tak cicho, jakby tylko w wyobraźni. Inspektor David Redfern wiedział jednak, że pogoda się zmienia, czuł to w stawach, które od wielu dni milczały, a dziś obudziły go nieznośnym bólem. Angielska zima miała dziwny zwyczaj zmieniać swe oblicze właśnie z końcem roku. Zupełnie jak modowy konferansjer, który zapowiadał, w jakim stroju pojawi się w tym sezonie wiosna.

David odstawił duralexową szklanę, która pamiętała jeszcze przeprowadzkę Siwiaszczyka do Anglii.

Dziadek Redferna przywiózł wtedy wiele artefaktów rodzącego się w Polsce kapitalizmu.

Przyglądał się chwilę brązowemu szkłu, o którego starości świadczyły liczne rysy na błyszczącej powierzchni i małe wyszczerbienie na brzegu. Patrząc na nie, przypominał sobie łacińską sentencję: *Dura lex, sed lex*¹, od której produkt wziął nazwę. To zaprowadziło go do myśli, czy twarde ramię prawa kiedykolwiek zaciśnie się na Palaczu, który wciąż gdzieś się czaił.

W porysowanej powierzchni szkła odbijał się dowód zaufania do Malcolma Knighta. Komendant w jakiś magiczny sposób uzyskał dostęp do najważniejszego dowodu na aferę pedofilską, która ropiąła pod gładką skórą Woking. Ekran macbooka Ronalda Rudda oświetlał pogrążony w ciemności pokój. Inspektor Redfern przeczuwał, że dane zawarte w komputerze doprowadzą go nie tylko do zbrodniarzy, ale i mężczyzny, który od dawna go nękał.

Zza ściany dochodziło tylko pochrapywanie dziadka, który zmęczony ostatnim stresem sypiał teraz płycej, ale za to dużo dłużej. Wsłuchując się w rytm jego oddechu, David poczuł się winny. Bohdan miał wczoraj wyjechać z Wandą na krótki urlop do Walii. W okresie międzyświątecznym w Surrey History Centre nie było zbyt wiele do roboty, więc starszankowie mogli sobie pozwolić na odpoczynek. Jednak w ostatniej chwili dziadek odwołał wyjazd, wykręcając się sytuacją Marty Sokolińskiej i jej porwaniem. Ale David wiedział, że tak naprawdę Bohdan chce być blisko niego. I obiecał sobie, że gdy tylko wszystko się skończy, wyśle dziadków na zasłużone wakacje.

Na razie jednak nic nie wskazywało na to, by ciągnące się za nim sprawy miały się ku końcowi. Od kilku godzin wpatrywał się w tabele Excela, które wypełniały nic niemówiące mu zestawy liczb i liter.

Pogrążony w myślach nie zauważył, że drzwi do pokoju nieznacznie się uchylily. Do przytomności przywołał go dopiero cichy głos dziadka:

– Już nie śpisz czy jeszcze nie śpisz?

– Już – skłamał. – Mam dużo pracy.

– Za dużo – odparł dziadek i wszedł do środka. – Co z tym komputerem?

– Wciąż stoję w miejscu – westchnął David, zastanawiając się, czy powiedzieć mu o notatkach Adriana Bonesa, który w trakcie poszukiwań zaginionych dzieci natrafił na ślad jego siostry.

Obawiał się, że nie uda mu się długo utrzymać odkrycia starego przyjaciela w sekrecie. Zbyt mocno pochłaniało go poszukiwanie Dominique. Poza tym podskórnie czuł, że to wszystko gdzieś się łączy, a im dłużej obracał w palcach zagadki, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że przez każdą z nich przenikał cień Palacza.

– Zastanawia mnie ten skrót. – Wskazał na jedną z komórek w tabeli.

– 5W – przeczytał Bohdan i przysunął sobie krzesło. – Co mówi internet?

– Same ślepe zaułki. Jako pierwsze wyświetla się: *Women Welcome Women World Wide*, dalej pięć podstawowych pytań po angielsku oraz kod linii lotniczych.

– Nathan Wood wydrapał to na ramie swojego łóżka w ośrodku uzależnień The Priory – wyjaśnił. – Mam przecucie, że on coś wiedział. Szukałem połączenia między nim a Ronaldem Ruddem, ale nic nie mogę znaleźć. Stary dziennikarz i partner Bonesa nie mają punktów stycznych.

– Może spróbuj porozmawiać z jego matką?

– Wybieram się do niej po południu, ale najpierw chcę zajrzeć do szpitala.

Siwiaszczyk spojrział na zegar elektroniczny.

– Masz jeszcze dwie godziny – skwitował piątkę i dwa zera, które właśnie wyskoczyły na wyświetlaczu. – To może śniadanie? – zaproponował.

– Chyba na rozgrzewkę przejdę się z młodym. – David wskazał brodą na wsuwający się przez szparę w drzwiach czarny nos Bandita.

Szczeniak szczeknął na znak, że jest gotowy do wyjścia.

Redfern skierował swoje kroki w stronę Asdy. Okolice marketu wydały mu się bezpieczniejsze od zakamarków Princess Road, które Bandit eksplorował najchętniej. Nagle zdał sobie sprawę, że od momentu porwania Marty Sokolińskiej stale myśli o zagrożeniu, jakby czyhało za każdym rogiem. Palacz doprowadził do tego, że zwyczajnie zaczął się bać. Zły na swoją paranoję zawrócił.

Drobna mżawka osadzała się na twarzy, tworząc po chwili mokrą lodowatą warstwę. Jedyne Bandit, rażnie człapiąc przy nodze, zdawał się nie zauważać brzydoty aury. Osiadłe na jego sierści krople w świetle lamp zdawały się błyszczeć milionami diamentów.

Minęli dom i szli w stronę Old Woking Road, która nawet o tej porze odpychała nieustającym szumem przejeżdżających aut. Kątem oka zauważył przechodzącego przez jezdnię człowieka. Wzdrygnął się, ale kontrolne szczeknięcie Ban-

dita spowodowało, że odgonił czarne myśli i skręcił do ich ulubionego skweru. Wciąż mając w pamięci nocną kąpiel szczeniaka, tym razem nie spuścił go ze smyczy. Chodził pomiędzy drzewami, co rusz starając się wyplątać Bandita z krzaków, które piesek z lubością penetrował. Po kolejnej takiej gimnastyce postanowił, że wróć do domu.

Zbliżając się do numeru sto dziewięć, poczuł, że coś jest nie tak. I nawet nie chodziło o to, że każde z okien domu jarzyło się ostrym światłem. Najbardziej przeraziły go uchylone drzwi wejściowe. Puścił smycz Bandita i rzucił się wąskim chodnikiem w dół. Dopadł ganku i pchnął skrzydło tak mocno, że odbiło się od ściany.

– Dziadku! – krzyknął, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, wrzasnął ponownie: – Dziadku!!!

Wpadł do pokoju, ale zobaczył tylko niepościelone łóżko.

– Tutaj! – Usłyszał słaby głos Bohdana.

Pobiegł do łazienki i otworzył drzwi. Dziadek siedział na brzegu wanny, przykładając sobie do głowy ręcznik, którego spora część barwiła się na czerwono. Patrzył na Davida, ale ten nie znajdował w jego spojrzeniu ani krztyny przerażenia. W jasnym błękitcie tliły się jedynie iskry złości.

– Przyszedł tu – powiedział hardo staruszek.

David nie musiał pytać kto ani po co.

– Położyłem się jeszcze na chwilę i usłyszałem, że ktoś szarpie się z drzwiami. Myślałem, że zapomniałeś klucza, i poszedłem do przedpokoju. Ale on już tam stał. Wysoki,

w kapturze. Nie widziałem twarzy – uprzedził pytanie Davida. – Skurwiel ośmielił się zaatakować nasz dom.

David pierwszy raz od dziesięcioleci usłyszał, że Bohdan przeklina.

– Myślał, że dom jest pusty. Miałeś wyjechać...

– Ale skąd wiedział?

David popatrzył bezradnie na dziadka, nie znajdując żadnej logicznej odpowiedzi. Zyskał jednak pewność, że Palacz jest policjantem. Nikt poza gliniarzem nie mógł wiedzieć, że Knight pozyskał komputer i przekazał go inspektorowi Redfernowi. To musiał być ktoś z Woking. Albo z Londynu. Ta druga myśl go przeraziła.

– Jedziemy do szpitala – zakomenderował, zanim emocje zdołają przyćmić logikę.

– Mowy nawet nie ma! – zaprotestował dziadek i wstał. –

Nic mi, Dawidku, nie jest. W gruncie rzeczy facet tylko mnie pchnął, a ja poleciałem na ścianę. Nadziałem się na jeden z wieszaków. To wszystko.

Na dowód swoich słów dziadek odsunął ręcznik i zaprezentował rozcięcie na czole. Nie było duże, ale obficie krwawiło. David popatrzył na ranę sceptycznie. Wiedział, że ktoś powinien obejrzeć Bohdana w szpitalu, ale zdawał sobie sprawę, że nawet wołami go tam nie zaciągnie.

– Zrobię śniadanie – wydusił z siebie, czując wrzący w żyłach gniew.

Palacz zdobył wszystkie karty, nie zostawiając Redfernowi żadnej nadziei. Niechętnie zajrzał do pokoju – po mac-

booku nie było śladu. Podobnie jak po notatkach. Przez białą tablicę przebiegał wielokolorowy mazaj – wszelkie zapiski Redferna zamieniły się w niedającą się odczytać plamę.

Inspektor David Redfern został z niczym.

Rano

Rozdarty między wściekłością a szczęściem szedł szerokim korytarzem do sali, w której pragnął być i jednocześnie nie chciał. Gdy tylko przekraczał jej próg, zalewała go fala poczucia winy i wdzięczności zarazem. Dziękował niebiosom, że Marta wraca do zdrowia, ale obwinił się, że gdyby nie on, kobieta nigdy by nie znalazła się w szpitalu – pobita, zgwałcona i złamana.

– A pan znowu zabłądził. – Usłyszał za sobą ciepły, kobiecy głos.

Odwrócił się. Pielęgniarka wychodziła z jednej z sal i uśmiechała się przyjaźnie, kręcąc przy tym głową z niedowierzaniem. Redfern poczuł się głupio.

– Pani Marta nie leży już na intensywnej terapii – wyjaśniła.

– Dziękuję. To tak z przyzwyczajenia – odparł zakłopotany.

– Niech się pan lepiej przyzwyczajają do dobrego.

– Wolę nie – szepnął pod nosem i minął zdziwioną pielęgniarkę.

Pchnął drzwi, które pod naciskiem cicho zaskrzypiały. Marta miała pojedynczą salę z widokiem na las. Czubki sosen wcinały się w szary wciąż widnokrąg, tworząc za oknem niepokojący obraz. Jednak bardziej od złowrogiego krajobrazu Redferna martwiło to, co miał tuż przed sobą. Zrobił kilka kroków w stronę łóżka. Zielona pościel zdawała się przykrywać puste łóżko. Bezruch kobiety porażał. Jedy- nym ciepłym kolorem była czerwień jej włosów, ale w obli- czu smutku i pustki, jakie wyzierały z zielonych oczu, bladła i matowiała.

Z ulgą stwierdził, że wenflon zastąpił plaster. Oznaczało to, że Marta nie potrzebowała już środków przeciwbólo- wych.

Zerknął na komórkę, którą przyniósł jej kilka dni temu. Kupił kartę SIM i wpisał tylko swój numer telefonu, a po namyśle dodał też dziadka. Jednak prosty aparat z mono- chromatycznym wyświetlaczem i wielkimi przyciskami leżał dokładnie w tym miejscu, w którym go zostawił. David odwiedzał Martę codziennie, a mimo to wciąż nie wiedział, jak się zachować. Przysunął sobie krzesło do łóżka i usiadł. Spojrzał na szafkę nocną. Na jasnym blacie leżały nietknięte owoce i czekoladki, które przyniósł wczoraj, a tuż obok – taca z kolacją.

– Cześć – powiedział cicho.

Odpowiedziało mu tylko mrugnięcie oczu i lekki ruch kąćków ust, które zbliżyły się do siebie, demonstrując napięcie zapadniętych policzków.

Nie wiedział, co powiedzieć. Do głowy przychodziły mu wyłącznie banały, chociaż lekarz prowadzący poradził mu, że na tym etapie to najlepsze, co może zrobić. Jednak wydało mu się to głupie. Wbrew sobie szepnął:

– Musisz coś zjeść, żeby dojść do siebie. Spróbuj, proszę.

Sięgnął po tacę, ale Marta tylko na nią spojrzała i odwróciła się na lewy bok. David widział teraz już tylko jej włosy, rozsypane na zielonej poduszce. Westchnął cicho, ale nie zamierzał się poddać. Wstał i przeszedł na drugą stronę łóżka, biorąc ze sobą krzesło, na którym usiadł.

– Marto, proszę cię. Teraz to najważniejsze. Im szybciej nabierzesz sił, tym szybciej cię stąd wypuszczą.

W środku wszystko w nim krzyczało. Chciał jej powiedzieć, że jeśli nie zacznie jeść, to znów podepną jej kropłówkę, ale wiedział, że negatywne komunikaty tylko pogorszą jej stan.

– Gdy stąd wyjdiesz, pokażę ci Surrey, jakiego nie widziałaś. Pamiętasz mapę, którą ci dałem? Przemierzmy całe hrabstwo w poszukiwaniu najlepszego ciasta cytrynowego, pojedziemy do Surrey Hill i gdzie tylko będziesz chciała. Tylko błagam, spróbuj coś zjeść.

Dostrzegł, jak w kąciaku jej oczu pęcznieją łzy. Jedna nabrzmiała kropla opuściła dołek koło nosa i puściła się w dół, by po drodze połączyć się ze swoją bliźniaczką i razem zniknąć w poszewce poduszki, tworząc ciemną plamę. Wrzask, jaki jeszcze przed chwilą wypełniał jego głowę, zagłuszyła bezsilność.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję – powiedział i pogłaskał ją po głowie.

Zdawał sobie sprawę, że sam nie jest w stanie udźwignąć tego ciężaru. Idąc korytarzem, postanowił zajrzeć do lekarza prowadzącego. Znalazł gabinet i zapukał. Ze środka dobiegł go głos mężczyzny, który prosił, żeby wszedł.

Redfern odnosił wrażenie, że każdy gabinet lekarski jest kalką innego – naprzeciwko drzwi biurko i krzesło, za ścianką kozetka i mała umywalka. W tym brakowało tylko regału z książkami, który zastąpiła szafka z nagrodami. Starszy Hindus stał przy oknie i uważnie przyglądał się Redfernowi, który starał się w miarę spokojnie mówić, co go martwi.

– Mam wrażenie, że to kara dla mnie – podsumował wszystkie swoje obawy.

– Przeciwnie. – Lekarz pokręcił siwą głową. – To ochrona dla niej. Pani Marta musi przepracować tę traumę. Martwmy się tym, że nie chce jeść. Odrzuca każdy posiłek.

– To może kroplówka? – zaproponował nieśmiało.

– Próbowaliśmy, ale wyrwała sobie wenflon. Jak tak dalej pójdzie, będziemy zmuszeni przenieść ją na psychiatrię.

– Rozumiem. – Redfern westchnął ciężko. – Martwi mnie również to, że nie chce rozmawiać, totalnie zamknęła się w sobie.

– Proszę nie wymagać od niej zbyt wiele. – Lekarz usiadł za biurkiem. – Mutyzm u dorosłych praktycznie się nie zdarza. U pani Marty możemy mówić o mechanizmie obron-

nym. Poza tym dobrze by było, żeby pańscy koledzy przestali ją odwiedzać. To naprawdę tylko pogarsza sprawę. Marta potrzebuje teraz dwóch rzeczy – czasu i spokoju, z naciskiem na to drugie.

W Redfernie zawrzało. Nie zdawał sobie sprawy, że ktośkolwiek próbuje ją przesłuchiwać. Choć miał swoje podejrzenia co do personaliów tych osób, postanowił, że gdy tylko dotrze do komendy, postawi wszystkich do pionu.

Wracał do Woking okrężną drogą, częściej naciskając hamulec niż gaz. Szarość świtu powoli przeobraziła się w błękit, jakby na złość jego nastrojowi. Do rozpoczęcia pracy miał jeszcze ponad godzinę, ale uznał, że nic się nie stanie, jeśli pojawi się wcześniej. Miał do pogadania z kilkoma osobami.

Brama parkingu wyjątkowo długo skanowała rejestrację, jak gdyby wyczuwała, że jego tak wczesny powrót do służby był czymś odbiegającym od normy. Sceptycyzm urządzenia udzielił się także triumfowi, który wykonał kangurzy skok i spektakularnie zgasł na środku przejazdu. Redfern przekreślił kluczyk w stacyjce, ale rozrusznik milczał. Inspektor wysiadł z samochodu. Zanim zdążył zamknąć drzwi, pod zderzak podjechała znajoma škoda, z której wychynęła płowa głowa sierżantki Winter.

– Angielski król chce, by go wnieść na rękach? – zażartowała i nie czekając na odpowiedź, wysiadła z auta.

– Nie mędrkuj, tylko wskakuj za kierownicę – rozkazał, usiłując ukryć uśmiech.

– Lektyka *level master* – odparła Summer i wsiadła do triumpha.

Pchając maszynę pod spadzisty parking, Redfern dziękował niebiosom, że ważyła niewiele ponad osiemset kilo. Mimo to i tak się zasapał, czego sierżantka nie omieszkała skwitować:

– Widzę, że urlopik ci nie służył.

Inspektor obrzucił ją gromiącym spojrzeniem.

– A co tak wcześniej dzisiaj? – zapytał, gdy zbliżali się do schodów komendy.

– McMahon coś tam ode mnie chce – burknęła.

– Dlaczego nie mówisz o nim „ojciec”?

– Bo nigdy nim nie był. – Przystanąła i spojrzała na niego wrogo. – I nadal nie zasłużył na to miano.

Rozstali się przy gabinecie McMahona, którego podniesiony głos słyszeli, będąc jeszcze na schodach. Redfern poszedł prosto do Knighta. Zdawał sobie sprawę, że powinien do niego zadzwonić zaraz po kradzieży macbooka, ale wtedy czuł, że przede wszystkim powinien zająć się dziadkiem i opanowaniem własnych emocji, które ostatnio były wyjątkowo kiepskimi doradcami.

Drzwi do pokoju komendanta były uchylone. Kurtuazyjnie zapukał w futrynę i po cichym „proszę” wszedł do środka. Knight w szarym garniturze i błękitnej koszuli prezentował się świetnie, w żaden sposób nie zdradzając nie-

dawnych problemów ze zdrowiem. Paradoksalnie względem praw fizyki, Knight zdawał się czerpać energię z pracy.

– Powiedz mi, że ta mina nie oznacza kłopotów – przywitał go komendant, zanim zdążył zamknąć drzwi.

– Nie oznacza kłopotów, tylko totalne bagno. – Redfern bez zaproszenia opadł ciężko na krzesło przed biurkiem.

– Mów. Chyba nic gorszego od tego – wskazał na stos papierów na blacie – mnie nie spotka.

– Przypuszczam, że wątpię – mruknął Redfern, siląc się na żart. Spojrzał w kierunku drzwi, jakby nie był pewien, czy na pewno je zamknął, po czym wyrzucił z siebie: – Palacz włamał się do mnie do domu.

– Nie kończ.

– Zaatakował mojego dziadka. Jest coraz bardziej zuchwały.

– Raczej zdesperowany. – Knight się zamyślił. – Kto wiedział, że masz komputer?

– Tylko my dwaj i ktoś, od kogo wzięłeś kompa.

– Zheng – powiedział ze złością komendant.

– On jest po mojej stronie – zapewnił Redfern, tłumiąc w sobie niemile przeczucia.

– Szybko zmieniłeś o nim zdanie.

Redfern zastanawiał się, czy powinien obarczać przełożonego jeszcze swoimi osobistymi problemami. Na szali miał jednak stosunki z agentem Zhengiem, które wolał utrzymać na co najmniej poprawnym poziomie.

– Zheng mi pomaga w jednej sprawie.

– Z tego, co wiem, to jak na razie jedynie pomógł ci dostać się do aresztu na parę dni. Co sprawiło, że odzyskał twoje zaufanie? – Knight robił się coraz bardziej napastliwy.

– To długa historia. Generalnie pomaga mi odszukać siostrę.

Knight uniósł brew w oczekiwaniu na ciąg dalszy, który nastąpił po krótkiej pauzie.

– Latem osiemdziesiątego dziewiątego ktoś porwał moją siostrę – Redfern rozpoczął z trudem. – Byliśmy razem z Adrianem Bonesem nad zbiornikiem Harlaw. W Szkocji – dodał, gdy Knight ponownie uniósł brew. – Dominique poszła do toalety, ale nigdy z niej nie wróciła. Wszyscy utrzymywali, że musiała się iść kąpać bez nas i utonęła. Rozmawiałem jednak z dziewczyną, która twierdzi, że ktoś wepchnął Dominique do samochodu i odjechał. Białe volvo, tyle wiem.

– Czy dobrze rozumiem, że byłeś tam z tym Adrianem Bonesem, którego w lipcu zastrześliłeś w katedrze Guildford? – dopytał niepewnym głosem Knight.

Redfern kiwnął głową, po czym odezwał się:

– On coś wiedział, Malcolm. Wiedział o mojej siostrze, wiedział o dzieciach z Woking. Pracował nad tym, gdy jeszcze siedział w NCA – mówił coraz głośniejszym głosem, dając się ponieść narastającej frustracji. Nagle zorientował się, że stoi. – I jeszcze jedno. Ja go nie zabiłem.

– Usiądź, Dave – poprosił spokojnie Knight, przecierając dłonią zmęczone czoło. Odepchnął się od biurka i wstał.

Podszedł do szafy i otworzył ją. Redfern spodziewał się, że otrzyma jakiś formularz. Tymczasem komendant postawił przed inspektorem Regal Chivas i dwie szklanki. Nie patrząc na podwładnego, nalał whisky i gestem zachęcił do wypicia.

Redfern wychylił całą zawartość naczynia i przyglądał się z uwagą spływającemu po ściankach płynowi.

– Chyba nie masz wątpliwości, że stoisz po uszy w bagnie?

– Powiedziałem ci to od progu. – Redfern skrzywił się i odstawił szkło. – Wszystko to się łączy: porwanie mojej siostry, śmierć Bonesa, Ronald Rudd i siatka pedofilska w Woking, cholerny Palacz, który pogrywa ze mną od dawna. To musi być ktoś stąd.

– Byłbym ostrożny z takimi wnioskami. Jeśli pogubisz się w oskarżeniach, zapędzisz się w ślepią uliczkę.

– Bronisz stadka do końca?

– Przeciwnie. Mówię tylko, że musisz być ostrożny. I to z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby zbyt szybko skurczybyka nie spłoszyć, a po drugie i chyba najważniejsze, żebyś, strzelając oskarżeniami, rykoszetem nie trafił przyjaciół.

– Nie mam przyjaciół – odparł sucho, choć nie było w tym wyrzutu, a raczej wyznanie, które wypowiedziane na głos dziwnie nim wstrząsnęło. Pomyślał, że poza Siwiaszczykiem nie ma nikogo. Dziadka nie mógł jednak nazwać przyjacielem. Owszem, był najbliższą mu osobą, wsparciem, logistyką życia, ale David musiał się przede wszystkim o niego troszczyć, osłaniać go i oszczędzać. Nie mógł mu

powiedzieć, co tak naprawdę go męczy. Usiąść i po męsku pogadać. Wciąż obwiniał się, że mimo starań nie udało mu się w pełni ochronić staruszka.

– Co zrobimy z komputerem? – zapytał Knighta.

– Będę to utrzymywać w tajemnicy najdłużej jak się da.

– Myślisz, że ktoś zrobił kopię dysku?

– Nawet nie zaryzykuję takiego pytania, choć znając tych z agencji, niczego takiego nie zrobili. – Knight nalał sobie drugą kolejkę. Gestem zaproponował Redfernowi to samo, ale odmówił. Inspektor patrzył, jak twarz przełożonego robi się coraz bardziej czerwona, i zastanawiał się, w jak złym położeniu musiał się znajdować komendant, że uciekał się do takich tanich zagrywek jak picie na służbie.

– Docisnęli cię, co?

– Docisnęli? – zapytał i z hukiem odstawił szklanę na biurko. – Raczej zmiażdżyli. Z końcem kwietnia odchodzę na emeryturę.

– Nie możesz! – Redfern wyprostował się gwałtownie.

– Muszę – odparł komendant i usiadł z powrotem na swoim krześle. – Potrzebują kozła ofiarnego, a takiego starego capa jak ja nie żal odstrzelić. Ale to naprawdę drobiazg – dostanę medal, jakąś błyskotkę z grawerem i odejdę w chwale, psia jego mać.

Knight zamilknął i nalał sobie kolejkę, po czym zakręcił butelkę, oznajmiając tym samym koniec imprezy. Dopijając resztkę trunku, skrzywił się i przetaił usta chusteczką. Gdy skrawek materiału znów wylądował w jego kieszeni, twarz

komendanta stężała. Pierwotna złość ustąpiła miejsca czemuś, co Redfern podciągnął pod strach.

– To, co teraz powiem, musi pozostać w największej tajemnicy – odezwał się w końcu. – Wiesz, ile ciał znaleziono w spalonych magazynach?

– Trzy – odpowiedział Redfern, czując rozchodzącą się po ustach suchość.

– Jedenaście.

Tym razem inspektor wstał i zaczął nerwowo chodzić po gabinecie. Przeraziła go nie tylko liczba, ale i fakt, że jak dotąd nikt się o tym nie dowiedział.

– Chcesz mi powiedzieć, że ktoś zamordował i pochował na terenie starych fabryk jedenaścioro dzieci?

Komendant skinął twierdząco głową.

– Jak udało się to utrzymać w tajemnicy?

– Standardowo. Agencja rzuciła prasie jakieś ochłapy, na których pismaki żerują do dzisiaj. Odnalezienia pierwszego dziecka nie udało się zataić, bo, jak wiesz, podejrzewano, że to Iza Wolańska. Reszta otrzymała klauzulę tajności, ale i bez tego nikt nie puści pary z gęby. Każdemu zależy, by dorwać skurwieli, którzy to zrobili, więc siedzą cicho. Każda informacja na ten temat mogłaby przekreślić możliwość ich złapania. Mamy do czynienia z jakąś siatką, mafią. Nazwij to, jak chcesz. Możliwe, że to właśnie na jej ślad wpadł Bones.

– Co na to agencja?

– Zaryli się w papierach, przeglądają dane zaginionych dzieciaków z ostatnich dziesięciu lat. Jak na razie zero tra-

fień.

– Bo to dzieci znikąd – wyrzucił z siebie Redfern. – Przywieziono je tu z jakichś odległych zakątków świata, w których rodzice dostali za nie kilkaset dolarów.

– Albo z tutejszych gett.

– Nie lubię tego określenia. – Inspektor się skrzywił.

– A jak nazwiesz te umownie zamknięte dzielnice większych miast? – Knight wykonał palcami w powietrzu cudzy słów.

– Nie wiem, ale getto źle mi się kojarzy – odparł. – Myślisz, że to możliwe, by tu też sprzedawano dzieci?

– Nie zdziwiłbym się, zwłaszcza dziewczynki, które w oczach niektórych są bezwartościowe.

Redfern westchnął i pomyślał o siostrze. Wzdrygnął się na samą myśl, że gdyby urodziła się w innej rodzinie, to tę wspaniałą, wrażliwą i inteligentną osobę ktoś mógłby uznać za bezwartościową tylko dlatego, że była dziewczynką. Jednocześnie pomyślał o małej Kate Rudd, która została porwana z placu zabaw, zupełnie jakby była towarem, który ktoś wcześniej zamówił. Potem o pięcioletniej Izie Wolańskiej, której porywacz działał właśnie w ten sposób.

– Nie wierzę w przypadkowość tych porwań. Ronald Rudd też nie wierzył, dlatego zostawił nam ten komputer.

– Agencja uznała Rudda za szaleńca, któremu coś się ubzdurało. Porwał Wolańską, zabił Malika oraz Abbasich.

– Przecież to właśnie on zlecił porwanie małej Izy, żeby odkryć, kto zabił jego wnuczkę – obruszył się Redfern. –

Udało mu się. Dzięki niemu odkryliśmy dzieci w magazynach. Co oni pieprzą?

– Tak jest lepiej dla opinii publicznej i dla samej sprawy – Knight mówił spokojnie, alkohol najwyraźniej zrobił swoje.
– Prawda jest taka, Dave, że lepiej mieć w mieście jednego wariata niż siatkę pedofilów. Dlatego sam musisz się przyrzec byłemu dziennikarzowi. Jak na razie jego dom jest przez nas zabezpieczony.

– Mam rozumieć, że to nieoficjalne śledztwo?

– Raczej ściśle tajne.

– Tinney? Summer?

Knight tylko pokręcił przecząco głową, zaciskając usta. Redfern poczuł się nieswojo, widząc zaciętość w twarzy komendanta. Brak ufności do zespołu całej komendy utwierdził go w przekonaniu, że przełożony się boi, a strach i podejrzliwość stanowiły mieszankę wybuchową, nie były najlepszym paliwem działań.

Liczba tajemnic zaczynała Redferna przerastać. Obiecał komendantowi ostrożność. Już chciał się pożegnać i wyjść, ale coś mu się przypomniało. Odwrócił się i spojrzał poważnie na Knighta.

– Dobrze by było, żebyście przestali nękać Martę Sokolińską – oznajmił ostro.

– Dobrze by było, żebyś spuścił z tonu. Nikogo nie wysyłałem do szpitala. Są, do cholery, jakieś granice. Jeśli nie będziesz mi ufał, to daleko nie zajedziesz, Dave.

Szedł korytarzem, zastanawiając się, czy w ostatnim zdaniu komendanta zawarta była rada, czy raczej przestroga. Zbyt mocno był jednak przejęty stanem Marty, by to teraz analizować. Roboczo przyjął, że Knight jest po jego stronie.

Zanim zdążył przekroczyć próg swojego biura, poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Odwrócił się gwałtownie i stanął oko w oko z Gregorym McMahonem.

– Nie rozsiadaj się – powiedział przełożony z satysfakcją.
– Mamy sprawę. Za pięć minut zbieramy się w konferencyjnej.

– Dzień dobry, Greg – Redfern odchrząknął, nie podobał mu się jego ton. – Daj mi chwilę, bym chociaż zdążył zobaczyć, ile z moich rzeczy zdążyłeś wyrzucić. Meble też już ustawiłeś według swojego feng shui? – Inspektor czuł, że nie panuje nad sobą.

– Nie widziałem takiej potrzeby – odrzekł zimno McMahon.

– No racja. Po co się przeprowadzać dwa razy?

– Jeśli chodzi o Knighta, to raczej nie ja będę się przeprowadzać – rzucił i ruszył w głąb korytarza. Po chwili odwrócił się i dorzucił: – Ale masz rację, pasowałoby wyrzucić parę rzeczy z tego burdelu.

Począwszy od ciebie, pomyślał inspektor z furią i wszedł do siebie.

Pokój zdawał się zawieszony w czasie. Zupełnie jakby ostatnie trzaśnięcie drzwiami przez Redferna nacisnęło niewidzialny przycisk pauzy. Nawet roleta została dokładnie

w tym samym miejscu, nie mogąc się zdecydować, czy chce w całości zniknąć w obudowie. Tylko pusty kosz na śmieci i smugi po detergencie na słuchawce telefonu świadczyły o wizytach sprzątaczk. Zawalony papierami blat nie dawał jej pola do manewru, więc pomiędzy stosami dostrzegł czapki kurzu, który kolejnymi warstwami odmierzał nieobecność Redferna. Krótkie migawki wspomnień powoli odmrażały obraz. Ostatni raz był tu szóstego grudnia, próbując dociec, kto zabił Kennetha O'Malleya. Usiadł przy biurku i zerknął na porozrzucane kartki, przypominające mu szczegóły morderstwa starego hodowcy koni. Spod nich wystawało znajome logo. Redfern wiedział, że powinien odwiedzić Lindę Wall, która od kilkunastu tygodni przebywała w murach kliniki uzależnień. Kiedy pomyślał o wszystkich tych miejscach, do których będzie musiał zajrzeć w tym tygodniu, poczuł się przytłoczony.

Przelatujący za mleczną szybą cień przypomniał mu, że miał iść na zebranie.

Wszedł do konferencyjnej, którą natychmiast wypełniły oklaski. Redfern uniósł dłoń, dając znać, żeby przestali. Pośród rozradowanych twarzy kolegów wyłapał zniesmaczone spojrzenie McMahona, który stał u szczytu stołu. Gdy entuzjazm policjantów ostygł, inspektor usiadł obok Tinneya, a ten po przyjacielsku poklepał go w ramię.

– Skoro powrót Lassie mamy za sobą... – rozpoczął dobitnie zastępca komendanta.

– Raczej wejście smoka – teatralnie szepnął Tinney, a policjantka obok zaśmiała się cicho.

– ...to możemy zająć się poważnymi rzeczami – dokończył Greg, udając, że nie usłyszał komentarza. – Sierżantko Winter, proszę o raport.

Summer wstała lekko zaczerwieniona, ale nie zmieszana. Redfern odczytywał na jej twarzy niedawną wściekłość.

– Dwa ciała – powiedziała bez emocji i zajęła miejsce McMahona. Uruchomiła wiszącą na ścianie tablicę interaktywną i wyświetliła na niej dwa zdjęcia. – Samantha Grant, lat dwadzieścia siedem, i Alan Barker, lat trzydzieści pięć. Znalezieni na parkingu należącym do galerii handlowej Peacock Centre. Przyczyna śmierci: uduszenie.

Summer pokazała następny slajd przedstawiający wnętrze luksusowego samochodu. Ujęcie od strony kierowcy przedstawiało bruneta w smokingu z odchyłoną do tyłu głową. Tuż nad elegancko wymodelowanym musznikiem malowała się dość cienka, podbiegnięta krwią pręga.

Kolejne zdjęcie przedstawiało szczupłą blondynkę w kremowej sukience z podobną raną na szyi. Oboje mieli zamknięte oczy i dłonie ułożone na kolanach.

– Dwóch sprawców – rzucił ktoś z sali.

– Też mi się tak wydaje. Wsiedli na tylne siedzenie i zarzucili ofiarom pętle na szyje – wysunął przypuszczenie Tinney.

Redfern słuchał pomysłów kolegów i czuł, jakby w krwio-
bieg wtlaczano mu świeżą krew. Rozpędzona wypełniała żyły
nową energią. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brako-
wało mu tej pracy, tych spotkań, wymiany myśli.

– Co łączyło tych dwoje? – zapytał.

– Tego dnia mieli się pobrać – oznajmiła Summer, a przez
salę przebiegł ponury pomruk.

– Cholernie okrutne – podsumował Tinney.

I wyrachowane, pomyślał Redfern. *To nie tyle egzekucja, ile
wiadomość.*

Zanim jednak podzielił się tą myślą z zespołem, zapytał:

– Co wiemy o tej dwójce?

– Samantha jest programistką u Barclays'a, a Alan dyrek-
torem Brooklands Museum.

– Nieźle, ale skąd Bentley?

– To podobno prezent ślubny od rodziców panny młodej.

– Grubo. – Tinney gwizdnął z uznaniem i zanotował coś
w telefonie.

– Raczej cienko, biorąc pod uwagę, że niedoszli teściowie
Samanthy szarpnęli się dla nich na dom w Horsell – dorzu-
ciła Summer.

– Festiwal przepychu i licytacja na prezenty. Witajcie na
angielskim weselu – skwitował Tinney.

Sierżantka wyświetliła kolejne zdjęcie. Szeroka perspek-
tywa ukazała luksusowy samochód, który stoi na ostatnim,
pozbawionym dachu piętrze parkingu. Ponury żart angielski-

skiego słońca sprawił, że oświetlony był tylko tył bentleya, a na kabine, w której siedziały ofiary, padał mroczny cień.

– Co wiemy na pewno? – zapytał McMahon.

– Niewiele. Z odczytów systemu parkingowego wynika, że wjechali o dziewiątej jedenaście.

– Czyli chwilę po otwarciu – dodał ktoś z sali, a Summer potwierdziła skinieniem głowy, po czym dodała:

– Od razu uprzedzę pytania: tam nie ma kamer, są tylko przy wjeździe i na parterze.

– Windy?

– W windach są, ale nic nie zarejestrowały. Parking ma być niebawem remontowany, pewnie wtedy zamontują więcej.

– Czyli nic nie mamy – podsumował z lekką rezygnacją Redfern. Czując na sobie wzrok McMahona, dodał: – Zacznijmy zatem od najbliższych. Summer, ty weź rodzinę panny młodej, a ja pana młodego. Tinney, ty spróbuj coś wyciągnąć z ochrony obiektu, zadzwoń też do Teda, może coś ma.

– Szykuje się pracowity sylwester – skomentował młody policjant, a inni mu zawtórowali niemrawym pomrukiem.

Przez myśl Redferna przemknęło powiedzenie Siwiaszczyka, że jaki sylwester, taki cały rok, ale nie śmiał się nim podzielić z resztą zespołu, który i tak już wydawał się dostatecznie przybity.

Kurhany rozstrzelonych po niebie ciężkich chmur zapowiadały przygnębiający dzień. Redfern patrzył na ponury krajobraz za oknem swojego biura, zastanawiając się nad słowami Knighta. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że komendant nie mówi mu wszystkiego. Z żalem musiał przyznać, że musi postępować ostrożnie i niezwykle precyzyjnie także w kontaktach z nim. Najbardziej uwierała go myśl, że będzie musiał trzymać na dystans Summer Winter, z którą pracowało mu się całkiem nieźle. Ostatnia rozwiązana przez nich sprawa utwierdziła go w przekonaniu, że tworzą naprawdę zgrany zespół. I mimo początkowej niechęci Redferna do takich rozwiązań sierżantka mogłaby być jego partnerką na stałe.

Jak na zawołanie młoda policjantka stanęła w drzwiach jego pokoju.

– No to co? Podrzucić cię do Grantów? – zapytała entuzjastycznie.

– Podrzucić? – zdziwił się Redfern.

– No przecież nie pchać.

– Cholera, z tego wszystkiego zapomniałem, że triumph się rozkraczył.

Chwilowa złość ustąpiła zadowoleniu z takiego obrotu spraw. Ucieszył się, że dzięki awarii samochodu nie będzie dziś pracował sam.

– Zaraz się zbieram. Spotkamy się na parkingu.

– Nie spiesz się – powiedziała z dziwną troską i zniknęła za drzwiami.

Redfern ułożył dokumenty w stos, a przesuając go na brzeg biurka, jego wzrok ponownie przykuł rachunek wystawiony przez szpital. Postanowił, że zanim zanurzy się po uszy w kolejnej sprawie, zadzwoni do jednego z pracowników. Wyciągnął z portfela wymiętą wizytówkę i wybrał na komórce numer.

– Pan Fowora? – zapytał, gdy tylko uzyskał połączenie.

– O, pan Redfern. – Usłyszał przyjemny głos pielęgniarki.

– Co słychać?

– Nic nowego – skłamał gładko. – Słyszałem, co się stało w Priory.

– W sumie na dobre mi to wyszło – odparł. – Pracuję teraz w Woking Hospice i jest naprawdę dużo spokojniej. W Priory nie dało się już wytrzymać, ale chyba potrzebowałem solidnego kopa, by to zrozumieć i coś zmienić.

Redfern chwilę ważył słowa Adekunle Fowory, zastanawiając się, ile kopów sam musi przyjąć, by wziąć życie w swoje ręce.

– Panie Redfern? – doszło go nagle. – Wszystko okej?

– Tak, oczywiście – zapewnił gorliwie. – Dzwonię, bo chciałbym pana jeszcze zapytać o Adriana Bonesa i Nathana Wooda. Czy znalazłby pan chwilę, by się ze mną spotkać?

– Jasne. Późnym popołudniem jadę oddać książki do biblioteki, to możemy się tam spotkać.

– O osiemnastej?

– Pasuje – potwierdził Fowora. – I jeszcze jedno: proszę mówić mi Ade. Do zobaczenia – dodał i rozłączył się.

Dźwięk odkładanej na biurko komórki zlał się z cichym pukaniem do drzwi. Redfern zaprosił gościa do środka krótkim „proszę”. Nie był zaskoczony, gdy w progu zobaczył McMahona.

– Można? – zapytał zastępca komendanta, wchodząc.

– Jasne – burknął Redfern. – Siadaj.

McMahon zajął miejsce przed biurkiem, opierając się całym ciężarem o podłokietnik. Redfern przełożył komórkę na róg blatu i spojrzał na policjanta, który wyglądał, jakby próbował zagrać Malcolma Knighta, dbając o każdy szczegół, zwłaszcza o zafrasowaną twarz.

– Czy komendant zdradził ci szczegóły...

– Nie – uciął Redfern, zanim pytanie wybrzmiało do końca.

– Nie ściemniaj. – McMahon przechylił się na drugi bok, wbijając w inspektora groźne spojrzenie. – Masz minę dużo gorszą niż wtedy, gdy do niego wchodziłeś, więc raczej powiedział ci coś więcej niż tylko o swojej nie do końca planowanej emeryturze.

– No dobra, wiem o dzieciakach i że sprawa jest wrażliwa jak spust Barretta. – Redfern poddał się bez walki. Nie podobała mu się bezpośredniość Grega, ale czuł, że stoi za nią swego rodzaju panika, na której mógł coś ugrać. Popuścił więc lejce i dał pognać tej rozmowie własnym rytmem. Nie zawiódł się.

– Każde z dzieci miało zupełnie inny zestaw obrażeń – wydusił z siebie McMahon. – Odrzuciliśmy więc działania

seryjnego. Ponadto pierwsze z nich najprawdopodobniej zginęło jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, może trochę wcześniej. Wyniki badań nigdy nie są jednoznaczne.

– Wiem – szepnął sucho.

Myśl o siostrze niczym batog spowodowała, że Redfern mimowolnie się podniósł. Coraz więcej poszlak potwierdzało jego najgorsze przeczucia odnośnie do tego, co stało się nad zalewem Harlaw. Przez jedną krótką chwilę zastanawiał się, czy mówiąc to, McMahon celowo kierował rozmowę na ten tor? Czy przeświecił Redferna na tyle skrupulatnie, by dowiedzieć się o zaginięciu Dominique?

Greg nachylił się, zmieniając wyraz twarzy na jeszcze bardziej zacięty.

– Jak wiesz, NCA odebrało nam sprawę, uważając, że jesteśmy na to za krótcy, ale ja uważam, że tylko ktoś, kto świetnie zna ten teren, może się po nim poruszać tak bezszelestnie jak banda tych bydlaków – mówił, cedząc każde słowo. – Tylko my mamy szansę ich dorwać.

Redfern zyskał pewność, że zastępca komendanta nie zamierza grać kartą jego osobistych tragedii. Chodziło o coś zupełnie innego, ale nie zamierzał mu tego czegoś dać.

– Dlaczego nie wzięłeś sprawy tej dwójki z bentleya? – zapytał Redfern ostro. – Knight wrócił, więc nie musisz już przeżyć mięśni przed górą.

McMahon zacisnął usta, jakby nie zamierzał odpowiadać albo zastanawiał się nad doborem słów. Redfern postanowił mu to ułatwić.

– Chcesz powęszyć wokół magazynów czy może morderstwo narzeczonych jest za mało dramatyczne?

– Raczej za bardzo. – McMahon westchnął krótko, ignorując oczywistą zaczepkę. – Ta dziewczyna to moja chrześnica.

– O cholera! – Redfern wzdrygnął się, w myślach besztając samego siebie za głupi atak. – Czyli znasz jej rodziców. – Ukrył zakłopotanie za oczywistością.

– Rose i Edward to moi przyjaciele, świetni ludzie – wyznał Greg. Gdzieś na ostatniej sylabie jego wypowiedzi drżał głęboki smutek. – Kurewsko mi ich żal, nie zasłużyli na taki cios od losu. Dlatego to ty musisz się tym zająć i znaleźć tego skurwiela, który to zrobił.

– W porządku. Właśnie z Summer jedziemy do nich. Ona też ich zna?

– Nie. I dobrze by było, żeby się nie dowiedziała.

– Będiesz na liście gości – inspektor wyraził wątpliwość.

– Nie będę – McMahon rzucił twardo i znów zmienił pozycję, zupełnie jakby uwierało go nie tylko krzesło, ale i zachowanie Redferna. Widząc zmrużone oczy Davida, dodał: – Nie zostałem zaproszony.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– Nie możesz – syknął. – Po prostu dopilnuj, by moja córka nie dowiedziała się, że znałem Samanthę.

– Myślisz, że może jej coś grozić? – Redfern zaczynał składać elementy do kupy.

– To nie tak. – Greg pokręcił głową, roztrzaskując teorię inspektora. – Po prostu dopilnuj wszystkiego – poprosił zmęczonym głosem, po czym wstał i jakby uginając się pod własnym ciężarem, powoli skierował się do wyjścia. – Dzięki – rzucił na odchodne i zniknął za drzwiami.

Redfern zerknął na zegarek i zaklął cicho. Chciał jeszcze zapytać McMahona o jego związek z ofiarami, ale zamiast tego zatrzaskał za sobą drzwi i rzucił się biegiem przez korytarz.

Summer stała przy samochodzie z zaciętą miną.

– „Nie spiesz się” znaczyło zjedź spokojnie, a nie: zjedz lunch, napisz raport i pokłóć się z McMahonem.

– Zdażyłem się z nim nawet pogodzić – odparł bez troski i chwycił za klamkę.

Summer obrzuciła go niepewnym spojrzeniem, ale nie skomentowała. Wsiadła do auta i uruchomiła silnik. Ustawiała dmuchawę na szybę, którą pokrywała warstewka pary. Redfern zajął miejsce pasażera i zanim wyruszyli, otworzył teczkę z zapiskami sierżantki.

– Sporo zebrałaś w tak krótkim czasie – pochwalił podwładną.

– Bo w przeciwieństwie do ciebie...

– Dobra, zrozumiałem aluzję. Mam dużo na głowie, okej?

– Może się tym podziel, to będzie ci lżej – zaoferowała i włączyła się do ruchu na Victoria Arch.

– Innym razem – odparł sucho. – Teraz skupmy się na sprawie.

Summer przewróciła oczami, prychnąwszy cicho pod nosem coś, co w głowie inspektora ułożyło się w: cały ty. W duchu przyznał jej rację.

– Co wiemy o ślubie?

– Hucznie, ale elegancko – odparła szybko i dodała: – Miał się odbyć w muzeum motoryzacji w Brooklands.

– Osobliwe miejsce.

– Ojciec pana młodego tam patronuje, więc z organizacją nie było problemu.

– Tam miały miejsce pierwsze wyścigi samochodowe na świecie. Tysiąc dziewięćset drugi.

– To chyba ten twój triumph brał w tym udział, co?

– Nie.

– Dobra, wracaj do teraźniejszości, bo mamy do przepytania ponad setkę gości.

Zaparkowali na ponurej i nieco odpychającej Mabel Street. Mając w pamięci zdjęcia z miejsca zbrodni i luksusowy samochód, Redfern spodziewał się okazałej willi z ogrodem większym niż Goldsworth Park. W rzeczywistości stali przed plastrem domu wciśniętym pomiędzy inne, identyczne plasterki. Inspektor nie mógł pozbyć się wrażenia, że zderzak zaparkowanej wzdłuż chodnika octavii wystaje poza obrys lokum państwa Grant. Summer Winter najwyraźniej miała podobne odczucia. Otaksowała wzrokiem budynek, po czym spojrzała pytająco na Redferna.

– *Keep up with the Joneses?*² – puściła pytanie na wiatr, który wzmagał się z każdą sekundą.

Inspektor uznał, że odpowiedź na stare przysłowie jest o tyle oczywista, co zbędna. Nie tylko Polacy wyznawali zasadę: „zastaw się, a postaw się”. Widząc na podjazdach drogie samochody, obserwując w sklepach multum ludzi ubranych ponad stan, zdawał sobie sprawę, że to wszystko widnieje na comiesięcznym wyciągu coraz bardziej zadłużonej karty. Banki pobierały zbrodniczy procent od spełniania głupich ambicji.

– Chodźmy – zakomenderował, otrząsając się z ponurych przemyśleń.

Summer ruszyła przed nim i gdy znaleźli się przy drzwiach, nacisnęła dzwonek dyskretnie wtulony w porastający ścianę bluszcz. Po chwili usłyszeli trzask zwalnianej zasuwy i chrzęst dwóch zamków. Państwo Grant najwyraźniej się bali.

– Dzień dobry – rozpoczął, jak najcieplej potrafił. – Nazywam się David Redfern i jestem inspektorem tutejszej policji. Pani Rose Grant?

Kobieta tylko skinęła głową i wpuściła ich do środka. Dom był tak mały, że przedpokój stanowiła niewielka przestrzeń wydzielona z salonu przez stojącą tyłem do nich kanapę. Rose Grant wydawała się zakłopotana. Mogła mieć nie więcej niż pięćdziesiąt pięć lat, ale wykrzywione płaczem usta i wypełniające każdą najdrobniejszą zmarszczkę łzy przekreślały jej niezaprzeczalną urodę.

– Proszę się rozgościć – szepnęła zachrypniętym od szlochu głosem. – Mąż jest w sypialni. Zaraz do państwa dołączymy.

Mówiąc to, weszła na ciągnące się wzdłuż ściany półotwarte schody i po chwili zniknęła na ich szczycie. Trzaski drewnianego stropu rozdarły pograżony w cichej żałobie dom.

W pokoju panował podszyty wilgocią, dojmujący chłód, który Redfern natychmiast odczuł w stawach. Kanapę pokrywały wełniane koce, a pod stolikiem dostrzegł dwie pary elektrycznych kapci – pogromcy angielskich zim. Prawdziwy Anglik nie uznawał bowiem centralnego ogrzewania, traktując kaloryfery jako coś tak obrazoburczego, że musiał je odgrodzić od świata wymyślną obudową. Całość obowiązkowo wieńczyła półeczka na bibeloty. Grzejniki zastępowały hałdy koców, narzut, śpiworów, pod którymi potomkowie dumnych Celtów spędzali wieczory, za nic mając wydajne piece. Efekt był taki, że ponad połowa domostw borykała się nie tylko z gościem mieszkańców, ale też skrywanym pod magnoliowymi tapetami grzybem, którego ślady Redfern dostrzegł w kącie.

Summer usiadła na kanapie, ale Redfern czuł, że nie może sobie pozwolić na taki luksus. Przechadzał się wzdłuż niewielkiego pokoju, do którego jakiś architekt z ponurym poczuciem humoru wcisnął jeszcze kominek. Podszedł do niego i przyjrzał się ustawionym na kamiennym gzymsie ramkom. Każda, bez wyjątku, okalała kadry z życia Samantha – wyblakła pamiątka pierwszych kroczków, jazda na trzy-

kołowym rowerku, pierwszy dzień w szkole, odebranie jakiejś nagrody, ostatni dzień w szkole, bal maturalny, dyplom na University College London... Linia życia wzorowego obywatela. Redfern wodził wzrokiem od zdjęcia do zdjęcia. Mimo że były ustawione dość ciasno, dostrzegał między nimi zakurzone przerwy. Wiedział, że będzie musiał wypełnić je zeznaniami świadków. Dochodząc do ostatniej ramki, pomyślał, że to, czego nie daje się uwiecznić na fotografiach, najczęściej jest naszym prawdziwym życiorysem. Kątem oka zerknął na sierżant Winter, która przeglądała swoje notatki, zapewne układając w głowie pytania, jakie za chwilę zada państwu Grant. Przeszło mu przez myśl, że mógłby kiedyś wziąć przykład z jej skrupulatności, ale szybko doszedł do wniosku, że, paradoksalnie, najlepiej odnajduje się w chaosie. Zamiast zdrapywać kolejne warstwy poukładanych myśli, wolał mieć przed sobą mozaikę, z której może natychmiast wyciągnąć to, czego potrzebuje.

– Kompletnie nie wiem, jak się zachować – Summer zdobyła się na szczerość, najwyraźniej nie znajdując w swoich dokumentach protokołu zachowania na wypadek śmierci młodych ludzi w dniu ich ślubu. Oderwała wzrok od kartek i popatrzyła przez okno, za którym przesuwwały się ciemne chmury.

– Obawiam się, że nikt nie wie – odparł Redfern. – Wiadomo, że najlepiej byłoby przyjść tu z informacją, że znaleźliśmy mordercę, albo nawet go przyprowadzić, ale, niestety, jesteśmy grabarzami nadziei.

– Myślałam, że raczej ją przynosimy, że system ją daje.

Redfern ukrył chęć skrytykowania naiwności Summer za krzywym uśmiechem.

– Zaczniemy miękko i w miarę neutralnie, na przykład od początków znajomości pary młodej. Starsi lubią wspomnienia. – Inspektor wskazał na fotografie. – Może się coś z tego rozwinię?

Wracając do przeglądania rzeczy gospodarzy, zauważył na parapecie ramkę zupełnie inną od tych, które stały na kominku. Pomyślał, że musiała być nie do końca chcianym prezentem, skoro znalazła się między pstrokatą doniczką z uschniętą orchideą a figurką wyjątkowo paskudnej wiewiórki. Nachylił się, by lepiej przyjrzeć się fotografii. W porównaniu z pozostałymi ta miała w sobie najwięcej dynamiki, ale gospodarze uznali ją za zbyt mało ważną. Samantha stała roześmiana na tle górskiej panoramy. Jej drobna sylwetka zdawała się znikać w objęciach Alana niczym sosna w śnieżnej lawinie. Mężczyzna śmiał się całym sobą, jednak w uśmiechu dziewczyny brakło szczerości i zaangażowania.

Analizę Redferna przerwał dźwięk kroków na schodach. Inspektor odwrócił się i zobaczył Rose Grant prowadzącą pod rękę siwego, złamanego wpół mężczyznę w kraciastej koszuli i sztruksach. Nawet z odległości doskonale widział, że gospodarz zмага się z chorobą Parkinsona.

– Ostrożnie, Edwardzie – powiedziała z czułością. – Jeszcze tylko kilka stopni.

Redfern podszedł szybko, by pomóc kobiecie sprowadzić męża na dół. Wspiął się na schody i pochwycił ramię pana Granta. Z przerażeniem stwierdził, że pod kraciastym rękawem wyczuwa tylko kości obciążone skórą.

– Bardzo panu dziękuję – odezwała się Rose, gdy wszyscy zajęli swoje miejsca.

– Jakby było za co – burknął Edward. – Sam bym zszedł, bez tych cyrków.

Rose spojrzała przepaszająco na Redferna. Inspektor kiwnął głową na znak, że wszystko rozumie i nie ma potrzeby tłumaczenia zachowania mężczyzny. W jego siwych włosach igrały promienie popołudniowego słońca, czyniąc wokół jego głowy aureolę, która zdecydowanie bardziej pasowała do tej łagodnej twarzy niż grymas niezadowolenia. Redfern znał ten typ charakteru – wolał podać rękę śmierci niż przyjąć pomocną dłoń człowieka.

– Jak możemy pomóc? – zapytała nagle kobieta, wrywając Redferna z przemyśleń.

– My tu nie jesteśmy od pomocy, Rose – wtrącił się Edward. Inspektor ponownie popatrzył na staruszkę z zaciekawieniem. Doskonale rozumiał złość, która niczym kolczasty żywopłot maskowała rozpacz.

– Zaczniemy może od tego, gdzie poznali się Sam i Alan? – niespodziewanie zapytała Summer.

– U niego w domu – odparła Rose, wprawiając policjantów w konsternację. – Samantha wykonywała jakieś zlecenie

dla ojca Alana i musiała się z nim spotkać. Podobno tak się poznali – wyjaśniła natychmiast.

– To był diabeł w ludzkiej skórze – przerwał jej mąż ze złością.

– Edwardzie, nie wolno tak mówić – upomniała go łagodnie Rose.

– Mnie już wolno mówić wszystko – zachnął się. – Ten człowiek to było zło wcielone i zupełnie mnie nie dziwi, że ktoś go sprzątnął! Ale że naszą Sam też, to...

Słowa ugrzęzły mu w gardle zalane łzami. Staruszek trząśł się, ukrywając twarz w dłoniach. Jego żona położyła jedną dłoń na plecach mężczyzny, drugą dyskretnie wytarła kąciki błękitnych oczu.

– Dlaczego tak pan uważa? – zapytał Redfern.

– Namówił ją na ten ślub już rok po pierwszym spotkaniu, czy to nie dziwne? – odparł pytaniem na pytanie, sprawiając, że Redfern musiał chwilę wyważyć odpowiedź.

– Chyba niezbyt dziwne – zaryzykowała Summer.

– Widać, że pani nie ma doświadczenia w sprawach damsko-męskich – bąknął staruszek, a z wiedzy Redferna wynikało, że miał sporo racji. – Teraz młodzi w ogóle się nie żenią, czekają, czają się, sprawdzają i zmieniają zdanie. A on jej zamydlił oczy tym bogactwem, koneksjami i Bóg raczy wiedzieć czym jeszcze!

Inspektor miał ochotę powiedzieć, że pewnie miłością, ale nie chciał przerywać tej nawałnicy słów. Miał nadzieję,

że w jej gwałtownych wyładowaniach dostrzeże coś, co pozwoli mu znaleźć mordercę.

– Edwardzie, Samantha była szczęśliwa – Rose desperacko starała się uspokoić męża. – Nigdy nie dała nam powodów, żebyśmy myśleli inaczej.

– Bo dobrze ją wychowaliśmy, była twarda – odparł szorstko. – Ale ja swoje wiem! To było jakieś opętanie, istne szaleństwo! – pieklił się.

– Faktycznie, córka nieco się zmieniła. Częściej wychodziła z domu, nie miała już dla nas tyle czasu, zmieniła też styl ubierania się, trochę mocniej się malowała – przyznała Rose, ale szybko się zreflektowała: – Myślę jednak, że tak właśnie wygląda miłość. Pojawia się po to, by w naszym życiu zapalić choć małą iskrę szaleństwa.

Redfern pomyślał, że Rose nie do końca mówi o córce. Wyczuwalna nuta żalu dźwięczała na pięciolinii wspomnień.

– Bzdura – fuknął mężczyzna.

– A jak wyglądały ich relacje? Samantha coś państwu o tym opowiadała?

– Wpadli kilka razy na obiad, byliśmy też na obiedzie z rodzicami Alana – Rose odpowiedziała szybko, jakby próbując wyprzedzić Edwarda, który właśnie otwierał usta. – Sam nie zwierzała się nam za bardzo, ale nie ma co się dziwić, przecież była dorosła. Alan bardzo ją adorował. Wydawała się zakochana bez pamięci, a szczęściu nie wolno stać na drodze.

– Gdybyśmy stanęli, wciąż mielibyśmy córkę! – krzyknął Edward łamiącym się głosem.

– Proszę nam opowiedzieć, jak wyglądały ostatnie dni przed ślubem? – Summer pospieszyła z pytaniem, jakby chciała powstrzymać falę łez staruszka.

– Ostatni tydzień przed ślubem spędziła u nas. Mówiła, że chciała jeszcze przez chwilę poczuć się naszą małą dziewczynką.

Redfern zastanawiał się, czy Samantha była niedojrzała, a może przeciwnie – chciała sprawić rodzicom przyjemność i zagrała swoją rolę koncertowo.

– Jak wyglądał poranek w dzień ślubu?

– Zwyczajnie. – Edward Grant westchnął. – O szóstej zeszła na śniadanie. Rose zrobiła jej ukochane naleśniki. Porozmawialiśmy. Sam zamówiła nam taksówkę do Brooklands i poszła się ubierać. Potem przyjechał Alan.

– O której to było?

– Nie pamiętam. – Pokręcił głową bezradnie i spojrzał na żonę, która podobnie jak małżonek nie mogła sobie przypomnieć.

– Czy widzieliście Alana?

– Tak, wszedł do domu przywitać się – odpowiedział Edward. – Może był z niego zły człowiek, ale maniery zawsze miał nienaganne. Jak wszyscy Barkerowie, ale pewnie to już wiecie.

– Jeszcze nie byliśmy u państwa Barkerów – odpowiedziała Summer.

– To czeka was spora niespodzianka – odparł tajemniczo, ale nie bez złośliwości Grant.

– Czy któreś z nich wydało się państwu zdenerwowane?

– Nie, byli po prostu poważni. – Rose zacisnęła usta, jakby podświadomie chciała odwzorować mimikę córki. – Zwłaszcza Alan wydawał się przejęty, ale to chyba zrozumiałe na parę godzin przed ceremonią.

W pokoju zaległa cisza odmierzana tyknięciami zegara kominkowego. Redfern brał udział w kilku ślubach i jednego był pewien: w tym dniu młodej parze towarzyszyła wyłącznie radość i szczęście. Powaga wkradała się jedynie w momencie przekroczenia progu urzędu. Było to jednak krótkie i ulotne jak tyknięcie wskazówki.

– No dobrze – odezwała się Summer. – Proszę nam opowiedzieć o córce. Czym się zajmowała? Jakie miała hobby? Z kim się spotykała?

– Samantha jest, to znaczy była programistką w Londynie. Nie pamiętam już, dla której firmy pracowała, bo często je zmieniała, ale chyba ostatnio dla Barclays Bank. Zawsze robiła coś związanego z giełdami, ale wiedzą państwo, jak to jest, starej głowie w pewnym momencie kończy się pojemność. – Uśmiechnęła się blado. – Sama była raczej osobą zamkniętą w sobie, miała wąskie grono koleżanek.

– Właściwie tylko jedną – wtrącił Edward. – Olivię. Znały się od dzieciństwa i nadal utrzymywały kontakty, wychodziły razem.

– Mąż ma rację – zgodziła się Rose. – Właściwie jeśli gdzieś wychodziła, to zawsze z Olivią Shawn.

– Czy może mi pani zapisać jej adres?

– Oczywiście. – Kobieta sięgnęła do gazetnika, który stał obok kanapy, i wyciągnęła z niego zeszyt. Wyrwała z niego kartkę, po czym postukała w nią długopisem, jakby usiłując sobie przypomnieć dane przyjaciółki córki. W końcu jej twarz się rozjaśniła i zaczęła pisać.

– Jeśli chodzi o hobby, to bardzo lubiła kaletnictwo – dokończyła myśl, kreśląc na kartce zgrabne litery. – Jej torebki i paski podobno kupowali jacyś biznesmeni. Alan bardzo wychwalał te produkty, co cieszyło Samanthę. Kiedyś powiedziała, że gdyby jej nie wyszło z tą informatyką, to zawsze ma plan „b”.

– Na szczęście zainwestowaliśmy w studia, więc radziła sobie doskonale. – Edward nie dawał za wygraną.

– UCL to bardzo droga uczelnia – zauważyła Summer.

– Całe życie żyliśmy bardzo oszczędnie, by Sam mogła być całkowicie niezależna – przyznała kobieta i podała Winter kartkę z adresem. – Sami byliśmy nauczycielami i nigdy nie opływaliśmy w luksusy.

– Ale też nigdy nie biedowaliśmy – obruszył się mężczyzna, lekko purpurowiejąc.

– To prawda – Rose potwierdziła gorliwie.

Ostatnie zdanie odarło Redferna z wątpliwości, jak w tym domu przedstawia się rozkład sił. Nie miał nic przeciwko, jeżeli obojgu małżonkom to odpowiadało, ale tu wyczuwało

się nieprzyjemną dominację Granta. Przeszło mu przez głowę jeszcze jedno: to mogła być zasłona dymna. Staruszek mógł wiedzieć o czymś, co wzburzało go wewnętrznie i przejmowało kontrolę nad zachowaniem. Jednak Redfern uważał, że jest zbyt wcześnie, by dociekać sedna. Chciał zapytać o Bentleya, ale myśląc o samochodzie, przyszło mu do głowy zupełnie coś innego.

– Czy wiedzą państwo, dlaczego Samantha i Alan pojechali przed ślubem do galerii?

– Nie mam pojęcia, ale wiem na pewno, że tam właśnie oświadczył się jej Alan – odparła zamyślona pani Grant.

– W galerii handlowej? – zdziwił się Redfern, pocierając skostniałe dłonie. Chłód tego domu przejmował nie tylko jego serce, ale i ciało.

– Konkretnie na dachu – wyjaśniła z bladym uśmiechem Rose. – Samantha miała swoje dziwactwa, między innymi ulubione miejsce parkingowe, na ostatnim piętrze, w rogu. Nikt tam nie stawał, bo było dość ciasne.

– Nie miała dziwactw, tylko była pragmatyczna – wtrącił pan Grant. – Sam jej pokazałem to miejsce.

Rose przymknęła lekko oczy i kiwnęła nieznacznie głową na znak, że ponownie zgadza się z mężem.

– Jakoś na wiosnę pojechała do Peacock Centre – kontynuowała. – Bardzo się zdziwiła, że piętro zostało wyłączone z użytku. Zauważyła jednak, że na znaku zakazu napisano, że „nie dotyczy Samantha Grant”. Pojechała więc na samą górę, która wręcz tonęła w kwiatach i świecach. Alan stał na jej

miejscu parkingowym z pierścionkiem w dłoni. Samantha opowiadała nam o tym z wielkim przejęciem. Może więc chcieli jeszcze raz zanurzyć się w tym wspomnieniu?

– Bardzo możliwe – zgodziła się Summer, nie przestając robić notatek. – Dużo ludzi wiedziało o tych oryginalnych oświadczeniach?

– Chyba wszyscy znajomi, bo z tego, co mówił Alan, wielu z nich pomagało w przygotowaniach.

– Rozumiem – powiedział Redfern coraz mniej zadowolony z rozmowy, która w żaden sposób nie zawęzła listy podejrzanych. Na samą myśl o przepytaniu ponad dwustu weselnym gości bolała go każda kość. Licząc na szybki efekt, postanowił mocniej zaakcentować swoją wizytę.

– Skoro jesteśmy przy znajomych, to zapytam, czy Samantha miała jakichś wrogów, obawiała się kogoś?

– Wrogów? – prychnął Edward. – Pan nic nie wie o naszej córce! To była bardzo spokojna, poukładana dziewczyna, skupiona na pracy, a nie na szukaniu zwad.

– Czyli nigdy nie zwierzyła się państwu z jakiejś przykrew sytuacji? – zapytała ostrożnie Summer.

– Nie – odparła Rose. – Wpadała do nas prawie w każdy weekend i zawsze była bardzo radosna. Czasem zostawała na noc, bo spotykała się wieczorami z dawnymi znajomymi i nie miała jak wrócić do siebie. Opowiadała, że dobrze jej idzie w pracy, o mieszkaniu w Londynie, czasem o jakichś drobnych kłopotach ze zdrowiem, ot, ludzkie sprawy.

– Czy zanim pojawił się Alan, Samantha się z kimś spotykała?

– Co pan sobie wyobraża? – zaatakował niespodziewanie Grant. – Że Sam zmieniała chłopaków jak rękawiczki? I co jeszcze?! Może to jej wina, że jakieś bydlę zamordowało ją w dniu jej ślubu?!

– Nie to miałem na myśli – bronił się Redfern. – Usiłujemy złapać, jak pan to określił, bydlę, ale potrzebujemy informacji.

– A my potrzebujemy spokoju! – wrzasnął Edward. – Jakbyście nie zauważyli, zamiast zaślubin musimy przygotować pogrzeb.

Oboje policjanci szybko wstali. Inspektor w duchu podziękował za niewielkie wymiary domu, bo dzięki temu procedura wyjścia mogła zostać ograniczona do wstania z kanapy i złapania za klamkę.

Wsiedli do samochodu nabuzowani emocjami. Summer niedbale rzuciła notatki na podszybie. Redfern zerknął na nie. W szybie odbijała się okładka skoroszytu, krzycząca wściekłymi napisami, że wszystko będzie dobrze, że zrobione jest lepsze od idealnego i inne pierdololo dla nawiedzonych odbiorców mentorskich bredni. Sięgnął po zeszyt i przejrzał zapiski policjantki.

– Widzę, że mamy te same przemyślenia – skomentował to, co przeczytał.

– Nie podoba mi się ten dziadek – mruknęła z niezadowoleniem Summer i zaczęła wykonywać manewr, by ustawić

się w stronę wyjazdu ze ślepej uliczki.

– Wiesz, walka z chorobą, śmierć córki... – próbował wyjaśnić zachowanie mężczyzny.

– Ty jakoś nie tetryczejesz. – Spojrzała na niemal sine palce Redferna, rzucając mu nieme wyzwanie. Włączyła się w Goldsworth Road i skręciła w stronę centrum.

– Nie mam jeszcze sześćdziesięciu lat. Wszystko przede mną. – Nie podjął tematu, choć w jego głowie wybuchła myśl, że im dłużej walczy z bólem, tym mniej ma siły na walkę z samym sobą. Musiał przyznać, że ta wojna może doprowadzić do pyrrusowego zwycięstwa, które przyniesie efekt taki, jaki widzieli w domu na Mabel Street. Pocieszał się czarną myślą, że żaden z leczących go do tej pory neurologów nie wróżył mu dożycia sześćdziesiątych urodzin.

– To co, jak się upaprać, to do końca, nie? – zapytała z ponurym entuzjazmem. – Jedziemy do Barkerów?

Redfern nie odpowiedział od razu. Obiecał sobie, że dziś zajrzy do Lindy Wall do kliniki uzależnień, a pora odwiedzin kończyła się za dwie godziny. Mając do wyboru rozczarowanie koleżanki i brak postępów w śledztwie, wolał nie narażać się komendantowi Knightowi już pierwszego dnia.

– No spoko, jeśli się dziadzio zmęczył, dziadzio może wrócić do domu. – Summer wyszczerzyła się do niego przekornie.

– Tylko nie dziadzio! – obruszył się. – Nawet twoim ojcem nie mógłbym być.

- No i tak, po wielu zmaganiach, znaleźliśmy czuły punkt Davida Redferna. Mówił dla państwa David Attenborough.
- Dobra, nie mędrkuj, tylko jedź. Masz adres?
- Wcale go nie potrzebuję.
- A co, jedziemy do Windsoru czy do pałacu Buckingham?
- Blisko. Mówi ci coś Hatchlands Park?
- Nawet sobie nie żartuj. – Redfern spiorunował ją wzrokiem.
- Ze starszego człowieka? W życiu! – Puściła do niego oko i skręciła w stronę Old Woking.

Popołudnie

Redfern miał po kokardę kontaktów z bogaczami z Surrey, choć mieszkając tu, musiał liczyć się z tym, że rozkład krezusów na kilometr kwadratowy przekracza brytyjskie normy.

Mijali kolejne skute grudniowym marazmem miejscowości. Gdzieniedzie powiewały jeszcze niedobitki dekoracji świątecznych, wiatr snuł po chodnikach resztki konfetti. Jednak zamiast krajobrazów za szybą przesuwały się przezrocza kolejnych śledztw – Kingfield i morderstwo Bożeny Sokolińskiej, Old Woking i sprawa zaginięcia Izy Wolańskiej, Send i mieszkający tam Travellersi. Wszystko to złożyło się na krótkometrażowy film grozy, który uzmysłowił Redfernowi, że, poza zagęszczeniem brytyjskich elit, Surrey charakteryzuje nagromadzenie zła. Nie widział związku pomiędzy tymi

zjawiskami, ale miał niejasne przeczucie, że to śledztwo może go na niego naprowadzić.

Summer zaparkowała škodę na parkingu dla turystów, którzy tłumnie odwiedzali przylegający do posiadłości park. Wychwytyjąc zdziwione spojrzenie Redferna, wyjaśniła:

– Hatchlands należy do National Trust, ale Barkerowie wynajmują większość pałacu od jakichś czterdziestu lat. W tej jasnej inaczej umowie widnieje zapis, że od marca do października część budynku jest dostępna dla zwiedzających.

– A jest co zwiedzać? – rzucił Redfern.

– Pewnie. Jest nawet coś polskiego, co mogłoby cię zainteresować.

– To znaczy?

– Fortepian Fryderyka Chopina – odparła z dumą. – Jest też instrument Bizeta, na którym skomponował *Carmen*, a także coś Bacha, ale to chyba nie jest przedmiotem naszych zainteresowań – dokończyła coraz bardziej gasnącym głosem.

– To się jeszcze okaże – burknął Redfern, po czym oboje wysiedli z samochodu.

Zgaszona mrozem zieleń ciągnęła się aż po horyzont, na którego ostrzu balansował las. Na jego tle odcinał się monumentalny ceglany budynek. Osiemnasty wiek odcisnął się na nim z całą swoją surowością, zupełnie jakby architekci chcieli oddać urodę Wiktorii Hanowerskiej.

Policjanci szli długą ścieżką wysypaną dla wygody turystów jasnymi kamyczkami. Obserwując prześwitującą pomiędzy kępami trawy wodę, Redfern docenił pomysłowość projektanta. Dotarli do frontowych drzwi oddzielonych od gołych cegieł płaskimi imitacjami kolumn. Już z daleka przywitała ich tabliczka, że pałac jest zamknięty na czas zimy.

– Ktoś nas obserwuje – szepnęła Summer, wskazując samymi oczami na drugie piętro.

– Spodziewają się nas. – Redfern nie dał się wciągnąć w emocje partnerki. – Może nam ktoś otworzy.

Zupełnie jakby wypowiedział magiczną formułkę, drzwi uchyliły się.

– Słucham – baryton, który dotarł do ich uszu, mógł należeć do Escamilla, ale zamiast wystrojonego toreadora z *Car-men* przed policjantami stał młody człowiek ubrany w prosty szary garnitur.

– Jesteśmy z policji.

– Proszę zatem udać się do wejścia na tyłach budynku – oznajmił wyniośle i przymierzył się, by zatrzasać drzwi.

– Słucham? – wyrwało się Summer, a młody człowiek zatrzymał się w pół gestu.

– Proszę mi wierzyć, że tak będzie o wiele łatwiej, niż przedzierać się przez wszystkie wystawowe komnaty.

Redfern nie zdążył zapytać o personalia człowieka, kiedy ten wyrecytował:

– Pójdą państwo wzdłuż budynku, aż dotrą do łuku, przejdą państwo pod nim, po prawej stronie zobaczą wewnętrzny dziedziniec, a po lewej stajnie, ale proszę to zignorować i skręcić dopiero za wschodnim skrzydłem. Dotrą państwo do bramy. Ktoś państwu otworzy.

Policjanci podziękowali za instrukcje i poszli zgodnie z nimi. Po chwili znaleźli się na dziedzińcu, o którym mówił mężczyzna. Pośród brukowanego placu ustawiono kilka metalowych stolików, z tak filigranowych rurek, że na tle szarego budynku wyglądały jak utkane z pajęczej nici. Pokryte kroplami deszczu czekały na słońce i odwiedzających, którzy mieli tu zajrzeć dopiero w marcu. W głębi dostrzegł niewielką kafejkę. Szyld „The Kitchen Café” sugerował, że poza kawą można było tu coś zjeść. Zwykle w obiektach National Trust można było kupić naprawdę dobre domowe posiłki i ciasta. Redfern pomyślał o Marcie i o tym, że zabierze ją tu na *lemon drizzle*, które wraz z ciastem marchewkowym i *billionaire cake* stanowiły podstawę deserów w Anglii.

– Myślisz o tym, co ja? – Summer zwolniła kroku i przyjrzała się bramie uzbrojonej w zamek szyfrowy.

– Chyba nie. – Inspektor uśmiechnął się lekko.

– Czy to nie dziwne, że koleś nie chce nas wpuścić od razu? Przecież mógłby nas przeprowadzić przez dom. Sam musiał pokonać tę samą drogę.

– Niekoniecznie – odparł Redfern i powiódł wzrokiem w stronę kobiety, która właśnie szła w ich kierunku. – Mógł

wysłać zastępstwo.

– Państwo zapewne z policji? – zapytała retorycznie szczupła sześćdziesięciolatka. – Syn mi powiedział, że przyjechaliście.

Redfern domyślił się, że stoi przed nimi Margaret Barker. W przeciwieństwie do Grantów twarz miała skutą nieprzeniknioną warstwą pychy. Trzymała się prosto, jakby śmierć syna była objęta jakimś królewskim protokołem.

– Proszę tędy – zakomenderowała i nie czekając na reakcję policjantów, ruszyła w stronę domu.

Spojrzeni po sobie i poszli za gospodynią. Dali się połknąć olbrzymiemu hallowi, którego każdą ze ścian zdobiły obrazy. Redfern znał je z lekcji plastyki. Akryle Aleca Cobbe miały w sobie ciężkość holenderskich mistrzów, pociętą jednak lżejszymi, choć ostrymi płaszczyznami jak u Hoppera. Wszystko pokryte niepokojącą, jakby naniesioną brudnym pędzlem warstwą.

– To Cobbe – oznajmiła właścicielka. – *Stables, Chateau Margaux*.

– Bardzo ciekawe – wydobył z siebie Redfern zaskoczony tym, że kobieta tak długo nie wspomniała o śmierci syna. Zastanawiał się, jak wiele trzeba w sobie nosić schematów, by taki dramat nie był w stanie naruszyć żadnego z nich.

– Hatchlands jest domem niemal całej kolekcji – dodała i poprowadziła gości do salonu.

Inspektor stwierdził, że po raz drugi tego dnia jego wyobrażenia rozbiły się o mur rzeczywistości. Spodziewał

się wewnątrz wyjętych z osiemnastego wieku. Tymczasem otaczały go białe, gładkie ściany, zamiast udrapowanych, lejących się welurów w oknach wisiały nowoczesne rolety, a pośrodku marmurowej podłogi stały jedynie olbrzymie czarne kanapy i stolik kawowy w tym samym kolorze. Jedy- nym pstrokatym akcentem była turkusowa rzeźba w rogu salonu, która wyglądała jak Wenus z Milo po spotkaniu z Picassem, ale jeszcze przed legendarną katastrofą statku d'Urville'a.

– Napiją się państwo herbaty? – Odbiło się od pustych ścian.

– Dziękujemy – odpowiedział za oboje Redfern, choć żołądek skręcał mu się z głodu. Wiedział, że propozycja wynikała z kolejnego schematu wtłoczonego w umysł kobiety. Jeśli tego by nie zrobiła, wszystko mogłoby się posy- pać niczym budowla z zapalek.

Pani domu zajęła miejsce na sofie, stojącej tyłem do wysokich okien zdobiących ogromny wykusz. Policjanci jak na komendę zajęli tę naprzeciwko.

– Chcemy zadać kilka pytań o Alana – odezwała się Sum- mer, wyciągając z torby mały notes, tym razem w szarej okładce.

– Proszę – Margaret zniżyła głos do szeptu, zupełnie jakby zdała sobie sprawę, że ani opowieści o sztuce, ani żaden podwieczorek nie są w stanie wyprzeć z rzeczywisto- ści śmierci jej syna. Zacisnęła szczęki w oczekiwaniu na pierwsze pytanie.

Nagle w drzwiach stanęło dwóch mężczyzn. Młodszego z nich policjanci spotkali przed chwilą, drugi wydał się Redfernowi znajomy. Przedstawili się i zajęli miejsca po obu stronach kobiety.

– Przede wszystkim ogromnie państwu współczujemy – odezwała się Winter. – Rozumiemy państwa ból, ale będziemy musieli zadać wiele pytań, by...

– Proszę zaczynać – przerwał jej pan domu.

Herman Barker był starszą wersją Pierce’a Brosnana, z wyjątkiem siwizny, którą milioner przykrywał farbą, oraz prawej dłoni, w której brakowało serdecznego palca.

– Chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć o Alanie – Redfern przejął inicjatywę. – Jaki był? Ilu miał przyjaciół? Czy często wychodził?

– Raczej rzadko – odparła pani Barker i poprawiła kosmyk na szyi. – Alan był wycofany, stronił od imprez, przy czym zawsze chętnie wszystkim pomagał, miał serce na dłoni.

– Był raczej skupiony na swoim wnętrzu i dość pedantyczny – dodała głowa rodziny.

– Czyli w Samancie odnalazł bratnią duszę? – zasugerowała Summer, znów coś notując.

– Duszę? Ta kobieta nie miała duszy... – brat Alana niespodziewanie zabrał głos, ale urwał, kiedy ręka ojca wylądowała na jego kolanie.

– Spokojnie, Will – powiedział łagodnie Barker, a Will skupił wzrok na nieistniejącym paprochu na swoich butach.

– Mój syn ma wiele racji, choć nie do końca umie to ubrać w słowa. – Zamyślił się chwilę, po czym rozwinął: – Samantha niezupełnie spełniała oczekiwania, jakie zwykle się ma wobec synowej.

A ma się jakieś?, pomyślał Redfern i zerknął na Summer, która na dźwięk słowa „synowa” dziwnie się skrzywiła.

– Panna Grant wprowadziła do naszej rodziny spory chaos – dopowiedziała Margaret z przekąsem i naciągnęła mocniej spódnicę na kościste kolana.

– Czym się objawiał? – zadała pytanie Winter.

– Wyciągała wszędzie Alana, nie mógł skupić się na pracy, była rozkapryszona, roszczeniowa i momentami niegrzeczna – wymieniała kobieta. – Znikali na całe noce, a gdy wracali, Alan nie był sobą. Mam wrażenie, że przez nią nadużywał alkoholu.

– Oby tylko – burknął Will i zacisnął usta w wyrazie dezaprobaty.

– A jednak zasponsorowali państwo huczne wesele, i to w takim miejscu – podsumował Redfern, uważnie obserwując reakcję rodziny.

– Zasiadam w zarządzie Brooklands Museum, to było więc oczywiste miejsce – głos zabrał Herman, który od dłuższej chwili wydawał się nieobecny myślami. – A co do samego ożenku, to przecież nie mogliśmy Alanowi niczego zabronić. To dorosły człowiek.

Redfern w milczeniu pokiwał głową.

– Alan miał wielu znajomych – oznajmił po chwili inspektor, ale natychmiast przerwał mu Barker.

– Wielu? – Barker wydawał się zaskoczony. – Przyjaźnił, a właściwie kolegował się może z kilkoma osobami, głównie z pracy. Nie był typem bywalca.

– Państwo Grant twierdzą coś innego. Na przykład mówili, że bardzo wiele osób było zaangażowanych w oświadczyń Alana.

– Nie bardzo wiem, co ma pan na myśli.

– Podobno Alan zamknął w tym celu ostatnie piętro Peacock Centre, a w organizacji pomagali wszyscy znajomi – Summer pospieszyła z wyjaśnieniem.

– Nadal nie wiem, o czym państwo mówią. – Barker wydawał się coraz bardziej spięty, jakby braki w wiedzy wywoływały u niego ogromny dyskomfort. – Nasz syn oświadczył się dość pospolicie, na Dominikanie. A o zamknięciu centrum handlowego raczej coś bym wiedział. Jestem jego właścicielem – ostatnie słowo wypowiedział z dźwięczną w uszach egzaltacją.

Długopis Summer przyspieszył i na żółtawym papierze pojawiły się kolejne litery.

– No dobrze, a czy przed weselem wydarzyło się coś, co wskazywałoby na zbliżającą się tragedię?

– Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to wtorek w tygodniu wesela. Przyjechali do nas państwo Grant, bardzo wzburzeni, i oświadczyli, że wesela nie będzie, że oni się nie zgadzają, i kazali Alanowi zerwać natychmiast zaręczyny.

– Mówili dlaczego? – zaciekał się Redfern, jednocześnie zastanawiając się, co zdenerwowało Edwarda Granta na tyle, że pokonał słabości swojego ciała i przyjechał na drugi koniec gminy.

– Grant krzyczał coś, że młodzi i tak się rozwiodą, że to szaleństwo, bo ich córka jest nieszczęśliwa, że to doprowadzi do jakiejś tragedii.

– Tak powiedział? – zainteresował się inspektor.

– Mniej więcej. – Barker wzruszył lekko ramionami. – Może zasugerowałem się pana stwierdzeniem. Może warto dopytać samego Granta?

– Zapytamy go o to – zapewnił Redfern, choć nie sądził, by pogrążony w walce z chorobą staruszek był w stanie uduśić dwie młode i silne osoby. – A czy Alan miał jakieś zatargi, ktoś mu groził?

– Tak jak mówiliśmy, Alan był bardzo spokojnym człowiekiem, nikomu nie wchodził w drogę.

– Z naszych akt wynika, że mieszkał z państwem – Summer recytowała notatki.

– Tak, zajmował trzy pokoje na poddaszu – potwierdziła Margaret.

– Czy możemy je zobaczyć?

Zgoda i sprzeciw wypełniły pokój jednocześnie. Państwo Barker spojrzeli po sobie zaskoczeni różnicą zdań. Pierwszy odzyskał głos Herman, ulegając sugestii żony.

– Jeśli to przybliży państwa do znalezienia mordercy mojego syna, to zapraszam na górę. Will wskaże państwu

drogę.

Jak na komendę młodszy syn Barkerów podniósł się szybko i Redfern mógł przysiąc, że usłyszał lekkie stuknięcie obcasów o siebie. Inspektor skonstatował, że w tym domu też panowała żelazna dyscyplina i jak każda forma opresji mogła spotkać się z oporem. Możliwe więc, że ten niechciany ślub był manifestem wolności.

Will poprowadził policjantów po krętych schodach na górę. Poddasze, o którym wspomniała Margaret Barker, było w rzeczywistości wspaniale urządzone piętrem, łączącym funkcjonalność z doskonałym gustem. Redfern nie znalazł tu ani dusznych obrazów, ani nagich, mrozących białą ścian. Panowały stonowane kolory i przyjemne, wzorzyste tkaniny. Pokój dzienny Alana Barkera przypominał nieco jeden z pierwszych katalogów Ikei, kiedy szwedzki producent składał jeszcze hołd dobremu smakowi, a nie plastrowi miodu i tanim pojemniczkom.

– Czy mogę państwa tu zostawić? – zaproponował Will. – Mam dużo pracy.

– Oczywiście. Myślę, że najdalej za pół godziny skończymy. Pewnie będziemy mieli jeszcze kilka pytań.

– W porządku. Zatem zajrzę za pół godziny – oznajmił i wyszedł.

Summer rozejrzała się po pokoju, stojąc na jego środku. Wodziła wzrokiem po ścianach, jakby czegoś szukała.

– Myślisz, że ktoś nas teraz podsłuchuje? – zapytała konspiracyjnie. – Sądząc po ich pierwszej reakcji, coś za łatwo

nas wpuścili.

– Uważaj na ruszające się oczy w obrazach – rzucił Redfern i poszedł do przylegającej do salonu sypialni.

Pchnął na wpół uchylone drzwi i zatrzymał się w pół kroku, czując, że nie powinien zakłócać panującego w pokoju chaosu. Nie mógł ukryć sam przed sobą, że wstrząsnął nim widok przerwanych przygotowań. Otwarte pudełko na spinki do mankietów, przewrócona butelka z perfumami, niedbale rzucone na łóżko muszniki, jakby każdy z nich krzyczał: wybierz mnie na ten dzień. Ręcznik na podłodze, z którego powoli uchodził zapach człowieka. Na komodzie powiędły bukiet białych eustom w wazonie – Alan musiał go zapomnieć. Jakie jednak to wszystko miało teraz znaczenie? Scena, w którą brutalnie wkroczył Redfern, była ostatnim dowodem życia młodego człowieka, który wychodząc stąd, myślał, że rozpoczyna coś pięknego, nowego. Nie miał świadomości, że zamiast na spotkanie szczęściu wyszedł na spotkanie śmierci.

– Wszystko w porządku? – Redfern poczuł na sobie dłoń Summer. – Wyglądasz przerażająco.

– Tak, jest okej. Coś cię dziwi w tym obrazku?

– Że facet nie był tak poukładany, jak twierdzą jego bliscy. Co za bałagan!

– Nie zapominaj, że gość brał tego dnia ślub. To dość nerwowy czas i można zapomnieć nawet o własnych nawykach.

– I wywalać pokój do góry nogami? – powątpiewała policjantka.

– Może czegoś szukał? Obrączek? – zastanowił się Redfern i podszedł do szafy, która wypluła swoją zawartość na podłogę, całkowicie obnażając swe drewniane trzewia. – W sumie możesz mieć rację. Zwykle przed ważnymi uroczystościami wszystko mamy uszykowane dzień wcześniej, łącznie z bielizną. Nie wierzę, że facet, który uchodził za pedanta, zignorował to.

– Coś lub ktoś musiał go zatem wytrącić z równowagi – zawyrokowała.

– Sprawdziałaś połączenia Alana tego dnia?

– Zostawiłam to Tinneyowi – odparła. – Poczekaj, zaraz do niego zadzwonię – powiedziała i wyciągnęła z kieszeni kurtki telefon.

Redfern poszedł do ostatniego pokoju, który okazał się przestronnym biurem. Tym razem wewnątrz okazało się dowodem na prawdomówność rodziny. Biblioteczkę wypełniały ustawione na baczność książki, uszeregowane według serii. Zauważył całą kolekcję Stephena Kinga, przepięknie wydaną przez The Folio Society, oraz całą *Grę o tron* tego samego wydawcy. Pojedyncze egzemplarze kosztowały czasem ponad sto pięćdziesiąt funtów, ale biorąc do ręki kunsztownie wykonaną okładkę i oglądając niesamowite rysunki Burtona, nie żałowało się ani pensa.

Kilka półek wypełniały czarne segregatory, których grzbiety przyciągały wzrok fantazyjną kaligrafią informującą o zawartości katalogu. Według nich wszystkie dotyczyły muzeum motoryzacji w Brooklands. Redfern sięgnął po

pierwszy z brzegu, potem po jakiś losowy z górnej półki i jeszcze następny z tej samej. Każdy z nich zawierał dokumenty, faktury, wydrukowane maile opatrzone notatką, zapewne Alana. Po wyjęciu egzemplarzy powstała przerwa i stojące obok przechyliły się i upadły. Ostatni z nich pacnął, wydając dźwięk, który przyciągnął Redferna. Sięgnął po niego i otworzył. Tak jak podejrzewał, segregator okazał się pusty. Nagle uwagę inspektora przykuł jeden szczegół – rozdarcie wewnętrznej okładki. Wyglądało jak nieudolna próba zerwania naklejki z ceną. Coś musiało być wklejone i wyrwane z wnętrza. Podniósł okładkę do światła, by pod kątem poszukać śladów, ale nie dostrzegł resztek innego papieru, tak jak się spodziewał, a jedynie odrobinę gorącego kleju. Możliwe, że katalog skrywał coś cięższego niż koperta czy dokument.

– Dobra, już wszystko wiem. – Do pokoju weszła Summer. – Dwukrotnie próbował się skontaktować z jednym z drużb, ale tamten nie odebrał. Wcześniej raz dzwonił do Samantha, ale rozmawiali dość krótko, trzy minuty i dwadzieścia dziewięć sekund. Raczej nic podejrzanego.

– Więc któryś z domowników wytrącił naszą ofiarę z równowagi.

– Słuchając ich, wcale w to nie wątpię – powiedziała i umilkła nagle. – Dziwnie się tu czuję.

– Nie wierzę, że stare zamczysko tak na ciebie zadziało – usiłował żartować, ale wcale nie był daleki od powiedzenia o tym miejscu tego samego, co Winter.

– Dziwi i trochę przeraża mnie chłód tej rodziny – odparła po chwili. – Odpowiadają tak rzeczowo, że aż przerażająco. No nic... – Wzruszyła ramionami, jakby chciała zbagatelizować i odgonić złe myśli. – Pójdę jeszcze przyjrzeć się sypialni.

Kiedy Summer odeszła, otworzył jedną z dwóch szuflad wielkiego mahoniowego biurka. Przejrzał znajdujące się tam magazyny motoryzacyjne, ale żaden nie przykuł jego uwagi. W drugiej leżała inna książka – piękne złocenia zmysłowo wiły roślinny wzór po granatowej okładce, okalając jakiś rodowy herb. Dopiero po dokładnym przyjrzeniu się Redfern stwierdził, że to, co na pierwszy rzut oka wydawało się opasłym woluminem, tak naprawdę było drewnianym, oprawionym w materiał pudełkiem. Sięgnął po nie. Uchylone wieczko Debauxe & Gallais Le livre natychmiast uwolniło delikatny aromat czekolady, który stanowił jedyną zawartość opakowania.

– Czy skończyli już państwo? – W drzwiach niespodziewanie stanął młodszy z Barkerów. Redfern upuścił z trzaskiem pudełko.

– Ładne – usiłował zamaskować fakt, że Will go wystraszył.

Patrząc na niego, inspektor pomyślał, że mężczyzna przypomina mu anioła z teledysku Eurythmics. Niemal natychmiast usłyszał w głowie Annie Lennox śpiewającą dwanaście razy *Must be talking to an angel* i zawodzącego w tle wysłannika niebios.

– To prezent ślubny od ciotki z Francji – Will podszedł do biurka i z nostalgią spojrzął na kasetkę. Redfernowi wydało się, że mężczyzna chce go dotknąć, ale jakaś niewidzialna moc go powstrzymuje.

– Mieli chyba go zjeść razem? – inspektor usiłował rozluźnić atmosferę.

– Wiele rzeczy mieli zrobić razem – odparł smutno młody człowiek i wolno zasunął szufladę.

W drzwiach pojawiła się Summer Winter.

– Chyba nic więcej nie znajdziemy – powiedziała z lekkim rozczarowaniem.

– Chciałbym państwu coś dać.

Redfern dopiero teraz zauważył, że Will trzyma w dłoni małego laptopa i ładowarkę.

– Alan trzymał go u mnie, gdy gdzieś wyjeżdżał albo był poza domem – wyjaśnił. – Przejrzałem go pobieżnie, ale nic nie znalazłem. Może państwu się uda.

– Hasło? – rzuciła podejrzliwie Summer i wzięła od mężczyzny komputer.

– Brooklands – odpowiedział. – To był cały jego świat. Dlatego tam miał odbyć się ślub. Proszę to schować. – Wskazał na laptop. – Rodzice nie wiedzą o jego istnieniu.

Policjantka nieudolnie ukryła zaskoczenie, ale nie zadała więcej pytań. Schowała laptop do torby. Podążyli za Willem i po chwili znów znaleźli się w salonie, w którym niczym woskowe figury wciąż siedzieli Barkerowie.

– Chciałbym, żeby wrócili państwo pamięcią do dnia ślubu. – Redfern usiadł na sofie. – Czy Alan zachowywał się wtedy normalnie?

– Nie wiemy, bo go nie widzieliśmy. Wyjechał przed śniadaniem. Pewnie chciał jeszcze porozmawiać z Samantha, ustalić jakieś szczegóły.

– Możliwe – Redfern nie był przekonany. – Kiedy widzieliście go po raz ostatni?

– Wieczorem, po próbnym przyjęciu – odpowiedziała Margaret. – Siedzieliśmy jeszcze chwilę w salonie, rozmawialiśmy o ślubie, planach.

– Jak się wtedy zachowywał? Był zdenerwowany? – dopytywała Summer.

– Jak na takie okoliczności to chyba tak – powiedziała niepewnie Margaret. – Był dość zdenerwowany, ale to zrozumiałe przy takim poziomie introwertyzmu...

– Wiem już, skąd pana znam! – wystrzelił nagle Herman tak, że kobiety podskoczyły, a Redfern niemal zakrztusił się śliną. – Jest pan niedoszłym zięciem Johna i Izabelli Bones. Poznaliśmy się na jednym z bożonarodzeniowych przyjęć w Silver Manor.

David pamiętał jedno przyjęcie w posiadłości Bonesów. Dziękował sobie, że nie dał się namówić ojcu Patricii na oświadczyzny tego dnia. Wieczór pełen sztucznych uśmiechów i poklepywań po ramionach miał uświetnić wielki brylant, który David otrzymał od przyszłych teściów. Jego pierścionek z rubinem, który, według opowieści Siwiaszczyka,

kiedyś należał do babci Davida, Bonesowie niemal spuścili do kibla. Zapamiętał z tego dnia, że po raz pierwszy poczuł się wtedy nic niewart. Barkerów nie pamiętał.

– Tak, byłem na tym przyjęciu – odparł asekuracyjnie. – Niestety, było na nim tylu przyjaciół państwa Bonesów, że nie zapamiętałem pana. Proszę wybaczyć.

– Musiał pan zapamiętać. Przynieśliśmy wtedy Izabelli bombkę z kolekcji Georga Jensena. Który to był rok? – zwrócił się do żony.

– Musiał być dwa tysiące dziesiąty, bo wtedy Jensen wypuścił złote serce. Pamiętam, że dla nas wybrałam z katalogu taką samą – szczebiotą sztucznie Margaret, jakby zadowolona z faktu, że nie musi już mówić o synu, udając, że nie cierpi.

– No więc Patricia o mały włos jej nie upuściła – ciągnął niepotrzebnie Barker. – Byłaby kupka szkła za dwieście funtów. Wszyscy wstrzymali oddech, a pan ją złapał.

Redfern nie pamiętał ani bombki, ani Patricii, ani nawet samej sytuacji. Wyryło mu się za to poczucie niższości i upokorzenia, że pierścionek, który wtedy miał w kieszeni, w zasadzie nie należy do niego.

– Och, Hermanie, nie widzisz, że pan inspektor nie życzy sobie przypomnieć.

Ja pieprzę, wściekał się w myślach, zastanawiając się, do czego prowadzi ta rozmowa i dlaczego nagle stał się jej głównym tematem.

– To pan zastrzelił ich biednego syna – dotarło do Redferna niczym wystrzał armatni i trafiło prosto w pierś, w której natychmiast odczuł ucisk.

– To była obrona konieczna – oznajmił zimno, czując, że mimowolnie zaciska pięści.

– Doprawdy? – zdziwił się sztucznie Herman. – Przerażony, chory psychicznie człowiek panu zagrażał? No cóż... sądzę, że ktoś, komu tak łatwo jest pociągnąć za spust, nie powinien prowadzić śledztwa.

– Niestety, w Woking nie ma katalogu policjantów, z którego można wybierać jak z kolekcji Jensena – warknął Redfern. – Jest pan skazany na mnie.

– Jeśli sprawę prowadzi Bente Hansen, to chyba będzie można zorganizować jakąś erratę – odparł z cynicznym uśmiechem i wskazał na torbę Summer. – A, i proszę oddać komputer mojego syna. Bez nakazu możecie co najwyżej...

– Jeśli sprawę prowadzi Bente Hansen – przerwał mu Redfern, wstając – to mogę się założyć o jej płowy warkocz, że każe panu spieprzać.

– Co do komputera, to musielibyście mnie przeszukać – wyrwała się Summer Winter. – A bez nakazu możecie co najwyżej pocałować mnie w dupę – dodała i udała się do wyjścia.

Policjanci wyszli w chłodne popołudnie, które naciągnęło na Hatchlands Park antracytowy pled chmur. Redfern czuł, że

szaleje w nim tajfun. Barkerowie coś ukrywali i postanowili zaatakować pierwsi, wyciągając najcięższy oręż.

– Dlaczego nie powiedziałaś im prawdy, że w katedrze był drugi strzelec? – zaatakowała ze złością, kiedy znaleźli się w samochodzie. – Że nie ty zastrzeliłeś Bonesa.

– Skąd wiesz?

– Wszyscy o tym mówią. – Powietrze szybko i ze świstem przeciskało się przez jej nozdrza.

– Mówią, ale mi nie wierzą. – Redfern uspokoił nieco głos, ale tylko po to, by nie pokazać podwładnej swojego wzburzenia.

– Ja ci wierzę. – Położyła mu rękę na dłoni i spojrzała w oczy o ułamek sekundy za długo.

– To niczego nie zmienia. – Zabrał rękę, czując się nieswojo.

– To ty to zmień – powiedziała hardo i ruszyła.

Do miasta dojechali, nie odzywając się do siebie. Dopiero gdy minęli blok przy Constitution Hill, Summer zapytała:

– Spróbujemy podjechać do Olivii Shawn? Może przyjaciółka Samantha coś nam wyjaśni?

Redfern spojrzał na podpełzającą pod miasto szarówkę. Byłby to idealny moment, by odwiedzić dom Ronalda Rudda i przejrzeć jego rzeczy.

– Tym razem dziadzio naprawdę się zmęczył – odparł, siląc się na żart. – Odbijam na bazę.

Kazał się wysadzić taksówkarzowi przy pubie przy Chertsey Road. Drogę z uliczki Anthony do Seven Acres pokonał

pieszo. Podczas piętnastominutowego spaceru myślał o tym, co zastanie w domu Ronalda Rudda. Nie był tam od czasu odbicia porwanej Izy Wolańskiej i wątpił, czy po nalocie połowy policjantów z Surrey uda mu się znaleźć coś jeszcze.

Szpaler drzew niczym paszcza gigantycznego węża zdawał się pochłaniać każdy jego krok. Drapieżne pazury ogołconych z liści drzew tworzyły nad inspektorem groźne, stale poruszające się złowrogo sklepienie. Gdzieś w oddali usłyszał trzask gałązki, po chwili kolejny, głośniejszy. Coś ewidentnie się zbliżało. Zatrzymał się, by wyciszyć oddech i wsłuchać się w las. Nic więcej się nie stało, więc ruszył ponownie, tym razem ciszej stawiając kroki. Im dalej szedł, tym bardziej ziemia na ścieżce była rozmoknięta. Przypominał sobie, że kiedy skradał się do tego domu na końcu świata, również było wilgotno, a później rozpętała się burza.

W coraz bardziej nieprzeniknionej szarówce drzewa zdawały się zlewać w jedno, ale Redfern wiedział, że to masyw domu nie pozwala na rozpoznanie pojedynczych pni. Nie zważając na hałas, przyspieszył kroku i po chwili stanął przed bramą. Odnalazł w kieszeni klucze, które otrzymał od Knighta, i intuicyjnie wybrał największy z nich. O dziwo, zamek szcęknął cicho i wpuścił Redferna na teren posesji.

Okna domu zionęły martwą pustką, nie odbijały nawet resztek światła, które dzień zostawił jeszcze w pośpiechu. Redfern wszedł na werandę i rozejrzał się. Z jej desek mógł zobaczyć domek myśliwski, w którym Ronald Rudd popełnił samobójstwo. Wciąż miał przed oczami jego spokojną, łagodną twarz, jakby w ułamku sekundy zyskał pewność, że

wszystko, co go czekało na ziemi, dopełniło się, a on może bez żalu odejść. Przez jedną krótką chwilę Redfern pomyślał, że mu zazdrości.

Zamek do drzwi wejściowych okazał się równie gościnnie, co ten przy bramie i ustąpił przy pierwszym przekręceniu klucza. Redfern sięgnął po latarkę, którą przywiózł ze sobą. Promień białego światła omiół korytarz, wzbudzając panikę siedzących w rogach pajaków. Jedne podkurczyły patykowate nóżki, inne zrobiły z nich użytek i uciekły, znikając z pola widzenia.

Tknięty niezrozumiałym przeczuciem wszedł do pierwszego pokoju. To tu ukryła się Iza Wolańska, kiedy kazał jej uciekać z piwnicy. Wciąż pamiętał jej przerażone oczy, które patrzyły na niego spod wielkiego łóżka.

Redfern przyglądał się poszczególnym meblom. Przez ograniczone pole widzenia czuł się nieswojo. Szafa, trzy komody, parawan w pawie pióra w rogu sypialni. Nagle zdało mu się, że nie jest sam. Ktoś siedział w stojącym pod oknem fotelu i bacznie mu się przyglądał. Inspektor był pewien, że kątem oka widzi jego białka oczu. Ostrożnie i powoli odwrócił się i skierował snop światła w tamtą stronę, po czym przeklął w duchu swoją wyobraźnię, która zmieniała stertę ubrań w człowieka. Mimo że odetchnął z ulgą, wciąż czuł, że pokój skrywa przed nim jakąś tajemnicę. Zajrzał po kolei do każdej z szuflad, ale poza rzeczami osobistymi Ruddów niczego nie znalazł.

Lekko rozczarowany wyszedł i skierował kroki do piwnicy, w której Ronald Rudd przetrzymywał Izę Wolańską. Schodząc po schodach, przypomniał sobie, jak bardzo był zaskoczony wyglądem wnętrza – przyjemnie urządzonego pokój dziecięcy z nowymi meblami i mnóstwem zabawek. Rudd nie miał zamiaru skrzywdzić dziecka. Pięciolatka była bowiem ofiarą tylko do pewnego stopnia, dla byłego dziennikarza stała się środkiem do celu, który udało mu się osiągnąć. Dzięki porwaniu dotarł do porywaczy i morderców swojej wnuczki.

O mało nie spadł ze schodów, gdy niespodziewanie nadszedł esemes. Spojrzał na wyświetlacz i przeklął na głos. Zupełnie zapomniał, że umówił się z Adekunle Foworą. Pielegniarz z kliniki uzależnień właśnie czekał na niego pod biblioteką. Redfern napisał krótkie wyjaśnienie i poprosił o przełożenie spotkania. Mężczyzna odpisał, że ma wolne tylko w Nowy Rok, co inspektor przyjął za dobrą monetę.

Schował komórkę, zaśwycił światło w piwnicy i rozejrzał się po pomieszczeniu. Panująca w nim cisza była wręcz przytłaczająca, każdy krok czy szmer zdawały się pochłaniać grube ściany willi. Najbardziej martwiło go, że nie słyszy niczego, co dzieje się na zewnątrz.

Wszystko wyglądało zgoła inaczej, choć właściwie nic się nie zmieniło, od kiedy był tu ostatnio. Redfern widział ślady pracy swoich kolegów, którzy zabezpieczyli dowody w sprawie, choć nigdy nie trafiła przed oblicze sądu. Pościel w łóżku, rozrzucone po podłodze klocki i stolik pełen rysunków sprawiały wrażenie, jakby do pokoju zaraz miała wrócić

mała dziewczynka. Redfern podszedł do krzeselka i podniósł z blatu jeden z obrazków. Iza Wolańska rysowała głównie kolorowe kotki i fikuśne dla nich domki, czasem zahaczając swym dziecięcym artyzmem o patykowatych ludzi. Przyglądając się rysunkowi, jego uwagę zwrócił jeden szczegół – mimo że pięciolatka użyła wszystkich kolorów, na stoliku leżała tylko czarna kredka. Inspektor rozejrzał się po pokoju, ale nie znalazł żadnych innych. Nagle dotarło do niego, co widział w sypialni Ruddów.

Wbiegł po schodach i przeciął długi korytarz. Wpadł do pokoju i kucnął przy łóżku. Nie przywidziało mu się. Na podłodze leżało pudełko z kredkami i mały blok rysunkowy, który musiał wypaść dziewczynce, kiedy wciskała się pod ramę. Drżącymi dłońmi wziął do ręki blok i zaczął przeglądać, jednak poza kolejnymi wesołymi rysunkami niczego nie znalazł. Odłożył go i sięgnął po kartonik, który oprócz jedenastu kredek zawierał coś jeszcze.

Redfern patrzył na zdjęcie, na którym ktoś uchwycił Palacza, a przynajmniej taką miał nadzieję.

Wieczór

Dom zionął pustką niczym piwnice Ronalda Rudda – wszystko zdawało się być na miejscu, brakowało tylko żywych istot. Redfern pomyślał, że dziadek zabrał Bandita i najpewniej spędza teraz czas z Wandą, próbując zapomnieć albo przynajmniej ukoić nerwy po spotkaniu z Palaczem.

Nic jednak nie mogło stanąć mu na przeszkodzie w ugotowaniu wielkiego garnka krupniku, którego zapach sprawił, że David poczuł potężny skurcz żołądka. Zanim doszedł do wniosku, że się przejadł, spałaszował dwie dokładki, w duchu dziękując Bohdanowi, że ten relaksował się właśnie przy kuchni.

Wchodząc do pokoju z pełnym brzuchem i sennością osiadającą na powiekach, poczuł się winny, że na kolejne rozpytanie wysłał Summer samą. Żeby zmyć z siebie nieprzyjemne uczucie, sięgnął po komórkę i wybrał jej numer.

– O, stęskniłeś się? – Winter zapytała bez powitania.

– Byłaś u Olivii? – zignorował zaczepkę, która zawsze działała, kiedy rozmawiał z Tedem czy Maletzkim. W tym wypadku nie spodobał mu się żart, więc od razu wolał przejść do konkretów, obawiając się kierunku tej rozmowy. Usiadł na łóżku i wsłuchiwał się w raport policjantki.

– Nikogo nie zastałam, ale sąsiedzi powiedzieli mi, że widzieli, jak wsiada rano do samochodu i odjeżdża. Podobno miała ze sobą sporą walizkę. W jej pracy powiedzieli, że wzięła chorobowe.

– Ucieczka?

– Jeśli tak, to niedaleka. Sprawdziłam, że nie opuszczała kraju. Pozostaje sprawdzić monitoring na autostradach.

– Z Woking nie ma aż tak dużo wylotów na trasę – pokrępił ją.

W myślach widział unoszącą się ku linii włosów brew i uśmiech półgębkiem Summer.

– A co z czasem?

– Tinney sprawdził monitoring na Mabel Street i faktycznie Alan odebrał Samanthę z domu za dwadzieścia pięć ósma. Dzwonił do niej pół godziny wcześniej, więc albo upewniał się, że jest gotowa, albo zrobił jej niespodziankę.

– Jeśli Grantowie mówią prawdę, to raczej wszystko było zaplanowane – Redfern zamyślił się, próbując na szybko poukładać w głowie mnożące się scenariusze. Jeden z nich wydał mu się prawdopodobny.

– Albo jadąc po Samanthę, zorientował się, że zapomniał bukietu, i wspólnie pojechali kupić drugi, dlatego zmienili pierwotny plan.

– To by oznaczało, że ich śmierć była przypadkowa.

– Nie wierzysz w przypadki?

– To najcięższy oręż losu – odparła filozoficznie. – Może byli zatem świadkami czegoś?

– Barker jest właścicielem galerii. To może być jakiś trop – Redfern czuł, że łapie wiatr w żagle.

– Nie pojechaliby przecież do galerii na godzinę przed otwarciem – powątpiewała Summer.

– Sprawdź, czy jakakolwiek kwaciarnia jest czynna od ósmej. Może będziemy mieli szczęście.

– Okej, dzwoniemy się rano. Śpij dobrze – powiedziała melodyjnie i rozłączyła się.

Do wykonania miał jeszcze jeden telefon. Wiedział, że powinien sam zająć się naprawą triumpha, ale przy takim natłoku obowiązków zwyczajnie musi się zdać na cudze

ręce. Niepokoilo go, że staruszek powoli staje się za słaby, by nadażyć za życiem Redferna. Zadzwoił do znajomego mechanika i umówił na jutro odbiór auta z parkingu. Żeby nie ulec pokusie położenia się, usiadł na krześle i oparł się wygodnie. Z biurka wyciągnął zdjęcie, które znalazł w domu Ronalda Rudda. Przyjrzał mu się dokładnie. Przedstawiało plac za południową ścianą katedry Guildford i na nim kilkanaścioro ludzi. Było dość dobrej jakości, ale nie pozwalało na rozpoznanie poszczególnych osób. Ujęcie sugerowało, że zostało zrobione z wysoka, najpewniej z samolotu. Redfern nie tracił więc zmysłów, myśląc niemal codziennie o helikopterze. Kiedy mierzył z broni do Adriana Bonesa, naprawdę słyszał krążącą nad katedrą maszynę.

Inspektor długo wpatrywał się w czerwone kółko, które ktoś zrobił wokół jednej osoby, i szybko dostrzegł, co ją odróżniało od pozostałych – człowiek, zamiast biec do katedry, najwyraźniej z niej uciekał.

ROZDZIAŁ II

31.12.2013, wtorek

Rano

Davida obudził zgrzyt w zamku i szybki stukot psich łap o podłogę. Po chwili zobaczył uchylające się drzwi i poczuł przygniatający go ciężar. Bandit po kąpielii w deszczówce wskoczył na łóżko i postanowił pokazać panu, jak bardzo się za nim stęsknił. Redfern usiłował osłonić się od niechcianych buziaków, naciągając na siebie kołdrę.

– O, myślałem, że cię nie ma. – W drzwiach pojawił się dziadek. – Nie widziałem samochodu. Tylko mi nie mów, że ktoś go...

– Nie, nikt go nie ukradł, nawalił mi pod pracą – David uprzedził dziadka. – Musiałem go tam zostawić.

Zdjął z siebie szczeniaka, a ten natychmiast wybiegł z pokoju. David wstał. Zdawało mu się, że z przedpokoju dochodzą kroki jeszcze kogoś. Nie pomylił się. Po chwili usłyszeli kobiecy głos:

– Ten psiak powinien się nazywać Paco!

Redferna przeszedł dreszcz na myśl o kolejnym przaśnym imieniu psa.

– Bambi jest ładne, moja duszko – pospieszył uspokoić jej zapędy Bohdan.

– Dlaczego akurat Paco? – dociekał David, choć nie był przekonany, czy na pewno chce wiedzieć.

– Bo robi straszny raban! – zaśmiała się Wanda, a Bohdan jej zawtórował. David uśmiechnął się możliwie szeroko, czując, że drga mu powieka. Uznał, że zarówno żart, jak i widok dziadka układającego usta w „moja duszko” to stanowczo za dużo jak na wtorkowy poranek. Przywołał pieska i potarł mięką sierść na łebku, otrzymując w zamian mokrego całusa.

– Co to za bandyta, który nie rozrabia, prawda, Banditku? – zwrócił się z czułością do szczeniaka.

– Pierwsze słyszę, żeby sarenki rozrabiały – dorzuciła do pieca Wanda, stając za plecami Bohdana.

David wygonił całe towarzystwo, tłumacząc, że musi się ubrać. Goście burknęli coś o śniadaniu i zamknęli za sobą drzwi. Włożył dżinsy i koszulkę, po czym usiadł przy biurku. Do odprawy miał jeszcze ponad godzinę. Zastanawiał się, czy zdąży zadzwonić do Zhenga i opowiedzieć mu o swoich ustaleniach co do Palacza. W końcu uznał, że to jest ważniejsze niż cokolwiek inne, tym bardziej że Palacz zaatakował go we własnym domu, i wybrał numer.

– Cześć, Zheng – przywitał się, gdy tylko agent NCA odebrał połączenie.

– Domyślam się, że nie dzwonisz, by życzyć mi udanego dnia – mruknął zaspany mężczyzna. – Chociaż zważywszy

na porę, mógłbym się tego spodziewać.

– Przepraszam, faktycznie jest trochę wcześniej – Redfern poczuł się głupio, tym bardziej że znając rozrywkowy charakter Zhenga, można było przypuścić z osiemdziesięcioprocentową pewnością, że agent będzie hucznie świętować nadejście nowego roku.

– No więc co się stało? – spytał i ziewnął przeciągle.

– Chyba znalazłem Palacza – powiedział Redfern, choć wydawało mu się to sporą nadinterpretacją faktów. Zależało mu jednak na piorunującym efekcie, który chyba udało mu się osiągnąć, ponieważ Zheng przeklął siarczyście.

– Mów, co masz! – rozkazał.

– Pamiętasz, że w katedrze był drugi napastnik?

– Jak mógłbym zapomnieć. Pokazywałem ci nawet, jakiego tłumika mógł użyć.

– Chyba mam jego zdjęcie, ale nie podniecaj się, bo nie widać twarzy. Podejrzewam natomiast, jak i kiedy zostało zrobione. Pozostaje tylko pytanie, przez którego z pismaków.

– I ja mam ci pomóc odnaleźć tę igłę w stogu siana?

– Chyba nie będzie to takie trudne, ale faktycznie potrzebuję twoich ramion, by...

– Chcesz się przytulić? – przerwał mu Zheng, żartując w swoim stylu, który zawsze bawił Redferna.

– Raczej skorzystać z ich długości, bo moje są za krótkie.

– Ech, miałem nadzieję na numerek – jęknął agent.

– Numerek to będzie mi potrzebny, ale dziennikarza, który zrobił to zdjęcie. Najprawdopodobniej pracował

z Ronaldem Ruddem albo się znali. Możliwe też, że wcale nie chodzi o dziennikarza. Chodzi mi o to, by dowiedzieć się, czyja maszyna wisiała wtedy nad katedrą Guildford... – Redfern mówił coraz szybciej.

– Dobra, spokojnie, żołnierzu. – Zheng zaśmiał się do słuchawki. – Wszystko rozumiem, ale dlaczego sam tego nie zrobisz? To nie są tajne dane.

– Bo nie chcę, żeby dowiedział się ktoś z Woking, a tylko tobie ufam.

– Nawet po tym wszystkim?

Redfern milczał, zastanawiając się nad dobrą odpowiedzią, która zupełnie nie chciała nadejść.

– No dobra, to ja też czegoś się dowiedziałem. – Zheng przerwał jego myśli. – Co prawda miał to być prezent noworoczny, ale skoro sam zacząłeś, to masz. Pamiętasz próbkę wody, którą pobrałeś z tego oryginalnego manekina?

– Tak, pamiętam sekslalkę, którą Palacz dostarczył pod mój dom. – Redfern westchnął ciężko na to wspomnienie. – I jeszcze pamiętam naszą pracę nad nią i twój zachwyt nad kunsztem wykonania. Mów, co masz – ponaglił go.

– No, droga zabawka. – Rozmarzył się. – A swoją drogą, masz ją jeszcze?

– Zheng, skup się. Co z lalką?

– Jak wiesz, analiza wody wykazała, że pochodzi z morza. Coś mnie jednak tchnęło i zleciłem dokładniejsze badania. No i okazało się, że laboratorium znalazło w niej organizmy, które upodobały sobie wody Szkocji. Nie wiem, o co tu cho-

dzi, ale znając tego popaprańca, to może być jakaś pokrętna wskazówka.

Myśli inspektora natychmiast poszybowały do Dover i sierżanta Vishnawy Burkule, który szóstego października poinformował go, że wyłowiono z morza zwłoki nieznanego mężczyzny. Topielec miał przy sobie tabliczkę z policyjnej nagrody Redferna, co skierowało oficera na jego trop. Po dotarciu na miejsce z przerażeniem odkrył, że człowiek, który leżał na stole sekcyjnym, musiał być Adrianem Bonemsem. Albo padł ofiarą poważnej mistyfikacji. Aby nie ściągać na siebie kłopotów, przemilczał ten fakt zarówno przed oficerem z Dover, jak i przełożonymi. Teraz powoli rozsypanka zaczynała składać się w sensowną całość. Jeśli pominąć fakt, że woda w lalce pochodziła z zupełnie innej części brytyjskich mórz niż te okalające Dover.

– Jesteś tam jeszcze? – dopytywał Zheng.

– Tak, jestem. Zastanawiam się, jak to ugryźć.

– No to podział zadań mamy załatwiony. Ty myślisz, co może oznaczać woda z Morza Północnego, a ja idę w kimono, by solidnie odpocząć przed imprezą sylwestrową – oznajmił z radością. – A w ogóle jakie masz plany na tę noc?

Dobiegające z kuchni zapachy i dźwięki odpowiedziały mu, że w zasadzie plany zdecydowały za niego.

– Szalony bal na dwie pary – wyznał kwaśno Redfern. A wieczór spędzi najpewniej przy łóżku Marty, modląc się, by wróciła do pełni sił.

– Uuu, podwójna randka? – Zheng aż cmoknął.

– Tak, z czego jedna dwójka to para flirtujących tetryków, a druga – kawaler z psem.

– Dokooptuj sobie pannę z kotem i będzie *pico bello* – oparł ze śmiechem Zheng i życząc Davidowi szczęśliwego nowego roku, rozłączył się.

Pico bello, powtórzył w myślach Redfern, co zaniósło go wprost do Isabelli Bones. Obiecał sobie, że zaraz po sylwestrze złoży wizytę matce Adriana. Na razie jednak za drzwiami czekała na niego najlepsza jajecznicą świata, o której mieszkańcy Silver Manor mogli sobie tylko pomarzyć.

Spóźnienie Redferna zostało okraszone niezadowoloną miną McMahona, który zupełnie niespodziewanie dla inspektora zajął miejsce koło Tinneya i bacznie wszystkich obserwował. Tuż obok rozsiadł się Johanes z obyczajówki, którego służba miała dobiec końca z ostatnim dniem stycznia. Inspektor nawet ucieszył się z wizyty starszego kolegi, któremu najwyraźniej trudno było się pożegnać z murami komendy. Sam pewnie czułby się tak samo.

Siedząca trzy krzesła dalej Summer wyglądała, jakby odkryła ładunki wybuchowe pod Peacock Centre. Zgodnie z coachowym pierdololo McMahon, zamiast przeprosić za gafę, podziękował wszystkim za cierpliwość. Efekt był dokładnie taki sam – zestaw kamiennych twarzy, które marzyły wyłącznie o zakończeniu odprawy, dnia i całego

roku, bo jego końcówka okazała się dla zespołu wyjątkowo podła.

Redfern z ulgą myślał o triumfie, który kwadrans temu wylądował na nowoczesnej lawecie i pojechał do mecha- nika. Był wdzięczny, że Graham Bentley od razu podstawił mu auto zastępcze. Co prawda był to obły i nijaki citroën, ale uprzejmość mężczyzny prawdopodobnie uratowała mu dzień. Niezadowolona mina McMahona z powodu jego spóź- nienia miała wobec tego drugorzędne znaczenie.

– Mówcie, co macie – poprosił Redfern, licząc, że Winter wyrwie się pierwsza.

Z zadowoleniem usłyszał jej głos:

– To może ja. Od razu powiem, że nie udało mi się zna- leźć Olivii Shawn. W komputerze Alana Barkera też na razie nic nie znaleźliśmy. Ale dowiedziałam się czegoś ciekawego na temat naszej ofiary – oznajmiła i wyświetliła gustowną stronę internetową w odcieniach czerwonego wina.

Witryna nosiła nazwę „Redsam” i najwyraźniej należała do Samantha Grant, bo jej zdjęcie widniało na stronie powi- talnej. Summer Winter kliknęła na zakładkę „torebki” i ich oczom ukazała się cała gama damskich akcesoriów, podzie- lona na kategorie, które jednak niewiele mówiły zebranym. Kolejna zakładka, tym razem z paskami, była dużo czytel- niejsza. Na marginesie strony Redfern natychmiast dostrzegł link o wymownym tytule: „dla zabawy”, zupełnie jakby prze- kazał w myślach swoją sugestię. Kiedy Summer na niego kliknęła, ekran zalał komunikat, że wejście tylko dla doro-

słych. Policjantka wypełniła krótki formularz, podając fałszywą datę urodzenia, i uzyskała dostęp do galanterii. Reakcja policjantów była dwojaka – jedni wstrzymali oddech, inni cicho westchnęli ze zdziwienia.

Redfern uznał, że zdjęcia produktów śmiało mogły być wykorzystywane w pismach dla fetyszystów. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że modele skrupowani w najbardziej dziwaczne sposoby mieli na sobie produkty Samantha Grant. Na niektórych fotografiach uprząże, maski i obroże prezentowała też sama ich twórczyni.

McMahon pobladł i starał się nie patrzeć na wyświetlane przez Summer zdjęcia. Redfern nie miał zamiaru demaskować jego związku z Samantha, a już na pewno nie teraz, kiedy wszyscy patrzyli, jak jego chrześnica pręży się na ekranie.

– Nie taka znowu grzeczna, jak twierdzą rodzice dziewczyny – skomentował jeden z policjantów.

– To samo można powiedzieć o mężczyźnie – stwierdziła Summer i przewinęła w dół strony, gdzie kolekcję dla panów zachwalał Alan Barker.

– Możliwe więc, że to było narzędziem zbrodni – podsumował Tinney, wskazując na tablicę. – Ted jest pewien, że był to skórzany pasek. Pikanterii dodaje fakt, że pan młody miał na sobie damskie majtki – dodał i położył na stole zdjęcia, które otrzymał od patologa.

Różowy, ozdobiony koronkami atłas nie pozostawiał marginesu dla interpretacji. Wszyscy zebrani w sali byli

zgodni co do tego, że bielizna została zakupiona w dziale z konfekcją damską.

– No dobra, ale co nam to daje? – zapytał ktoś z sali.

– Pójdę tym tropem, poszukam klientów, dostawców skór – zapewniła Winter. – Założę się, że Samantha prowadziła księgowość albo przynajmniej spis ludzi, którzy kupowali te cuda. Możliwe, że dokądś nas to zaprowadzi.

– To mi coś przypomniało – odezwał się niespodziewanie stary Johanes, skupiając uwagę wszystkich policjantów. –

Parę lat temu mieliśmy sprawę dziwnego samobójstwa. Facet niby powiesił się sam na czerwonym pasku od podobnej uprząży, czy jak to nazwać. Nigdy nie znaleźliśmy sprawców, ale też nie byliśmy pewni, czy jakikolwiek był.

– Co masz na myśli? – zapytał McMahon, najwyraźniej odczuwając ulgę, że zeszli z tematu hobby Samantha Grant.

– To, że wyglądało to trochę, jakby ktoś przeholował z zabawą. Możliwe, że drugi uczestnik uciech po prostu uciekł. W każdym razie facet miał we krwi wszystkie możliwe świństwa. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się właściwie stało. Równie dobrze mógł to zrobić sam. Na wszelki wypadek wrzucono to do nas i zakwalifikowano jako samobójstwo. Statystyki muszą się zgadzać.

– Gdzie to było?

– Na pokładzie samolotu. – Stary policjant uśmiechnął się. Fałdy jego nalanej twarzy utworzyły drugi podbródek, nadając mu jeszcze sympatyczniejszy wygląd.

– Lotnisko Fair Oaks? – zapytał Redfern, który pamiętał obiekt ze sprawy Izy Wolańskiej. Był najbliżej Woking.

– Lepiej – odparł z tajemniczą miną Johanes. – Faceta znaleźli pracownicy Brooklands Museum w... concordzie.

– Pieprzysz! – wyrwało się z kilku gardeł.

– Od dziesięciu lat nie, serducho nie pozwala. – Zaśmiało się rubasznie. – Ale już całkiem poważnie, to może jest jakiś związek. Może trafiliśmy na jakiś wspólny mianownik?

– Możesz mieć cholerną rację – odezwał się nagle McMahon. – Przygotujesz nam papiery tej sprawy?

– Większość jest w bazie, ale jakby co, to służę pomocą. Może jeszcze na finiszu na coś się przydam. – Uśmiechnął się, ale dziwnym trafem tym razem fałdki ułożyły się w smutny obraz. – Facet nazywał się Jason McCabe. Był przed trzydziestką i z tego, co pamiętam, mieszkał w West Byfleet. Resztę znajdziecie w komputerze.

– Dobra robota, Johanes. – Po sali poniosła się pochwała Redferna, który najwyraźniej uprzedził McMahona. – Myślę, że najlepiej, jak przekopywaniem bazy zajmie się Tinney.

– A ty nie miałeś już być w Londynie, kolego? – zainteresował się szczerze Johanes.

– Miałem – bąknął Chris. – Ale zostały mi jeszcze jakieś tam procedury czy inne pierdoły. Najpewniej zacznę w połowie lutego.

– No to zrobimy łączoną imprezę pożegnalną – ucieszyła się Summer.

– Dobra, koniec przerywników, bo nas nowy rok zastanie – zażartował McMahon. – Wszyscy wiedzą, co mają robić? Jeśli tak, to widzimy się drugiego. Oby dwa tysiące czternaście przyniósł nam trochę więcej szczęścia.

– Amen, siostró – rzucił ktoś z sali i wszyscy zaczęli się zbierać do wyjścia.

Redfern wyszedł z sali z zamiarem zajrzenia do Tinneya, który puścił się przodem. Odkąd wrócił na komendę, nie miał okazji z nim porozmawiać. Szczególnie interesowało go przeniesienie do Londynu, które wciąż przesuwało się w czasie. Zaraz potem chciał wpaść do Summer i wypytać dokładnie o komputer Alana. Pograżony w myślach przemierzał korytarz komendy.

– Masz chwilę? – usłyszał głos z gabinetu Knighta.

– A ty nie w domu? – zdziwił się Redfern, przekraczając próg pokoju, który tonął w półmroku. – Myślałem, że świętujecie z Ruth.

Komendant siedział za biurkiem, jak zwykle oddzielony od świata murem z dokumentów. Ekran monitora oświetlał mu twarz białawym blaskiem, który podkreślił oznaki niedawnej choroby.

– Nie tym razem – odparł zrezygnowany Knight. – Córka przywiozła wnuki, więc północ zapewne spędzimy na czytaniu bajek i tłumaczeniu zapłakany pięciolatkom, dlaczego mamusi z tatusiem jeszcze nie ma.

Redfern pomyślał, że nikt nie kończy tego roku, patrząc w nadchodzący z radosnym nastawieniem. Tak wiele rzeczy

miało się tu zmienić, że wręcz wyczuwało się drgające od napięcia powietrze. Nasycone niepewnością stawało się niemal duszne.

– Znalazłeś coś? – zapytał Knight i pochylił się.

– Niestety, ale spędziłem tam za mało czasu – oznajmił Redfern, wchodząc i zamykając za sobą drzwi.

– Niedobrze, nie mogę blokować miejsca zbrodni w nie-
skończoność. – Twarz komendanta na ułamek sekundy prze-
ciął dziwny grymas. Wyczuwając kłopoty, Redfern porzucił
pierwotny pomysł zajęcia krzesła przed biurkiem.

– Miałem wrażenie, że nie byłem tam sam – pospieszył
z wyjaśnieniem, ale niespodziewana złość Knighta nie usta-
piła.

– Fatalnie. Facet, który ukradł komputer? – zainteresował
się.

Redfern skinął głową twierdząco, choć nie był pewien.

– Widziałeś go? – zapytał nieco za głośno.

Inspektorowi nie podobała się napastliwość przełożo-
nego. Postanowił rozegrać tę rozmowę po swojemu.

– Gość kręci się coraz bliżej, bawi się – oznajmił enigma-
tycznie. – Mam jednak wrażenie, że niedługo się znudzi
i zaatakuje naprawdę.

– Chcesz powiedzieć, że wysadzenie mieszkania, porwa-
nie Sokolińskiej i pobicie twojego dziadka to nie było
„naprawdę”? – zapytał, nie kryjąc zdziwienia.

– Zapomniałeś o zamachu na ciebie – przypomniał mu
inspektor, na co komendant tylko machnął ręką. – To jest

jakaś gra, Malcolmie. Facet przejął wszystkie karty i rozgrywa ostateczną partię.

Redfern starał się mówić jak najbardziej ogólnikowo, siląc się na sztampowe metafory. Zainteresowanie Knighta wydało mu się zbyt duże, co zapaliło w nim kolejną czerwoną lampkę. I w obliczu tego wcześniejsza sugestia, że powinien odgrodzić się od wszystkich z Woking, wydała mu się tym bardziej podejrzana. Wymieniając występki Palacza, komendant pominął próbę morderstwa. Zupełnie jakby to go nie interesowało albo jakby wiedział, kto za tym stoi. Inspektor postanowił, że od teraz każdy swój ruch będzie trzymać w tajemnicy, gdyby okazało się, że Knight próbuje jednak kogoś chronić.

– Będę się zbierał. Muszę jeszcze pojechać do muzeum Brooklands – powiedział Knight.

– Podobno tak – zaryzykował odpowiedź i wyszedł, zapominając życzyć komendantowi szczęśliwego nowego roku.

Tinneya zastał przy ekspresie do kawy. Młody policjant stał z kubkiem, odwrócony bokiem, i obserwował przez okno zmieniającą się pogodę. Porywisty wiatr zagarniał silnym ramieniem ostatnie chmury, dając nadzieję na przyjemne popołudnie.

– Będzie mi brakowało tej lury – powiedział nagle.

– W Londynie mają jeszcze gorszą – zapewnił go Redfern, wciąż mając w pamięci fatalną wodę w stolicy.

Żadna lavazza czy inny davidoff nie były w stanie pokryć tego metalicznego smaku. Po wielu eksperymentach agenci

NCA poddali się, dochodząc do wniosku, że nawet używanie rozpuszczalnego maxwella było w tym przypadku świętokradztwem.

– Jestem tu dopiero kilka miesięcy, a wydaje mi się, że kilkanaście lat – wyznał niespodziewanie Tinney.

– Bo tym, co się ostatnio wydarzyło w tej pipidowie, można by wypełnić całe archiwa innej pipidowy. Założę się o dwudziestaka, że w Londynie będziesz się nudził.

– Weź mnie nie strasz. – Tinney odstawił kubek i z prawdziwym przestachem spojrzął na Redferna, na co ten tylko się uśmiechnął.

– Udało ci się zerknąć do kompa Alana? – zapytał i wstał kubek pod dyszę ekspresu. Kantynę wypełnił syk i kwasowaty zapach kawy.

– Znalazłem ukryty katalog z filmami bardzo xxx oraz zabawami tej dwójki. W obliczu tego, co przedstawiła Summer, to wydaje się sesją reklamową. Chodź, pokażę ci.

Zabrali kubki z kawą i przeszli do biurka posterunkowego, na którym stały dwa laptopy. Tinney usiadł na krześle i uruchomił ten mniejszy. Redfern przyciągnął sobie krzesło z sąsiedniego stanowiska i wpatrywał się w ekran startowy. Chris wpisał hasło, poklikał w różne ikony i po chwili mogli podziwiać zdjęcia, które Alan Barker chciał ukryć przed światem.

– Nieźle – Redfern nie mógł się zdobyć na wyszukany komentarz.

Naszła go myśl, że nie kręci go ani lateksowy strój Samantha, której nie można było odmówić urody, ani skórzane jabłko w jej ustach na kolejnym zdjęciu, ani tym bardziej uprząż, na której prowadzał ją Alan. Po jakimś czasie wszystko to wydawało się po prostu śmieszne i na siłę udziwnione. Z każdą kolejną odsłoną ich igraszek zmieniały się tła, rekwizyty i pozy, ale ze wszystkich wyzierała dziwna pustka.

– A to? – Redfern dotknął ekranu, na co Tinney syknął z dezaprobatą. Sięgnął po leżącą na blacie ściereczkę i przetarł powstały na matrycy odcisk.

– Też zwróciłem na to uwagę – oznajmił po chwili. – To wygląda, jakby zostało zrobione poza sypialnią.

Patrzyli razem na parę figlującą w czymś, co Redfern nazwał klatką, choć tylko z jednej strony miała kratę. Dwie pozostałe ściany stanowiły lustra wielkie jak w siłowniach. Pośrodku stało coś na kształt szerokiego łóżka szpitalnego pełnego pasków i klamer, a z boku stolik, jakiego zwykle używa się przy operacjach. W słabym świetle Redfern dostrzegł różnego kształtu wibratory.

– Może to jakiś klub? – zasugerował Tinney, lekko mrużąc oczy.

Przewinął galerię dalej. Na każdej fotografii patrzyli na parę ubraną w skąpe skóry lub zupełnie nagą w coraz śmielszych pozach. Na ostatniej Alan zacisnął coś na szyi Samantha, stojąc za nią. Dziewczyna otworzyła usta, jakby usiłując złapać haust powietrza, a on odchylił głowę w dzikiej ekstazie.

– Zmieniam zdanie – oznajmił Tinney. – To nie mógł być klub. Tu zrobiono całą sesję, a takie miejsca nie życzą sobie zdjęć. To jest absolutnie zakazane – dodał z powagą.

– A zatem prywatna komnata – podsumował Redfern. – Dobra robota, Chris. Przejrzyj jeszcze dokładnie te fotki, może coś znajdziesz.

– Będę musiał wyjść trochę wcześniej, szefie. – Skrzywił się. – Siostrzenice wymusiły na mnie sylwestra dziesięciolecia.

– Ale one mają chyba po osiem lat! – Redfern nie krył rozbawienia. Podejrzewał, że pod tą obietnicą kryje się chęć ukrycia prawdy przed dziećmi.

Parę miesięcy temu siostra Chrisa uznała, że jest zmęczona macierzyństwem, i uciekła z nieznanym mężczyzną, zostawiając dziewczynki pod opieką brata. Podobno przestała nawet przysyłać mu pieniądze. Chris zdecydował się pozbawić ją praw rodzicielskich. Przeniesienie młodego policjanta do Londynu było mu wręcz niezbędne, przede wszystkim ze względów finansowych. Redfern obiecał sobie, że jeszcze dziś uruchomi swoje kontakty w stolicy, by w miarę możliwości przyspieszyli sprawę.

– Nie chodzi o samą imprezę, choć oczywiście to też, ale dziś adoptujemy kota ze schroniska. Dziewczyny uznały, że powinna być równowaga, bo one są dwie, a ja jeden, więc bierzemy takiego jednookiego bandytę. – Tym razem Chris uśmiechnął się perliście.

– Myślałem, że chciały psa?

– Nie, mam w domu dwie małe kociary.

– Miałem kiedyś kota – wyznał Redfern, czym zaskoczył nawet siebie. – Przytargałem go w drodze ze szkoły, gdy mieszkałem z mamą w Hammersmith. Biało-bury, z różowym nochalem. Nie miauczał, tylko wydawał takie śmieszne dźwięki. Najwierniejszy i najmądrzejszy zwierzak, jakiego miałem.

– To dopiero historia. – Tinney klepnął się w kolano. – Jak już twardy inspektor Redfern się otwiera i mówi o swoich pupilach, to albo świat się kończy, albo ten rok będzie lepszy, niż się wszyscy spodziewają.

– Dobra, nie rozczulaj mi się tutaj, tylko leć po tego kocura. Niech już dłużej nie siedzi w klatce.

Tinney zniknął z pola widzenia, zostawiając po sobie niedopitą kawę i opilki szczęścia, które zdawały się wirować w zatechłym tajemnicami powietrzu.

– A ten co taki ucieszony? – Przed Redfermem jak spod ziemi wyrosła Summer, wskazując Tinneya.

– Urządza sylwestra marzeń – oznajmił Redfern, przyjmując kamienny wyraz twarzy.

– Zazdroścę – westchnęła, patrząc z rozrzewnieniem w głąb korytarza za Tinneyem.

– Kotu go urządza – uzupełnił Redfern i uśmiechnął się.

– Jemu naprawdę potrzebny jest ten Londyn – skomentowała z udawaną troską. – A ty, co porabiasz?

– Chcę pojechać do mieszkania Samantha, a potem do szpitala, do Marty.

– Racja, Marta – powiedziała, dziwnie przeciągając sylaby.

Redfern spojrział na nią z ukosa, ale nie dodał nic więcej.

– Może ci się przydać to. – Wyciągnęła z kieszeni klucze.
– Podjechałam wczoraj do rodziców Samantha i zapytałam, czy przypadkiem nie mają kompletu. I *voilà!*

– Wspaniale – pochwalił ją i wziął od niej pęk. – Zjem coś i uciekam.

Summer, nie znajdując w tym zaproszenia, kontynuowała niemrawo:

– Okej, a ja spróbuję się dowiedzieć czegoś o Alanie. Brooklands Museum jest dziś nieczynne, więc nie da rady tam wejść, a czuję, że dzięki Johanesowi trafiliśmy na coś ważnego.

– Też tak uważam, ale nic się nie stanie, gdy poczekamy tych kilka dni. Spróbuj jeszcze poszukać Olivii Shawn, może rzuci nieco światła na to... – Redfern odwrócił ekran laptopa w jej stronę. Summer spojrzała i wydała z siebie ciche gwizdnięcie.

– Robi się coraz ciekawiej – przyznała. – Gdzie to było zrobione?

– Nie wiem.

– Ciekawsze jednak, kto im te zdjęcia zrobił. – Summer wskazała na jedno z luster, przez które przebiegał niewyraźny cień. Po dłuższym przyjrzeniu się można było zobaczyć, że odbija człowieka. Mrok pomieszczenia uniemożliwiał jednak rozpoznanie, czy była to kobieta, czy mężczyzna.

– Może przyjaciółka Samantha powie nam, jaka naprawdę była panna Grant. Coś mi podpowiada, że to dopiero wierzchołek tej sprawy.

Popołudnie

Pociąg linii kolejowej South Western dojechał do Clapham Junction o czasie. Redfern z zadowoleniem stwierdził, że pora lunchu sprzyja podróżom do Londynu. Złapał kolejny pociąg i kiedy już w nim siedział, pomyślał, że musi o coś zapytać dziadka. Jego rozważania co rusz przerywały esemesy od załogi, zwłaszcza od Summer, która namawiała go, by zajrzał choć na chwilę do Sovereigna. Z dość chaotycznych wiadomości wynikało, że wszyscy samotnicy komendy Woking zbierają się, by świętować nadejście nowego roku. Nie był przekonany, czy ma ochotę na imprezę w towarzystwie bandy utracjuszy. Asekuracyjnie odpowiedział, że się zastanowi, co sprawiło, że Summer przestała go bombardować.

Po kilkunastu minutach jazdy wysiadł na pustym peronie Norwood Junction i przesiadł się do kolejki naziemnej, która zawiozła go do Lewisham. Owiana złą sławą dzielnica prezentowała się tak, jak mówiły o niej legendy.

Oslaniając się od wiatru, szedł Circular Road. Minął Polski Ośrodek Lewisham i dotarł do szeregu kamienic z beżowego kamienia. Wybrał tę z numerem trzydzieści trzy. Wszedł po schodach i stanął przed niebieskimi drzwiami.

Chwilę mu zajęło, zanim sforsował zamki kluczami, które dostał od Summer.

Gdy skrzydło ustąpiło, wspiął się na pierwsze piętro i odnalazł mieszkanie numer cztery.

Składało się, podobnie jak u Grantów, z salonu, który był zarówno przedpokojem, kuchnią, jak i pokojem dziennym, z tą różnicą, że przepierzenie stanowił tutaj ażurowy regał na książki.

Obok drzwi wejściowych zobaczył wejście do łazienki. Postanowił zajrzeć najpierw tam. Rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że zdecydowanie była to damska świątynia pełna magicznych artefaktów, których zastosowania nigdy nie zrozumie. W szafce nad umywalką znalazł standardowe wyposażenie: szczoteczkę do zębów, pastę, środki przeciwbólowe i kilka maści. Pod umywalką środki czystości. Nic, co wskazywałoby, kim naprawdę była Samantha Grant.

Wyszedł i skierował się w stronę salonu.

Wysokie, łukowe okna rzucały mdłe światło na nowoczesne meble i sprzęty. Główną ścianę zajmował sporych rozmiarów telewizor, pod nim niska komoda z książkami, a tuż za nią Redfern dostrzegł wąskie drzwi. Podeszedł i je otworzył, uwalniając zamknięty w sypialni zapach perfum. Lekka owocowa nuta wciąż unosiła się w powietrzu, jakby mieszkanie w desperackiej próbie usiłowało zatrzymać pamięć o swojej właścicielce. Samantha pożegnała się z tym miejscem w eleganckim stylu, zostawiając pościelone łóżko, równo ułożone buty i podzielone na kolory ubrania w szafie

– każde złożone w żołnierską kostkę. Tylko cieniutka warstwa kurzu na parapecie świadczyła o tym, że od kilku dni nikt tu nie zaglądał.

Zrezygnowany wyszedł i usiadł na skórzanej kanapie w salonie. Rozglądał się po pomieszczeniu, zły, że niczego ciekawego tu nie odkrył. W pewnym momencie dostrzegł na szafce coś dziwnego. Taki sam ślad zauważył na futrynie i regale z książkami. Wstał i przyjrzał się z bliska zabrudzeniom. Po chwili nie miał już cienia wątpliwości. Takie smugi zostawia kot, gdy wielokrotnie ociera się pyszczkiem, zaznaczając swoją własność. Znał je doskonale, ale na wszelki wypadek obejrzał wszystkie w mieszkaniu. Nie znalazł jednak żadnej sierści, kuwety ani misek. Doszedł więc do wniosku, że zwierzątko nie było już mieszkańcem kawalerki. Postanowił jednak to sprawdzić i zajrzał w standardową lokalizację kocich kuwet w małych mieszkaniach. Ponownie wszedł też do łazienki. I tu, w rogu koło muszli klozetowej, zobaczył kilka ziarenek żwirku i ślad po kuwecie. Najwyraźniej ktoś zabrał stąd futrzaka. I nie była to Samantha.

Przeszło mu przez myśl, że to mogła być Olivia. A jeśli tak, to musiała zostawić po sobie ślad. Redfern wrócił do salonu i stanął przed regałem oddzielającym pokój od drzwi wejściowych. Ku jego zaskoczeniu nie był oznaczony przez kota, a więc musiał się pojawić całkiem niedawno.

Kto kupuje nowy mebel tuż przed przeprowadzką do nowego lokum?, pomyślał Redfern, wpatrując się w półki.

W myśl zasady: pokaż mi swoje książki, a powiem ci, kim jesteś, inspektor zaczął przeglądać kolorowe grzbiety. Podobnie jak Alan, Samantha lubiła ładne wydania. Choć w swojej kolekcji miała więcej książek o programowaniu i rynkach finansowych, to Redfern wypatrzył pierwsze i, jego zdaniem, najładniejsze wydanie *Diuny*. Żeby nie dostać oczopląsu, przesuwał palcem po kolejnych pozycjach, szukając luki w schemacie. Po paru minutach znalazł grzbiet bez tytułu. Wyciągnął album i usiadł z nim na kanapie. Przewracał sztywne strony opisane intrygującymi tytułami. Najciekawsze wydały się mu: *Na wyżynach strachu*, *Wakacje offline* i *W szponach przygody*. Rodzice Samantha mieli rację – przyjaźń ich córki z Olivią była bardzo zażyła, bo dziewczyna towarzyszyła narzeczeństwu nawet w egzotycznych podróżach, z których zdjęcia zdobiły niemal każdą stronę albumu. Wyciągnął jedno i schował do kieszeni. Poszukiwania Olivii Shawn mogły teraz nieco przyspieszyć.

Wrócił do sypialni i ponownie przejrzał rzeczy Samantha, ale wciąż nie znalazł w nich żadnych śladów drugiej osoby, nawet Alana. Kilka szuflad w komodzie pod oknem było pustych, jakby życie panny Grant nie wymagało aż tyle przestrzeni, by zapełnić kawalerkę.

Drzwi lodówki, które zwykle robią za pamiętnik z wakacji, również świeciły pustką. Otworzył je i doszedł do wniosku, że Samantha żywiła się wyłącznie gotowymi produktami. Wybór darmowych sosów i pudełek z resztkami stanowił przegląd chyba wszystkich stoisk Borough Market. Praca przy giełdach finansowych musiała być zatem zajęciem

mocno zakłócającym życiowy balans, skoro dziewczyna zaopatrywała się w największym skupisku ulicznego żarcia w Anglii.

Redfern sięgnął po komórkę i sprawdził numer telefonu do Barclays Bank, zastanawiając się, czy ktokolwiek udzieli mu odpowiedzi na nurtujące go pytania. Połączenie uzyskał już po pierwszym sygnale, jakby osoba po drugiej stronie na nie czekała. Uprzejma kobieta z recepcji biurowca poinformowała go, że dziś wszyscy mają wolne. Redfern zdawał sobie sprawę, że recepcjonistka nie znała wszystkich z dwóch tysięcy osób pracujących w budynku, więc nie pytając o nic więcej, pożegnał się.

Podrzucił w dłoni pęk kluczy. Na srebrnym kółku zostały jeszcze dwa niewykorzystane – stary i nieco zardzewiały oraz drugi bardzo nowoczesny, bez ząbków, za to z kilkoma okrągłymi zagłębieniami. Wyszedł z mieszkania i zszedł po schodach, rozglądając się za drzwiami z zamkiem, do którego pasowałby wielki klucz. Na samym dole, w końcu korytarza dostrzegł starą kratę, podbitą od wewnętrznej strony czymś w rodzaju pilśni. Wisząca na niej kłódka szczęknęła głośno, gdy przekręcił w niej stary klucz. Piwnica w żaden sposób nie przypominała tej u Ronalda Rudda. Przesiąknięte wilgocią mury i mdłe zatechłe powietrze nie zachęcały do wejścia. Jednak Redfern naciągnął kołnierz kurtki i podążył wąskim niczym podkop złodziei korytarzem. Po chwili dotarł do nowoczesnych drzwi, u których boku ktoś zamontował zamek – ostatni klucz pasował idealnie.

Ostra i wdzierająca się w nozdrza woń kleju i skóry natychmiast wyparła zapach korytarza, zapowiadając, co Redfern zastanie w środku. Warsztat Samantha przypominał jej mieszkanie – schludny, poukładany aż do przesady. Na tablicy wisiały rylce i dziurkacze, w przezroczystych szufladkach tłoczyły się klamry, sprzączki i metalowe ozdobniki, najwięcej ćwieków i kolców. Samantha najwyraźniej przerwała pracę nad skórzaną maską, której przednia część spoczywała już na głowie manekina, zakrywając całą jego twarz. Redfern zastanawiał się, w której fazie produkcji artystka zamierzała dodać otwory na oczy. Na razie był tylko oprawiony metalowym krążkiem otwór na usta i dwie małe szparki, które miały umożliwić oddychanie. Samantha najwyraźniej skończyła w momencie nabijania stalowych szlufek z tyłu, ponieważ nie sięgały nawet połowy głowy modela.

Redfern rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu drzwi do kolejnego. Miał nadzieję, że to właśnie tu zrobiono większość zdjęć do portfolio, jednak po kilku minutach doszedł do wniosku, że warsztat jest tylko warsztatem.

W szafach pod ścianą czekały zamówienia opisane karteczkami, poniżej – paczki gotowe do wysłania. Największa z nich przykuła uwagę inspektora. Sprawdził adres na naklejce kuriera: John Smith. Takie samo imię i nazwisko było na wszystkich pozostałych, zmieniał się tylko adres. Zastanawiał się, czy mógł mieć aż tyle szczęścia. Zrobił zdjęcia wszystkim paczkom i wysłał Summer z adnotacją, co to jest i co powinna z tym zrobić. Po chwili otrzymał emotkę uniesionego kciuka.

Redfern przyjrzał się ponownie pracom Samantha. Paski, obroże i kajdany zupełnie nie odpowiadały jego gustowi, ale torebki bardzo mu się podobały – łączyły w sobie wykwintność z oryginalnością. Pomyślał, że Marcie też mogłyby się spodobać. Zamknął za sobą drzwi i wyszedł z piwnicy.

Idąc korytarzem, zobaczył wchodzącą do kamienicy młodą kobietę. Przystanęła i rzuciła Redfernowi badawcze spojrzenie.

– Kim pan jest? – zapytała ostro. – I co pan tu robi?

– Jestem z policji – wyjaśnił. – Czy zna pani Samantha Grant?

– Tak, to moja sąsiadka – spuściła z tonu i spojrzała na Redferna nieufnie. – Czy coś się stało?

– Obawiam się, że Samantha nie żyje – oznajmił.

– Nie żyje?! – Kobieta złapała się poręczy schodów, jakby miała upaść. – Boże, co za tragedia! Czy ona przypadkiem nie miała wyjść za mąż?

– Zgadza się – potwierdził. – Dobrze ją pani znała?

– Od kilku lat byłyśmy sąsiadkami, trochę się kolegowaliśmy – przyznała z ledwie dosłyszalnym cieniem niechęci.

– Wiedziała pani o jej hobby? – Redfern wskazał na drzwi piwnicy.

– Tak, sama noszę wyroby Samantha. – Ku uldze Redferna kobieta zaprezentowała wiszącą na jej ramieniu torebkę. – Piękne rzeczy.

– Czy Samantha mieszkała sama? – zapytał, pomijając komentarz o wyrobach kobiety.

– Tak, choć czasem spał u niej ten jej facet, niestety, nie pamiętam imienia. – Wzruszyła kpiąco ramionami, uciekając gdzieś wzrokiem ponad ramieniem Redferna.

– A kot?

– Jaki kot? – zapytała odruchowo, po czym jej twarz nagle pojaśniała – A, kot. Miała kiedyś kota, ale nie wiem, co się z nim stało.

– Czy ktoś poza Samantha miał klucze do mieszkania? – Redfern pokazał kobiecie pęk, który trzymał w dłoni.

Tylko rzuciła okiem i odpowiedziała:

– Możliwe, że tylko ona. Nie jestem przekonana, czy ten facet je miał. Chyba zawsze wchodzili razem. – Kobieta zmrużyła oczy.

– Czy Samantha miewała gości?

– Jeśli nie liczyć kurierów, to właściwie nikt tu nie przychodził. – Zawiesiła na chwilę głos, po czym dodała: – Wciąż nie mogę uwierzyć, że Sam nie żyje. Miała tyle planów, tyle marzeń...

– Czy mógłbym dostać jakiś namiar na panią? – przerwał jej Redfern. – Mieszkam w Woking, więc sama pani rozumie, że dojazd tutaj jest dość kłopotliwy.

– Oczywiście – odparła entuzjastycznie, po czym zaczęła szukać czegoś w torebce. Wyciągnęła z niej portfel, z którego wyjęła i podała Redfernowi wymiętą wizytówkę. – Przepraszam, tylko taka mi została.

– Nie ma sprawy, pani... – zerknął na kartonik – ...Taylor.

– Zgadza się, Taylor. Grace Taylor. – Zaczerwieniła się nagle, jakby własne nazwisko wprawilo ją w zakłopotanie. Redfern podejrzewał niedawny rozwód, ale nie miał powodów, by drażnić temat stanu cywilnego kobiety. Błady pasek na palcu serdecznym wystarczył za dowód.

– Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dzwonić. – Uśmiechnęła się blado i zaczęła wchodzić po schodach. – Do widzenia.

Patrząc za kobietą, Redfern zastanawiał się, czy nie wrócić jeszcze do mieszkania. Ostatecznie uznał, że niczego więcej z niego nie wyciągnie. Wciąż jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że kamienica przy Circular Road nie odkryła przed nim wszystkich tajemnic.

Siedząc w wagonie, obserwował przesuwaną się za oknem krajobraz. Prędkość pociągu sprawiła, że kolejne miejscowości jawiły się jako poziome kreski w różnych odcieniach szarości. Dopiero gdy zbliżali się do Woking, pęd nieco się zmniejszył i Redfern mógł zobaczyć ogromne logo salonu i muzeum Mercedesa, które sąsiadowało z tym w Brooklands. Coś przyszło mu do głowy. Zadzwoił do Tinneya z prośbą o odszukanie adresów bliskich Jasona McCabe'a. Zanim dojechał do swojej stacji, miał w mailu wszystkie dane. Przy imieniu matki samobójcy Puszka dostawił krzyżyk, natomiast dwie pozostałe osoby miały ten sam adres. Redfern z zadowoleniem stwierdził, że mieszkają niedaleko jego domu.

Mimo że mieszkał w okolicy dość długo, uliczka Lytton Road była dla niego niespodzianką. Najbardziej zaskoczył go brak asfaltu niemal w centrum miasta i wielkość domów, która w zestawieniu z wąską uliczką była przytłaczająca. Willa McCabe'ów wyróżniała się kilkumetrowym przeszkleniem ciągnącym się od parteru aż po dach. Redfern nacisnął dzwonek i czekał, spodziewając się, że dotarcie do drzwi może zająć gospodarzom dłuższą chwilę. Kiedy usłyszał zwalnianie kilku zamków i skrzydło odskoczyło od futryny, wzdrygnął się, bo przed nim stał żywy Jason McCabe, a za nim jego damska wersja.

– Słucham? – odezwał się napastliwym tonem McCabe.

– Dobry wieczór, nazywam się Redfern i jestem z policji – przedstawił się. – Chciałbym porozmawiać o Jasonie McCabe.

– Jednak doszliście do wniosku, że nasz brat raczej nie zawisnął w damskich gaciach z własnej woli? – zapytała kobieta.

– Pojawily się pewne wątpliwości – lekko skłamał Redfern. Jak dotąd wątpliwości miał tylko on. – Czy mogę wejść?

– Jasne, niech pan wchodzi. – Mężczyzna zaprosił go bez serdeczności i otworzył szerzej drzwi. – Co złego może nas jeszcze spotkać?

Usiedli przy wielkim stole, którego blat stanowiła surowa decha z sekwoi, a nogi – pokracznie powyginany drut. Nad głową Redferna wisiał monstrualny czarny pajak z kabli od żelazka. Na końcach kabli zamontowano żółtawe żarówki

z dziwnie poskręcanyimi żarnikami, które dawały mdłe światło. Inspektor poczuł się jak na seansie spirytystycznym. Każde jego słowo unosiło echo ogromnego pomieszczenia, którego wątpliwą ozdobą była leżąca pod stołem skóra krowy. Od dziecka nienawidził takich artefaktów. Nie widział sensu w dekorowaniu wnętrza domu śmiercią jakiegoś stworzenia. Odsunął się od stołu, by nie dotykać butami skóry.

Rozmowa niezręcznie utknęła na motywie śmierci Jasona.

– Nasz brat nie miał powodów, by się zabijać – powiedziała kobieta, która przedstawiła się jako Kate McCabe. Jej brat, Thomas, gorliwie pokiwał głową.

– Nie wierzę też, że był to wypadek – dorzucił Thomas. – Nasz brat nigdy nie brał narkotyków, a ten wasz koroner, czy jak go zwał, mówił, że Jason miał we krwi całą tablicę Mendelejewa. Był bardzo kochającym bratem, świetnym pracownikiem. Nawet dostał awans – wymieniał.

Słuchając go, Redfern przypomniał sobie obrazek z internetu, na którym dwie osoby stoją po przeciwnej stronie namalowanego na podłodze numeru. Jedna krzyczy, że to szóstka, a druga, że dziewiątka. Obie mają rację, bo brakuje kontekstu. Tak samo mogło być w przypadku McCabe'a. W tej sprawie nikt nie mijał się z prawdą.

– Dlaczego właściwie do tego wracamy? – zapytała nagle Kate. – Nie możemy zostawić jego pamięci w spokoju?

– Badamy pewną sprawę. Jeden z policjantów wskazał na pewne podobieństwo do sprawy Jasona.

– Naprawdę? – zapytał z dziwną fałszywością Thomas. – Ktoś kogoś powiesił czy zaćpał na śmierć?

Redfern nie odpowiedział. Nie do końca podobał mu się ton obojga. Kate poprawiła się na krześle i bawiła się kosmykiem niemal białych włosów, który opadał jej na chude ramiona. Wzrokiem zdawała się śledzić słoje w drewnianym blacie.

– Chciałem zapytać, czy Jason miał jakichś wrogów? Czy wspominał o tym, że się czegoś boi? A może zmieniło się coś w jego zachowaniu?

– Już mówiliśmy to pana poprzednikom – powiedział z naciskiem Thomas. – Jakieś pół roku przed śmiercią Jason poznał kobietę. Niestety, nigdy nas z nią nie poznał. Zmienił się jednak, częściej odwiedzał naszą świętej pamięci mamę, wyraźnie spokorniał. Nie miał powodów, by się zabijać.

– Mama tak się cieszyła z jego awansu – dodała Kate. – Sama wychowała naszą trójkę, a ogarnąć trojaczki w latach osiemdziesiątych to był nie lada wyczyn. Jason był jej oczkiem w głowie. Zresztą nie bez powodu. To on kupił ten dom – wyznała, jakby potrzebowała zrzucić z siebie jakiś ciężar. – Mam nadzieję, że dopadnie pan tych bydlaków, którzy to zrobili.

Redfern pożegnał się z rodzeństwem i opuścił ich dom. Szedł wzdłuż Oriental Road i rozmyślał. Kiedy znalazł się u wylotu Princess Road, zrozumiał, co nie pasowało mu

w tej rozmowie. Ani Kate, ani Thomas nie dopytywali o sprawę, która na nowo zwróciła uwagę policji na Jasona. Zupełnie jakby wiedzieli.

Wieczór

Dotarł do domu po dwudziestej, witany przez Bandita, jakby nie widzieli się co najmniej od pół roku. David pogłaskał psa, zdjął kurtkę i buty, i poszedł do kuchni wiedziony boskim zapachem przygotowań do sylwestra. Z mieszaniny aromatów wyłapał sałatkę warzywną, faszerowane pieczarkami jajka i śledzie. Doszedł do wniosku, że dziadek odzyskał formę.

Bohdan siedział przy stole, rozwiązując krzyżówkę swoim koślawym pismem. Przywitał się z Davidem i zaproponował mu mielonego z ziemniakami, które trzymał dla wnuka zawinięte w kołdrę w pokoju. Na samą myśl Davidowi żołądek skręcił się w trąbkę. Poszedł do sypialni i wyciągnął z pościeli jeszcze ciepły garnek i ronderek, obydwa owinięte w „Daily Mail”. Wrócił do kuchni i przełożył wszystko na talerz.

– Jak się czujesz? – David wskazał na plaster na głowie dziadka, po czym nadział na widelec kolejnego ziemniaka.

– Całkiem nieźle. Mam twardą głowę – zapewnił, nie odrywając się od szarady.

– To dobrze, bo twarda przyda ci się dziś wieczorem na sylwestra z Wandą – usiłował zażartować David. – Widziałem

w lodówce szampana. Moët & Chandon, fiu, fiu.

– Wróbel Ćwirek się znalazł – burknął dziadek, przypominając wnukowi, skąd znał to powiedzonko.

Pamiętał, że gdy w latach dziewięćdziesiątych mieszkał u dziadka w Polsce, bajki emitowano w telewizji tylko o określonych porach, w tygodniu około dziewiętnastej. Pod niezrozumiałą dla Davida nazwą „Wieczorynka” wyświetlano filmy rysunkowe polskiej produkcji o wyrazistej kresce i ponurych kolorach. Choć był na nie stanowczo za duży, David najbardziej lubił *Bolka i Lolka* oraz *Reksia*. Ćwirek rozśmieszał go swoją ciekawością i do tej pory pamięta niektóre ptaki, pokazywane pod pretekstem przygód wróbla. Patrząc na zasepionego dziadka, David pomyślał, że sam jest jak ten wróbel pomieszkujący kątem w gnieździe u bociana.

– Dziadku, chciałbym cię o coś zapytać.

– Nie, nie boję się tego Palacza – zapewnił go ostrym tonem.

– Ja nie o tym, chociaż obawiam się, że też się wściekniesz.

– Ja się nie wściekam – warknął dziadek, po czym dodał już łagodniej: – Zresztą mów.

– Pamiętasz mieszkanie na Hammersmith, to po mamie?

– Po babci – poprawił go dziadek.

– Ale mieszkała w nim potem mama, no i ja. Co się z nim stało?

– Nic – odparł i szybkim gestem rzucił długopis, który upadając, pacnął głośno o krzyżówkę. – Co miesiąc ratuje

mój emerycki budżet.

– Wynajmujesz je? – zdziwił się Redfern, prawie zachłystując się herbatą.

– Zgadza się. Mam agencję, która się tym zajmuje. Nic nie muszę robić. To, co zostaje, odkładam.

David zdawał sobie sprawę, że wynajęcie odziedziczonego po Kazimierze mieszkania bardzo ułatwiło Bohdanowi decyzję o przyjeździe do Anglii. Z polską emeryturą nie przeżyłby na wyspach ani miesiąca, a tak mógł sobie pozwolić na skromne życie w Woking i opiekę nad dorastającym wnukiem.

– Nigdy o tym mieszkaniu nie rozmawialiśmy. Dlaczego teraz cię interesuje? – zaciekawiał się Bohdan. – Myślałem, że nie chcesz tam wracać.

– Nie chciałem. Przecież to tam... – urwał, nie mogąc dokończyć zdania, w którym pojawiłyby się obok siebie słowa „matka” i „samobójstwo”. – Po prostu zastanawiam się, czy się nie wyprowadzić. Z Londynu do Woking nie jest daleko.

– Już ci mówiłem, że nie ma takiej potrzeby. Możliwe, że na wiosnę wprowadzę się do Wandzi – oznajmił niespodziewanie i uciekł wzrokiem gdzieś przez okno. – Będziemy się sobą nawzajem opiekować.

– Nie możesz uciec z własnego domu. – David się zdenerwował, niepotrzebnie rozpoczynał tę rozmowę. – Masz mnie – dodał już spokojniej.

– Dawidku, ty musisz się skupić na sobie. – Dziadek spojrział poważnie na wnuka. – Jesteś młody, powinieneś czerpać z życia, a nie zastanawiać się, czy stary piernik zakręcił gaz albo czy dał radę wyleźć spod prysznic. Czasy wielopokoleniowych domów to, dzięki Bogu i Allahowi, przeszłość. Oczywiście, jeśli chcesz zamieszkać w szpiegowskiej części Londynu, to proszę bardzo, ale uważam, że powinieneś zostać tutaj. W Woking lepiej wychowuje się dzieci.

– Ale ja nie mam dzieci – obruszył się David, ponownie czując, że wypita herbata trafia nie w tę dziurę. – Nawet nie chcę mieć.

Bohdan nic nie powiedział, tylko ukrył uśmiech za szklanką z duralexu.

– Jedziesz do Marty? – zapytał od niechcienia, odstawiając naczynie na stół.

– Tak, zaraz się zbieram. Mam nadzieję, że uda mi się z nią porozmawiać.

– Uda – zapewnił dziadek, nie rozwijając myśli.

David podziękował za obiad i wstał. Poszedł do siebie, przebrał się w czyste ubrania i stanął w przedpokoju, gdzie czekał już na niego dziadek z paczką dla Marty. Obok mandarynek i winogron dostrzegł w reklamówce ptasie mleczko i toruńskie pierniki. Uśmiechnął się w duchu. Wychodząc, obiecał dziadkowi, że wróci za parę godzin i razem przywitają nowy rok, który im bliżej północy, tym rysował się w jaśniejszych barwach.

Noc

Światło lampki nocnej stojącej na szafce rzucało podłużne cienie na sufit. Marta leżała wpatrzona nieruchomymi oczami w ten spektakl i nie poruszyła się nawet wtedy, gdy za oknami rozbłysły w oddali pierwsze sztuczne ognie. David spojrział na rozsypującą się po niebie świetlistą palmę i położył reklamówkę od dziadka na stoliku, po czym usiadł na łóżku, ignorując zasady szpitala.

– Przepraszam, że tak późno. Przyjechałem najszybciej, jak się dało. Mam, niestety, dużo pracy – rozpoczął cicho i pogłaskał ją po włosach. – Byłem dziś w Londynie, w Lewisham, i widziałem torebkę, która mogłaby ci się spodobać. Dziadek czasem mówi, że przerobi Bandita na torebkę albo rękawiczki, bo strasznie rozrabia. – Skakał z tematu na temat, nie mogąc uchwycić tego właściwego. – Bardzo chciałbym się dowiedzieć, dlaczego go uratowałaś i dałaś akurat mnie. O tyle rzeczy chciałbym cię zapytać.

Marta przekręciła głowę w jego stronę. Dopiero teraz zauważył, że z oczu płyną jej łzy. Wyciągnął z kurtki chusteczki i jedną z nich otarł kroplę, która rzuciła się w dół policzka. Żółte światło żarówki podkreślało zasinienia i zadrapania na twarzy kobiety. David poczuł, że ściska go w klatce piersiowej.

– Wszystko będzie dobrze... – mówił, nie bardzo wierząc we własne słowa.

Po tym, co przeżyła Marta, droga do wyzdrowienia będzie długa i pełna upadków, i wcale nie gwarantuje zwy-

cięstwa. Tego najbardziej się obawiał. Mimo to nachylił się do kobiety i szepnął:

– Dojdiesz do siebie szybciej, niż myślisz, obiecuję.

Marta mrugnęła i ponownie odwróciła głowę w stronę okna, śledząc spektakl, który z każdą minutą robił się coraz intensywniejszy, zupełnie jakby ktoś podpalił zamkową prochownię. Na tle rozświetlonego nieba Redfern widział szybko przesuwane się maleńkie plamki. To uciekające w panice ptaki traciły orientację, rozpaczliwie szukając miejsca, by się schować. Wiele z nich zapewne zginie w tym chaosie. David pomyślał o Bandicie. Jak znosi tę kawalkadę? A może zwykle spokojna Princess Road i tym razem pozostanie cicha, dając wytchnienie swoim czworonogom? Miał taką nadzieję. Wtedy przypomniał sobie ostatni spacer ze szczeniakiem i jego nieszczęsny finał. Wejście Palacza do bastionu, jakim dla Redferna był dom dziadka, uznał za przekroczenie ostatecznej granicy. Takiej, za którą są już tylko zgliszcza albo zwycięstwo.

– Jestem też coraz bliżej rozwiązania naszej sprawy – szepnął, nie wiedząc, czy bardziej dodaje otuchy sobie, czy Marcie. – Czuję, że się uda. Daj mi tylko znak, że jesteś ze mną.

Ciche „przytul mnie” rozdarło ciszę niczym fajerwerk wrzucony do sali. David miał ochotę krzyczeć z radości, ale wstrzymał oddech, bojąc się, że ta chwila była tylko projekcją jego umysłu, i zdobył się jedynie na delikatne objęcie Marty ramieniem. Leżał nieruchomo, by w żaden sposób nie

spłoszyć dziewczyny. Jednak przez ogrom szczęścia przebi-
jało się przerażenie, które zaczęło wzrastać, kiedy poczuł, że
w miejscu, gdzie Marta trzymała głowę, jego koszula robi się
mokra i gorąca. Przytulił ją jeszcze mocniej, modląc się, by
to wystarczyło. Jednak im dłużej tak trwali, tym bardziej
utwierdzał się w przekonaniu, że nikt nie ma mocy, by cof-
nąć ludzkie łyzy. Można je osuszyć, wytrzeć, ale nigdy cofnąć.

Pielęgniarka wygoniła go po dziesiątej. David pożegnał się
z Martą, całując ją w czoło i szepcząc, że zajrzy jutro. Kobieta
w zielonym uniformie ostrzegła go, że nie wcześniej niż
w południe. Obiecał, że zastosuje się do zaleceń, mrugając
porozumiewawczo okiem do Marty.

Wyjeżdżając wypożyczonym Citroënem ze szpitala,
pomyślał, że wcale nie potrzebuje samochodu. Mógł drogę
na Princess Road pokonać, biegnąc albo nawet lecąc na wła-
snych skrzydłach. Choć tej nocy Marta nie odezwała się wię-
cej ani słowem, ale to, że pozwoliła się wziąć w ramiona,
zapaliło w Davidzie nadzieję, że od dziś będzie już tylko
lepiej.

Zaparkował wzdłuż ulicy, ale nie wysiadł z samochodu od
razu. Oparł głowę o zagłówek, dając karkowi odpocząć. Czuł
nadciągające zmęczenie i nieprzyjemne naprężenie w sta-
wach. Od kilku dni nie przyjmował sterydów, chciał poczuć
różnicę, ale upłynęło za mało czasu, by to ocenić. Swój
obecny stan zwał na nieustający stres, który powinien zni-

welować. Nagle odezwała się jego komórka. Nie musiał sprawdzać, kto się dobija. Nacisnął zieloną słuchawkę.

– No wreszcie! – Usłyszał głos Summer, który tonął w mieszaninie setki innych głosów, muzyki i pobrzękiwaniu szkła. – Przyjedziesz do nas? Jesteśmy wszyscy, i Puszka, i Zheng, i Kim Soyeon, a nawet stary Johanes! Nie daj się prosić!

– Obiecałem dziadkowi, że spędzę z nim sylwestra – bronił się Redfern, patrząc na lekko opuchnięte palce.

– Nie wygłupiaj się, on i pani Wanda doskonale poradzą sobie bez ciebie. Bez ciebie pewnie nawet lepiej niż doskonale. – Zaśmiała się. – To jak, wpadniesz do Sovereign?

– Będę za pół godziny.

Idąc wzdłuż Guildford Road, miał wrażenie, że korzysta z wykrywacza metali, przy czym częstotliwość dźwięków zastąpiło zagęszczenie ludzi. Im był bliżej pubu, tym robiło się ciaśniej. Na chodniku tuż przed The Sovereign właściwie trudno było postawić stopę. Przecisnął się przez tłum i wszedł do środka. Nie zdążył się dobrze rozejrzeć, gdy dotarł do niego pisk i wiwatowanie kolegów. Ku niemu sunęła Summer w szampańskim nastroju. Uśmiechała się szeroko i gdy tylko go dopadła, uścisnęła serdecznie. Grzywka przykleiła jej się do spoconego czoła, a mimo to wyglądała bardzo ładnie w małej czarnej i glanach, które dodawały jej charakteru.

– Wiedziałam, że nas nie zawiedziesz! – zawołała, usiłując przekrzyczeć muzykę. – Chodź, siedzimy w naszym stałym miejscu! – Złapała go za rękę i pociągnęła za sobą.

Przy stole zobaczył komplet singli.

– No, w samą porę! – krzyknęła z radością Kim Soyeon, ubrana w bordową sukienkę. – Już prawie północ!

– Dave lubi mieć mocne wejście – zażartował Johanes i zniknął w tłumie, by po chwili pojawić się ze szklanką piwa, którą wcisnął do ręki Redfernowi.

Inspektor usiadł, wymieniając z każdym pozdrowienie. Miał lekkie wyrzuty sumienia względem dziadka, choć ten zapewniał go, że cieszy się, że nie spędzi sylwestra ze starymi przykami. Z każdym serdecznym uśmiechem wyrzuty topniały, a nastrój się poprawiał.

– Jak się czuje Marta? – zagadnął Zheng, przysiadając się obok.

– Zaskakująco dobrze – odparł, czując, że to ani najlepszy czas, ani najlepsza pora na takie rozmowy. Patrzył na rozbitą grupę ludzi, popijając piwo, które z każdym łykiem smakowało mu jednak coraz mniej.

– Powiedziała coś?

– Na razie niewiele – odpowiedział i odstawił szklankę na stół. – Muszę być cierpliwy.

– Nie ma gadania o smutach! – wpadła mu w słowo Summer, zajmując miejsce pomiędzy nimi. – Idziemy tańczyć! – rozkazała i złapała Redferna za rękę.

Wcisnęli się między inne tańczące pary. David zdał sobie sprawę, że ostatni raz był na parkiecie kilka lat temu, jeszcze z Patricią. Odzwyczajony od tańca wykonywał nieskoordynowane ruchy, czując na sobie wzrok pozostałych. Albo tylko tak mu się wydawało. Summer nie zwracała uwagi na jego niezgrabność, wdzierając się i wirując w rytm muzyki. Dyskotekowe nuty zupełnie nie wpisywały się w gust Davida i po pierwszym kawalku planował uciec do stołu.

Nagle światła lekko przygasły i z głośników popłynęła modna i spokojna *Let Her Go* zespołu Passenger. Summer zawiesiła obie dłonie na ramionach Davida i zaczęła się łagodnie kołysać. Czuł zapach jej perfum pomieszany z nutą słodkiego drinka i gumy do żucia. Zastanawiał się, czy nie powinien przeprosić i wrócić do reszty zespołu, jednak nie chciał wyjść na zwykłego buca. Objął ją lekko w talii i poddał się dźwiękom. Zanim piosenka wybrzmiała do końca, światła znów rozblęły, a didżej oznajmił, że do roku dwa tysiące czternastego została minuta. W oddali słychać już było kawalkadę fajerwerków. Ludzie entuzjastycznie szukali się w tłumie, aż wreszcie z gardeł popłynęło melodyjne odliczanie. Kiedy pod dach pubu pofrunęło donośne: „Szczęśliwego Nowego Roku”, poczuł na twarzy przyjemne ciepło.

Usta Summer przywarły do jego ust o kilka sekund za długo.

ROZDZIAŁ III

1.01.2014, środa

Rano

Obudził się, czując, że wydarzenia poprzedniej nocy zlewają się w obraz, który chciał wypchnąć z pamięci. A przynajmniej jego część. Zerknął na komórkę, ale na szczęście nie zobaczył żadnej informacji o nieodebranym połączeniu ani esemesa z pokrętnym wyjaśnieniem, dlaczego stało się to, co się stało. Alkohol mógł zrobić swoje, ale Redfern miał poczucie, że doszło do jakiegoś nieporozumienia.

Za drzwiami usłyszał przytłumioną rozmowę i poczuł zapach kawy. To znak, że Wanda wciąż towarzyszyła dziadkowi. Ziewnął przeciągle, by dyskretnie dać znać, że już nie śpi.

– Dawidek, chodź do nas szybko! – zawołał dziadek. – Musisz nam wszystko opowiedzieć.

Ponaglony, włożył dres i poszedł do kuchni. Otaksował wzrokiem pustą butelkę po szampanie i stos brudnych talerzyków w zlewie. Staruszkowie siedzieli przy stole, racząc się ciastem. Bohdan miał lekko podkrążone oczy, za to Wanda trzymała się świetnie w swojej czarnej sukience. W jej wło-

sach dostrzegł mieniające się w porannym słońcu drobinki brokatu.

– No i jak ona się czuje? – Dziadek zaatakował, gdy tylko David usiadł na krześle.

– Trudno powiedzieć, ale od momentu przyjęcia do szpitala zrobiła postęp. Lekarz mówi, że za kilka dni wypisze ją do domu.

– Już? Przecież ona ledwo uszła z życiem. Powinna być pod opieką lekarzy – oburzyła się Wanda.

– To nie wiesz, jak działa brytyjska służba zdrowia? Minimum opieki i do domu. Jak cię nie wykończą, to już jest dobrze – zawyrokował dziadek. – Może nawet lepiej, że będzie z nami.

Davidą poraziła myśl, że Marta trafi pod jego opiekę i będzie za nią w pełni odpowiedzialny. Bo w takim stanie nie mógł, a przede wszystkim nie chciał, wysłać jej do Polski. Z drugiej strony miał przed sobą nie tylko sprawę morderstwa, ale i porachunki z Palaczem. Suma obaw sprawiła, że poczuł się przytłoczony. Najwyraźniej zauważył to dziadek, bo poklepał wnuka po kolanie i zapewnił:

– Nie martw się, Dawidku. Przeżyliśmy potop szwedzki, przeżyjemy i radziecki! – Zaśmiał się serdecznie, na co David odpowiedział bladym uśmiechem. Jego mama często powtarzała to powiedzonko.

– Trzeba będzie wszystko zorganizować – powiedział bardziej do siebie niż do dziadka.

– Tym zajmujemy się my – oświadczyła Wanda dziarskim tonem. – Urządzimy dziewczynie przytulny pokój u Bodzia, a Bodzio przeniesie się do...

– Salonu – dokończył za nią Bohdan niezgrabnie.

– A jak poradził sobie w nocy Bandit? Bał się huków? – David szybko zmienił temat, by nie pogłębiać zażenowania dziadka.

– Zaskakująco dobrze – odparł Nestor. – Raz tylko wszedł pod łóżko, gdy ktoś strzelił blisko domu. Jednak perspektywa otrzymania kabanosa szybko przegnała wszelkie strachy. Zresztą Bambi to dzielny chłop, prawda, piesku? Żadna tam z ciebie sarenka, tylko berneńczyk jakich mało!

Leżący przy lodówce szczeniak tylko lypnął na towarzystwo jednym okiem i natychmiast zamknął je z powrotem. Najwyraźniej rola przyzwoitki, jaką pełnił tej nocy, mocno go zmęczyła.

– Idziesz się zdrzemnąć, Dawidku? – zagadnął dziadek. – Bądź co bądź to była długa noc.

– Nie, umówiłem się z rodzicami tej zamordowanej dziewczyny. Za godzinę muszę być na Mabel Street. Wezmę tylko prysznic i znikam.

– Mowy nie ma! – zaprotestowała Wanda. – Zjedz chociaż trochę sałatki. Zaraz zaparzę herbaty.

Wstała energicznie i zaczęła krzątać się po kuchni. David wiedział, że podobnie jak w przypadku dziadka nie ma co wdawać się w dyskusję, tylko pokornie zjeść to, co pojawi się na stole. Pomyślał, że tych dwoje idealnie do siebie pasuje

i niewykluczone, że wspólne zamieszkanie tylko im się przyśłuży.

Ta myśl grzała go jeszcze, gdy wyszedł z domu wprost w chłodne ramiona noworocznego południa. Nie ostygła nawet wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że za chwilę spotka się z najbardziej zrozpaczonymi ludźmi w Woking.

Południe

Dom przy Mabel Street wydał się Redfernowi jeszcze smutniejszy niż wtedy, kiedy był tu po raz pierwszy. Tym razem siedział w salonie pełnym zdjęć Samantha wyłącznie z panią Grand. Rose przeprosiła inspektora za nieobecność męża, który źle się poczuł i spał.

– Wspominała pani, że córka często mówiła o swojej pracy w banku – zagał rozmowę.

– Tak, opowiadała o wielu szkoleniach, czasem o wyjazdach. Miała nawet jeden w planie, ale musiała go przełożyć. Wcześniej była pół roku w Nowym Jorku. Mówiła, że wdrażała nowatorski system ze względu na nowy światłowód, który miał połączyć giełdy.

– Zaskakująco dużo pani wie – skomplementował ją Redfern, zaskoczony zmianą w zachowaniu kobiety. Bez męża zdawała się bardzo inteligentną, pełną wewnętrznej siły kobietą.

– Uczyłam w szkole informatyki i fizyki, a wcześniej wykładałam na UCL.

– O, ta sama uczelnia, na której studiowała Sam.

Rose tylko kiwnęła głową i ukryła smutek za chusteczką, która niemal natychmiast po słowach Redferna wystrzeliła do kącika jej oka.

– Czy miała jakieś kłopoty w pracy?

– Poza nierealnymi terminami projektów i związanymi z tym opóźnieniami to raczej żadnych.

– A koledzy z pracy?

– Proszę pana – westchnęła. – Jacy koledzy? Na takich stanowiskach nie ma kolegów. To jest wyścig: kto lepiej, kto szybciej, czyje będzie na wierzchu. A nawet jakby się trafił jakiś utracjusz, to nie miał czasu na jakiegokolwiek przyjaźnie. Szybkie lunchy, wyjścia na drinka, gdy któryś z nich odchodził albo załapał się na kolejny szczebelek złotej drabiny. I to cała przyjaźń. Samantha z nikim nie utrzymywała bliższych relacji, choć często narzekała na ten stan rzeczy. Uciekała więc w hobby.

Redfern pokiwał głową i napił się przygotowanej przez panią Grant herbaty. Zjedzona na szybko sałatka, którą popchnął jeszcze ciastem, sprawiła, że odczuwał niewyobrażalne pragnienie.

– A jak wyglądały stosunki Samantha z przyszłymi teściami? – zapytał, gdy odstawił filiżankę.

– Chyba nie najlepiej. Sam niechętnie o nich mówiła, zwłaszcza o Hermanie. Pamiętam, że była bardzo niezadowolona z prezentu od Barkerów, to znaczy z tego domu. Uznała, że teraz to już całkowicie ich ubezwłasnowolnią.

Ona od najmłodszych lat dbała o swoją niezależność. No, a nie da się też ukryć, że to dość zobowiązujący prezent.

– Prawda – zgodził się Redfern. – A skoro jesteśmy przy domach, to w mieszkaniu Samantha znalazłem album ze zdjęciami. Mieli państwo rację co do przyjaźni z Olivią. – Inspektor wyjął z kurtki zdjęcie, które zabrał z albumu, i podał je pani Grant.

Twarz Rose pozostała jednak obojętna, jakby patrzyła na grupkę obcych ludzi.

– Znam to zdjęcie, zostało zrobione na Wyspach Owczych, ale to nie jest Olivia – oznajmiła nagle i wstała.

Weszła ciężkim krokiem po schodach. Redfern słyszał jej krzątanie w jednym z pokoi. Po chwili zobaczył, że pani Grant pojawiła się na górze z kolejną ramką, którą zaraz po zejściu mu podała. To było to samo zdjęcie, które trzymał w dłoni, ale z zupełnie inną kobietą. Ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że na odbitce pani Grant widniała dziewczyna z klatki schodowej. Samantha oszukała rodziców, dając im fotomontaż.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli porozmawia pan z Olivią – zasugerowała Rose, siadając obok inspektora. – Bo ja nic z tego nie rozumiem.

– Ja też, ale, niestety, Olivia nie udzieli nam szybko odpowiedzi – wyznał. – Pani Shawn zniknęła i w żaden sposób nie możemy jej namierzyć.

– Bardzo dziwne – szepnęła Rose najwyraźniej przytłoczona wszystkim tym, czego się dowiedziała.

Sięgnęła po filiżankę, ale nie napiła się. Wpatrywała się w trzaskający w kominku płomień, który w obliczu nieszczęścia, jakie spadło na ten dom, zdawał się nie grzać, a jedynie oświetlać salon.

– Czy mogę zobaczyć pokój, w którym zatrzymała się Samantha, kiedy u was nocowała? – Redfern przerwał przedłużającą się ciszę.

– Skoro to zdjęcie było kłamstwem, to nie jestem pewna, czy w pozostałych rzeczach znajdzie pan prawdę – odparła smutno, nie odrywając oczu od ognia, po czym gestem zachęciła Redferna do wstania.

– Będę próbował.

Sypialnia została przekształcona w coś z pogranicza garderoby, pakamery i prasowni. Poza pościelonym łóżkiem i kilkoma bibelotami na szafce nocnej Redfern nie dostrzegł żadnych istotniejszych śladów pobytu Samanthy.

Zastanawiał się, czemu służyła zasłona dymna, którą kobieta rozpościerała przed rodzicami. Kamuflaż był na tyle wiarygodny, że Redfern był w stanie dostrzec miejsce, gdzie stała ramka. Szafka nocna, czyli swoisty intymnik każdego domownika ze zdjęciem ukochanej osoby, chusteczkami, książką, gadżetem erotycznym, blistrem leków przeciwbólowych czy kremem do rąk. Wbrew temu, co mówią na policyjnych szkoleniach, żaden inny mebel w domu nie jest bliższy człowiekowi i nie mówi o nim więcej. U Samanthy stało tylko fałszywe zdjęcie.

Na nieskazitelnym wizerunku panny Grant pojawiało się coraz więcej pęknięć. Któreś z nich musiało prowadzić do mordercy.

Redfern pochylił się, by przyjrzeć się czemuś, co wystawało spod podwiniętej narzuty. Widok gazety „Daily Mail” nieco go zaskoczył. Wziął ją do ręki i zerknął na stronę, na której była otwarta. Artykuł rozpisywał się o sprawie Navindera Singha Sarao – nie tyle złotego, ile przekłętego dziecka giełdy. Samantha musiała naprawdę poświęcać się swojej pracy, skoro nawet pod poduszką trzymała wiadomości ze świata finansowego. Inspektor wsunął z powrotem biografię programisty i ponownie spojrzął na miejsce po ramce, dochodząc do wniosku, że młoda kobieta z trudem godziła dwa światy. Redfern miał przecucie, że na ich styku czai się prawda, której nie zniosą jej rodzice.

Styczniowy deszcz oczyszczał miasto z konfetti i innych imprezowych pozostałości. Redfern szedł, co jakiś czas obserwując płynące ulicami ozdoby i opakowania. Opuścił ponurą Mabel Street i skręcił w Guildford Road w stronę centrum. W połowie drogi do arterii miasta coś przykuło jego uwagę. Stojący na betonowym murku samotny kieliszek do wina zapełnił się deszczówką. Odbijające się od menisku krople tworzyły kryształową koronę, zachęcając do toastu. Zastanawiając się, jaka historia stała za tą scenerią, doszedł do The Sovereign. Ku jego zaskoczeniu w pubie świeciło się światło.

Mimo że zbliżała się pora lunchu, w środku siedziało tylko kilkoro ludzi. Po wczorajszej zabawie nie został nawet ślad, choć Redfern wciąż miał w pamięci roziskrzony Summer. Usiadł w ulubionym miejscu pod oknem, z którego widział mur komendy.

Włączył stronę Facebooka i przejrzał profile ofiar w poszukiwaniu dziewczyny ze zdjęcia. Po kwadransie przewijania małych kafelków z obcymi twarzami dobrnął do końca listy znajomych Samantha, a po minucie zamknął katalog Alana. Bez rezultatu.

Przypomniał sobie, że Adekunle Fowora miał dziś wolne. Były pielęgniarz z kliniki uzależnień The Priory wydał mu się odpowiednim kompanem w to ponure popołudnie. Poza tym musiał się czegoś dowiedzieć. Postanowił zaryzykować i zadzwonił.

Ade stawiał się po kwadransie. Nie wydawał się zaskoczony zaproszeniem inspektora. Podeszedł do baru i zamówił kawę dla siebie i Redferna, po czym usiadł przy stoliku.

– Domyślam się, że nie chce mi pan tylko złożyć życzeń noworocznych. – Uśmiechnął się. – Na coś pan trafił, prawda?

– Chciałem zapytać pana o ostatnie dni Adriana w klinice. Czy ktoś go odwiedził? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– Z tego, co pamiętam, to przyjechała do niego matka, to znaczy pani Bones. Pierwszy raz była w towarzystwie męża.

– A zatem pojednali się – powiedział w zamyśleniu Redfern.

– Nie było tajemnicą, że pan Bones nie akceptował orientacji syna – odparł Adekunle. – Ale najwyraźniej doszło do jakiegoś przełomu w relacjach, bo został z synem w pokoju już po wyjeździe żony. Długo rozmawiali, choć chyba głównie mówił pan Bones. Wyglądało na to, że wszystko dobrze się skończyło.

Redfern nie odpowiedział. Nie wyobrażał sobie, że John Bones byłby w stanie się z kimkolwiek pojednać. Miał swoje zasady, których nigdy nie zmieniał. Jedną z nich było podejście do gejów. Inspektor założyłby się o swojego triumpha, że krezus nie nagiąłby jej nawet ze względu na syna. Pozostało tylko wierzyć, że pomylił się w ocenie i Adrian zyskał akceptację ojca, o której tak marzył.

– Adrian wydrapał to nieszczęsne 5W na swoim łóżku – przypomniał Ademu Redfern. – Nie mogę się pozbyć wrażenia, że chciał mi coś powiedzieć, zostawić jakąś wskazówkę.

– Myślę, że to nie jest piątka, ale „S” – poprawił go pielęgniarz. – Teraz pamiętam, że Adrian pisał to wszędzie – na zajęciach plastycznych, w swoim notesie. Nigdy jednak nie podał żadnego sensownego wyjaśnienia.

– A bezsensowne? – zapytał desperacko Redfern.

– Niedługo przed ucieczką wskazał na kolejny bazgroł i powiedział tylko jedno słowo: „brat”.

– Adrian miał tylko siostrę. – Redfern pokręcił głową.

– Wiem, dlatego pomyślałem o panu. Podobno byliście jak bracia. Jest to więc ewidentnie skierowane do pana.

Ostatnie zdanie Adego rozdarł dźwięk telefonu. Redfern spojrzał na wyświetlacz, bąknął przeprosiny i natychmiast złapał za aparat. Miał przeczucie, że nietypowa jak na Zhenga pora dzwonięcia miała swój poważny powód.

– Mów, co masz – rzucił krótko do słuchawki.

– A „dzień dobry” to gdzie?

– Mów! – Redfern nie miał ochoty na żarty. Zerknął na pielęgniarza, który dał znać, że idzie do baru. Inspektor poczuł się głupio. Sam powinien wstać od stołu. Niemniej jednak docenił gest mężczyzny i z mniejszym napięciem słuchał, co mówił Zheng.

– Dowiedziałem się, że nad katedrą wisiał tylko jeden helikopter i, co ciekawe, nie był nasz, tylko BBC, które relacjonowało jakiś protest przed wyjściem z Unii czy inną pierdołę.

– Wiesz, kto siedział na pokładzie?

– Nie spodoba ci się to – powiedział ostrożnie Zheng. – To Lucy Black.

– Ta, która zawsze utrudnia naszą robotę?

– Ta sama – odparł agent. – Teraz zastanawiam się, dlaczego ukryła przed nami najważniejszy dowód w tamtej sprawie i jak urwać jej za to łeb.

– To wcale nie musiała być ona – wyraził wątpliwość Redfern. – Mogła nie wiedzieć, że kamera uchwyciła mordercę.

Możliwe, że odkrył to dopiero Ronald Rudd, oglądając materiały.

– Co nie zmienia faktu, że mu je udostępniła, a mogła nam. – Zheng nie dał się przekonać.

– Więc może to operator? – Redfern szukał rozwiązania.

– Coś ty taki asekuracyjny?

– Ostatnio zawodzą mnie własne wyroki, więc nie rzucać ich na lewo i prawo.

– Eee tam, przesadzasz. – Redfern w wyobraźni widział machającego ręką Zhenga.

– To nie zmienia faktu, że muszę się skontaktować z obojgiem. Może z tego materiału da się jeszcze coś wycisnąć?

– Nie mam pojęcia, ale u nas techniczni czasem robią rzeczy niemożliwe, z cudami mogą mieć problem. Nie nastawiaj się, Dave.

– Czuję, że jestem blisko.

– Wiem – odparł zimno Zheng. – Zwykle też czujemy, gdy jesteśmy blisko wulkanu. Zalecam ostrożność, bracie.

– Namierzysz dla mnie tę Black i jej operatora?

– Już to zrobiłem. Zaraz wyślę ci numer i adres. Na wszelki wypadek nie pojawiaj się w siedzibie telewizji. Oni nas tam nie kochają.

– Z wzajemnością.

Zheng się rozłączył, a po chwili komórka Redfern cicho oznajmiła nadejście wiadomości. Ade wrócił do stolika i patrzył pytająco na inspektora.

– Wciąż pan szuka mordercy Adriana?

– Im dłużej to robię, tym mocniej utwierdzam się w przekonaniu, że tak naprawdę zabiła go obojętność.

– Jak wielu z nas, proszę pana.

Redfern w duchu przyznał mu rację. Pomyślał o swojej matce, która popełniła samobójstwo, bo nikt nie zwrócił uwagi, że każdego dnia przygasa coraz bardziej. Adrian Bones zginął nie od kuli, ale dlatego, że nikt nie wsłuchał się w jego desperacki krzyk. Marta leżała w szpitalu, bo David nie zadbał o to, by cała i zdrowa dotarła na lotnisko, mimo że zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Czy przychodzi ci na myśl cokolwiek, co wiązałoby się z SW? Jakieś inicjały, organizacja?

– Kojarzy mi się tylko z południowym zachodem albo koleją South Western.

– Jechałem nią ostatnio, ale poza Southernem nic innego nie jeździ przez Woking. To zbyt rozmyty ślad – zadumał się Redfern. – Proszę spróbować jeszcze pomyśleć. W ostatnich dniach życia Adriana pan był najbliżej niego.

– Proszę mi wierzyć, że od maja o niczym innym nie myślę – zapewnił smutno Fowora i zaczął zbierać się do wyjścia. – Życzę szczęścia, panie Redfern.

Bez dwóch zdań będzie mi potrzebne, pomyślał.

Popołudnie

Widok Marty sprawił, że David przystanął w progu sparaliżowany. Znów leżała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w sufit,

nie reagując choćby mrugnięciem na jego wejście. Idiotycznie pomyślał, że dowiedziała się o pocałunku z Summer. Zaraz potem załała go jeszcze czarniejsza myśl, że wczorajsza poprawa była czymś chwilowym, czego nie umiał podtrzymać. Jednak jego obawy szybko rozwiało spojrzenie Marty. Przekręciła głowę w jego stronę i patrzyła, milcząc. David wiedział, że musi wykrzesać z siebie nie tylko czułość, ale i cierpliwość. Pierwszego nigdy się nie nauczył, drugie zawsze było mu obce.

– Widzę, że skusiłaś się na ptasie mleczko.

– Chciałam dać całe pielęgniarce, ale odmówiła.

– Personelowi nie wolno brać niczego od pacjentów – przestrzegł ją Redfern.

– Zorientowałam się – odparła Marta. – Rozpakowałam więc i częstowałam każdą, która tu zajrzała. Nie protestowały.

– Jak będziesz je karmić słodyczami, to za chwilę nie będą miały siły pielęgnować pacjentów. – Pogroził jej palcem, starając się ominąć uwagę, że to ona powinna jeść, a nie pielęgniarki. Wiedział jednak, że do niczego dobrego to nie doprowadzi. Pod względem uporu wydawali się tacy sami. Redfern widział jej zmęczenie i nie naciskał na rozmowę. Usiadł na brzegu łóżka i oparł się o poduszkę. Objął Martę, a ona wtuliła się w niego lekko. Już nie płakała.

Wieczór

Wrócił do domu z bagażem emocji, które wymagały tylko jednego. Zgarnął z szafki nocnej zakurzoną talię kart i zapukał do pokoju dziadka.

– Zaczynamy nowy rok hazardem, nieźle – ucieszył się dziadek, kiedy David rozsiadł się przy stole.

Staruszek wziął od niego wysłużone karty i zaczął tasować, robiąc swoje podwójne *The Riffle Shuffle*.

– Czasem powrót do korzeni to dobry początek – odparł David, wkładając sobie kawałek sernika do ust.

– Dlatego chcesz wrócić do Hammersmith? – zagadnął dziadek, siląc się na obojętność, ale David wyczuł w tym pytaniu obawę.

– Nie, po prostu pomyślałem, że gdy się to wszystko skończy, dobrze byłoby zacząć gdzieś od nowa. W Londynie zawsze mieszkało się dobrze. To nie musi być Hammersmith, choć wiem, że potrzebują tam nowego narybku.

– Ty to byłbyś raczej jak tłusty sazan, a nie narybek – odparł dziadek, uśmiechając się. – Dawidku, zrobisz, jak będziesz chciał, ale moim zdaniem powinieneś zostać tutaj.

– Za dużo tu bydłaków na kilometr kwadratowy.

– Jak wszędzie. Nieprzypadkowo mamy *Highway to Hell*³, ale tylko *Stairway to Heaven*⁴.

Redfern nie mógł się z nim nie zgodzić.

Kładąc się wieczorem do łóżka, sromotnie pokonany w remika, układał w głowie plan na drugi dzień stycznia. Ze wszystkich pomysłów wyłowził ten, który zakładał ominięcie

komendy. Nie chciał wprawiać Summer Winter w zakłopotanie.

Długo nie mógł zasnąć. Kiedy kolejna pozycja nie ukoła napiętych mięśni, zaświecił światło i sięgnął do wiszącej na krześle koszuli, do której kieszeni schował wizytówkę Olivii Shawn. Patrzył na kolorowy kartonik, nie mogąc wyjść z podziwu dla gry aktorskiej kobiety, która na jego oczach przeobraziła się w Grace Taylor. Jeśli była na tyle zdesperowana, by oszukać policjanta, to albo wiedziała, kto jest mordercą, albo sama nim była.

Zasypiając, pomyślał, że gdy tylko upora się z pierwszą częścią planu dnia, znów odwiedzi Londyn, ale tym razem będzie czujniejszy.

ROZDZIAŁ IV

2.01.2014, czwartek

Rano

Droga do Brooklands zabrała mu dużo więcej czasu, niż zakładał. Korki w okolicach West Byfleet, które dysponowało zdecydowanie zbyt małą liczbą parkingów, sięgały aż Old Woking. W takich okolicznościach funkcja start-stop doprowadzała Redferna do szaleństwa. Zjeżdżając z ronda przy Tesco, poczuł dużą ulgę. Przed nim rozciągała się długa prosta, która zapowiadała bezproblemowe dotarcie do muzeum motoryzacji.

Zaparkował na wyznaczonym dla gości miejscu i skierował się prosto do budynku z napisem „Kasa”. W dość przestronnym wnętrzu, które z licznymi półkami i stojakami przypominało mały sklep spożywczy, dostrzegł kobietę w zielonym jak logo muzeum polarze. Podeszedł do niej i przedstawił, z czym przychodzi.

– Tak, to straszne – powiedziała z przejęciem i dotknęła swoich długich blond włosów. – Jak można pozbawić kogoś życia w dzień ślubu?

– Znała pani Alana Barkera? – zapytał.

– Tak – odparła bez chwili zastanowienia. – Mam wrażenie, że starał się utrzymywać dobre relacje z każdym pracownikiem. Nie puszył się jak jego brat czy ojciec, ale przychodził nawet tutaj i zagadywał. Miły gość. – Uśmiechnęła się jakby do własnych wspomnień.

– Czyli nie miał w firmie wrogów?

– Tego nie powiedziałam. – Spochmurniała nagle. – Ale nie mnie o tym mówić. Ja znam tylko plotki. Lepiej, żeby zapytał pan opiekuna wystawy autobusów, on tu jest najdłużej. Zaraz pana zaprowadzę.

Przeszła za ladę i sięgnęła po komórkę. Jej palce biegały chwilę po klawiaturze ekranowej, po czym telefon z hukem wyłądował na blacie.

– Ech, znowu nie ma zasięgu – westchnęła. – Mamy te służbowe komórki, ale za diabła nie zdają egzaminu. Kiedyś było walkie-talkie i wszystkim pasowało, a teraz co? Niby nowocześnie, a muszę na nogach zasuwać – dodała i podeszła do drzwi. – Niech pan zaczeka, zawołam koleżankę, żeby mnie chwilkę zastąpiła.

Redfern został sam. Sklepek z pamiątkami natychmiast otoczył go przyjemną atmosferą. Z chłopcą radością oglądał modele aut i samolotów, książki motoryzacyjne i całą gamę bibelotów z logo muzeum. W jednej z gablot obok miniatutki londyńskiego autobusu zobaczył swojego triumpha. Twórcom samochodziku udało się oddać wszystkie detale, nawet deskę rozdzielczą z czterema zegarami i radiem, zupełnie nieergonomicznie umieszczonym za

dźwignią zmiany biegów. Redfern uśmiechnął się – oryginalne gt6 nie miało radia, więc osoba tworząca model musiała się naoglądać zdjęć przeróbek, które od lat zalewały Google. Mina jednak mu zrzędała, kiedy zobaczył cenę tego cuda. Zaskoczony, pomyślał, że taniej kupiłby zderzak do oryginału.

Usłyszał zbliżające się kroki i dwa wzburzone kobiece głosy, które umilkły tuż przed drzwiami. W progu stanęła znajoma sprzedawczyni w towarzystwie starszej kobiety w identycznym zielonym polarze.

– Popilnuj chwilę sklepu, a ja skoczę z panem policjantem do Ibrahima.

– Jasne, idź.

– Proszę ze mną – powiedziała do Redferna.

Już od wejścia inspektor pomyślał, że musi odwiedzić to miejsce poza służbą. Budynki pamiętające czasy pierwszych wyścigów na torze Brooklands wabiły zapachem smaru i benzyny. W biegu zdążył zobaczyć garaże, w których mechanicy przygotowywali auta do wyścigu, zabytkową stację benzynową BP ze starym dystrybutorem i zieloną kopułę Clubhouse, w którym ponad sto lat temu spotykali się kierowcy i bogaci entuzjaści tego szlachetnego sportu.

Zza kolejnego budynku, którego nazwy Redfern nie zdążył przeczytać, wyłonił się smukły kadłub concorde'a. Samolot zdawał się prężyć ku słońcu niczym ptak na ułamek sekundy przed wzbiciem się w powietrze. Mimo niewątpliwego piękna Redfern uznał, że był to smutny widok – naj-

wspanialsza maszyna, jaką widziało niebo, bezpowrotnie uziemiona przez ekonomię. I choć wróciła do domu, bo większość *concorde'ów* była zaprojektowana i wyprodukowana właśnie w Brooklands, był to powrót pozbawiony chwały.

Kobieta jakby wyczuła nastrój Redferna. Przystanęła i odwróciła się w stronę trójkątnego skrzydła.

– Można do niego wejść – powiedziała zachęcającym tonem. – Większość wnętrza przerobiono na wystawę, ale w przedniej części zachowano oryginalny wygląd. Można nawet usiąść w najprawdziwszych siedzeniach – zachwalała z dumą.

– Zajrzę na pewno – odparł Redfern, mając w pamięci tajemnicze samobójstwo, o którym mówił Johanes.

– No i jesteśmy na miejscu – oznajmiła, gdy zbliżyli się do zielonego hangaru, na którego ścianie odcinały się czerwone drzwi. – Proszę wejść i zawołać Ibrahima. Ja muszę wracać do sklepu.

Redfern podziękował za pomoc i wszedł do hangaru. Wystawa niewątpliwie robiła wrażenie. Liczba samochodów, jaką udało się zebrać w jednym miejscu, była imponująca. Redfern wychwyił wzrokiem egzemplarze z początków ubiegłego wieku, pierwsze *double-deckery* należące do London General Omnibus Company, których korzenie sięgały Paryża i słynnego wynalazcy Stanisława Baudry'ego.

– Większość z nich wciąż jest na chodzie. – Redfern usłyszał za sobą niski, zachrypnięty głos. Odwrócił się i zobaczył

przed sobą bardzo niską wersję Davida Attenborough.

– Z dumą wciąż wożą gości podczas różnych pokazów – oznajmił mężczyzna. – Był pan na którymś?

– Nie, ale chętnie zajrzę – zapewnił szczerze Redfern.

– W lipcu mamy Double Twelve Festival – zachęcał starszek. – Zjadą się entuzjaści wszelkich marek ze swoimi perełkami. Wyciągniemy też naszego napiera-railtona. Wie pan, że nigdy nie pokonano jego rekordu okrążenia toru. Ponad dwieście trzydzieści na godzinę w trzydziestym piątym roku!

Redfern nie chciał studzić entuzjazmu Ibrahima i powiedzieć, że zaledwie cztery lata później tor został przejęty przez wojsko i już nigdy nie służył do wyścigów. Nikt nie miał zatem szans zmierzyć się z tym rekordem, co nie zmieniło faktu, że był imponujący.

– A pan czym jeździ? Na moje oko to pewnie jakimś europejskim standardem. – Uniósł krzaczastą brew i spojrzał z ukosa, jakby chciał zmusić Redferna do przyznania mu racji.

– Nie trafił pan – odparł inspektor, nie siląc się na skromność. – Mam triumpha gt6 z siedemdziesiątego pierwszego. Przerobiony na kabriolet.

– Na modłę MKIII, nieźle – pochwalił starszek. – Mamy tu triumphy, bo to jednak kawał naszej historii motoryzacji, ale akurat nie gt6. Ja z kolei mam alpine stodziesiątkę. Cudowna maszyna. Te auta oddają człowiekowi duszę.

Słyszając o duszy, Redfern przypomniał sobie, po co przyjechał do muzeum. Odrzucił myśli o samochodach i przeszedł do sedna.

– Chciałem pana zapytać o Alana Barkera.

– Młody Barker... – zadumał się staruszek. – Świetny człowiek, naprawdę szkoda... Może przejdziemy do mnie, do biura? – zaproponował nagle. – Tutaj jest stanowczo za zimno.

Redfern zacisnął w kieszeni zgrabiałe palce i z chęcią przyjął propozycję staruszka. Weszli na metalową antresolę, z której widać było całą wystawę. Z tego miejsca wydawała się jeszcze ciekawsza. Biuro Ibrahima składało się z biurka, krzesła, wysłużonej kanapy i niewielkiego stołu z czajnikiem i filiżankami.

– Kobieta z kas powiedziała mi, że Alan mógł mieć w Brooklands wrogów – zaczął Redfern, gdy tylko usiadł na werśsalce, która jęknęła jednocześnie wszystkimi sprężynami.

– Na moje oko to nie wrogów, tylko osoby, które źle mu życzyły. – Kustosz przystąpił do parzenia herbaty. Włączył czajnik i nie pytając Redferna, rozstawił dwie filiżanki. – Dwa lata temu Alan niespodziewanie awansował na kierownika wystawy lotniczej jednego z pracowników. Ten awans nie spodobał się niektórym i odgrążali się Alanowi.

– Awans dotyczył Jasona McCabe’a?

– Skąd pan wie? – Mężczyzna wydał się bardzo zaskoczony.

– Niestety, mamy go w swojej kartotece. – Redfern symbolicznie poklepał notes, który wyciągnął właśnie z kieszeni kurtki.

– Niestety – powtórzył ponuro Ibrahim. – Jason popełnił samobójstwo. Do tej pory nie mogę zrozumieć, dlaczego wybrał akurat naszego concorde’a i dlaczego zrobił to w taki obsceniczny sposób.

– Pamięta pan nazwisko osoby, która groziła Alanowi?

– Ależ oczywiście – odparł z ożywieniem kustosz. – Sergio Stork, menedżer naszej restauracji. Jak na moje stare oko, straszny cwaniaczek, ale przystojny jak sam diabeł.

– Proszę mi więcej opowiedzieć o tych wydarzeniach – zachęcił go Redfern. – Co się wtedy dokładnie stało.

– Dokładnie to nie wiem, bo nas wszystkich zaskoczyła ta nominacja. To znaczy wcześniejszy pracownik odszedł na emeryturę, ale awans Jasona był zupełnie niezrozumiały. W sumie był jednym z młodszych pracowników, więc na moje oko najbardziej prawdopodobnym był właśnie Sergio, który pracował tu od ładnych kilku lat. No więc wywiązała się spora awantura. Sergio poszedł do Alana do biura i wrzeszczał jak opętany, że zniszczy Alana, a Jason ma się mieć na baczności, bo nie będzie miał życia w Brooklands.

– Tak powiedział?

– Dosłownie. Wyryło mi się to w pamięci, gdy zobaczyłem biednego McCabe’a w samolocie. Sergio go znalazł i wezwał karetkę, która zaraz przyjechała, ale i tak napatrzyłem się aż nadto. Co to był za widok. Jason siny był jak

kadłub naszego hawкера. Oczy miał okropnie przekrwione, otwarte usta. Słyszałem, jak ktoś potem mówił, że się udusił, a nie przerwał rdzeń kręgowy.

Porównanie koloru skóry do wojskowego odrzutowca było równie makabryczne, co trafne. Redfern słuchał opowieści kustosza, notując co ważniejsze fragmenty.

– Miał na sobie jakąś taką uprząż jak koń, czarne skórzane majtki i ciężkie buciory. Na moje oko nikt nie chce umierać w takim stroju z własnej woli, ale ja stary jestem i mogę się oczywiście mylić – wycofał się niespodziewanie, widząc zaciekawioną minę Redferna.

– A co było z Sergiem?

– Został w firmie i po kilku miesiącach dostał tę restaurację. Na moje oko to on się zdecydowanie lepiej nadaje do kierowania salą bankietową niż opieką nad zbiorami. Jason za to pozyskał dla nas kilka ciekawych eksponatów, uruchomił cykliczne pokazy w laboratorium, gdzie niegdyś testowano części do concorde'a, sypał pomysłami jak z rękawa. No, tylko że nie miał tyle doświadczenia, co Sergio.

– Po takiej awanturze pozwolono Sergiowi zostać?

– Alan zawsze go faworyzował, spędzali razem dużo czasu. Sergio został nawet drugim drużbą. – Mężczyzna zaciśnął usta i pokiwał głową, dodając swoim zeznaniom powagi. – Kiedyś obito mi się o uszy, że połączyły ich huczne imprezy w Londynie, ale na moje oko to tylko plotki, bo Barker nigdy by nie pozwolił na takie wyskoki.

– Nie pozwoliłby sobie? – upewnił się Redfern, akcentując ostatnie słowo.

– Nie, mam na myśli starego Barkera – powiedział nieco głośniejszym głosem Ibrahim. – Nie pozwoliłby synom na jakieś tam zabawy.

– Skąd pan wie? Przecież byli dorośli.

– Bo znam Hermana od lat, kiedy jeszcze nie był bogaty. Zawsze trzymał chłopców krótko. Nie zastanowiło pana, że dorosłe chłopcy mieszkają z rodzicami? – Brew staruszka znów powędrowała w stronę włosów.

– Kilka lat temu młodszy z nich poszalał na jakiejś imprezie – ciągnął. – Podobno groził bronią jakiejś dziewczynie, żeby poszła z nim do łóżka. Alan miał w tym jakiś udział, ale prawdy się pan nie dowiesz. Był spory skandal, no, ale to Barkerowie. Nawet jak im się noga powinęła, to fason musiał być. Teraz znowu są na fali, ale bywało różnie. W ubiegłym roku nawet rozważał sprzedaż muzeum, podobno dostał rykoszetem podczas afery Lehman Brothers. No, ale krezusy zawsze wypływają na powierzchnię, co nie?

– Nie mogę się z panem nie zgodzić – odparł dyplomatycznie Redfern, zapisując w notesie, by sprawdzić sprawę Willa Barkera. – Czy Sergio jest dziś w pracy?

– Nie, do końca tygodnia ma wolne. Sylwester go wykończył. Może pan spróbować do niego podjechać. Zaraz panu powiem, gdzie dokładnie.

– Zna pan adres? – zdziwił się Redfern.

– Wychowałem się tu, więc znam każdy adres, a akurat Sergio wciąż się chwali, że udało mu się kupić mieszkanie za bezcen w West Byfleet. Podkreśla, że ma z kuchni widok na dach starej straży pożarnej, więc musi mieszkać w Ellis Court, na ostatnim piętrze.

Południe

Ibrahim nie pomylił się ani o jotę, mówiąc, że mieszkanie Sergia znajduje się w bardzo charakterystycznym miejscu. Nie tylko zabytkowy budynek straży pożarnej przykuwał uwagę, ale i salon Mustanga, na którego wystawie Redfern zobaczył modele z chwalebnych lat sześćdziesiątych. Najpiękniej prezentował się ten z sześćdziesiątego siódmego – doskonale utrzymane, ośmiocyndrowe coupé z trzylitrowym silnikiem. Zerknął na cenę i skrzywił się, co jednak nie pozbawiło go marzenia o czerwonym *muscle car*.

Doszedł do budynku Ellis Court i wszedł przez drewniane drzwi. Wspiął się na ostatnie piętro i za radą kustosa skręcił w prawo, dochodząc do mieszkania z numerem dziesięć. Zapukał kilka razy i odczekał chwilę. Obawiał się, że Sergio inaczej, niż przypuszczał Ibrahim, spędzał drugi dzień roku. Nagle szczęknął zamek i w progu pojawił się zaspany półnagi mężczyzna w typie młodego Latynosa albo samego Mefistofelesa.

– Nie jestem zainteresowany, nie wierzę w Jehowę ani też nie kupuję od domokrażców, więc jeśli nie przyniosłeś żar-

cia, to spadaj – rozpoczął mężczyzna i przesunął ręką po rozczochranych włosach.

– Jestem z policji – odpowiedział Redfern.

– Ciszej, dobra? Łeb mi pęka. – Sergio zrobił zboląłą minę i zmrużył przekrwione oczy.

– Można? – zignorował go inspektor.

– Mogłem się tego spodziewać – mruknął i wpuścił inspektora do środka.

– A to dlaczego? – podpuszczał go.

– Z powodu Alana Barkera – bąknął i poprowadził Redferna do pokoju. – Całe Surrey to przeżywa.

– A pan nie? – Nie spodobało mu się ani powitanie, ani stan mężczyzny, od którego zionęło alkoholem, co dwa dni po sylwestrze było dość niespotykane.

– A niby dlaczego? – zapytał bełkotliwie i usiadł na fotelu, obok którego walały się butelki. Zapadł się w nim i chwilę tępo patrzył na Redferna, po czym dodał: – Był tylko moim szefem.

– A ja słyszałem, że często razem imprezowaliście – Redfern nie dał się przekonać.

– No, zdarzyło się raz czy dwa – odparł niechętnie i sięgnął po niedopitego drinka, który stał na niskim stoliku kawowym przed nim.

– Daruj sobie – skomentował picie Redfern. – Co was łączyło, bo nie wierzę, że tylko praca.

Sergio odstawił szklanekę i spojrzał gniewnie na inspektora.

– Kochaliśmy się, rozumiesz?! – warknął niespodziewanie.

– A coś więcej? Jak się poznaliście? Ile to trwało? Co się stało z Jasonem McCabe’em? – Redfern atakował pytaniami. – I dlaczego Alan miał ożenić się z Samanthą, skoro podobno kochał ciebie?

– Dobra, już dobra. Siadaj, człowieku, wszystko ci opowiem.

Redfern usiadł na drugim fotelu i czekał. Sergio podniósł się ciężko i przeszedł do stojącego pod oknem biurka, na którym leżało coś, co wyglądało na koc. Jednak kiedy mężczyzna po niego sięgnął, inspektor zauważył, że ma rękawy. Latynos ubrał się w szlafrok i przewiązał paskiem, podkreślając szczupłość talii. Przeszedł do przyklejonej do pokoju kuchni. Redfern usłyszał, że nalewa sobie wody z kranu i wypija parę szklanek. Kiedy wrócił, ponownie zajął miejsce na swoim fotelu.

– Poznaliśmy się z Alanem w klubie dla gejów sześć lat temu – zaczął opowiadać. – Przyszedł wtedy z Jasonem, ale był nie w sosie. Pokłócili się i McCabe pojechał do domu, a Barker został. Dobrze nam się rozmawiało, ale Alan zaznaczył, że nie lubi się wiązać. Nie kłamał. Tego wieczora ostro się zabawił, nie tylko ze mną. Szybko się dowiedziałem, że gustuje też w dziewczynach.

– Był biseksualny – podsumował Redfern.

– Panseksualny – poprawił go Sergio. – Nie interesowała go ani orientacja, ani tożsamość płciowa. Dobrze dogadywali

się z McCabe'em, ale prawdziwym uczuciem Alan darzył mnie – dodał ze smutkiem.

– Dlatego zatrudnił cię w muzeum?

– Nie tylko dlatego. Jestem pasjonatem motoryzacji, mam też wykształcenie menedżerskie. Potrzebowali wtedy człowieka do Brooklands i trafiłem się ja.

Redfern nie skomentował faktu, że tak naprawdę Sergio dostał tę pracę dzięki Alanowi, który postanowił mieć kochanka przy sobie.

– Mam rozumieć, że McCabe'a zatrudnił później? – wołał się upewnić.

– Jason miał swoją robotę w Londynie i nieźle mu się wiodło. No, ale miał też niewyparzoną gębę i lepkie łapy, i podobno wyleciał. Alan się zlitował i go zatrudnił.

– I niedługo potem zginął – dokończył Redfern z przekąsem.

– McCabe to był pojeb – powiedział ostro Sergio. – Często działał na krawędzi, lubił niebezpieczną jazdę, najlepiej poduszanie. Im bliżej śmierci, tym lepiej. No i musiał przesa-
dzić w tym samolocie.

– Ale dlaczego w concordzie?

– A dlaczego nie? – Sergio wzruszył ramionami. – Delta Golf to skrzydlata legenda, jako pierwsza przekroczyła prędkość dwóch machów, mając na pokładzie stu pasażerów. – Przymknął na chwilę oczy, jakby wyobrażał sobie lot. – Tyle razy miała być zezłomowana, ale zawsze się wywijala, aż

w dwa tysiące trzecim trafiła do nas. Piękne miejsce na śmierć, nie sądzi pan?

– Zwłaszcza z rąk kochanka – zasugerował Redfern, bacznie obserwując reakcję mężczyzny, którego coraz mocniej trawił kac.

– Nie miałem powodów, by go zabijać – odparł szybko.

– A awantura o stanowisko, które podobno należało się tobie?

– Niech pan nie będzie śmieszny. – Sergio wydał wargi i wstał, by napić się wody. Wrócił ze szklanką i usiadł. –

Dostałem w sumie coś lepszego, bo zarządzanie salą całkiem wpisywało się w moje kwalifikacje. To raz. A dwa, nie było mnie wtedy w Anglii. McCabe załatwił się sam.

– I kiedy myślałeś, że będziesz miał Alana tylko dla siebie, pojawiła się Samantha. – Redfern skierował rozmowę na tory, które najbardziej go interesowały.

– I tu mnie pan ma. – Cmoknął z uznaniem i wycelował chwiejny palec w stronę inspektora. – Wciąż się zastanawiam, skąd ona się wzięła. To znaczy Alan zawsze lubił też kobiety, ale Samantha w ogóle nie łąpała się w jego skalę. Podobno poznał ich ze sobą stary Barker.

– Małżeństwo kontraktowe? – podsunął ostrożnie Redfern.

– A gdzie tam! Alan oszalał na jej punkcie, a może mi pan wierzyć, że to nie był facet, któremu łatwo zakręcić w głowie, a już na pewno nie w sercu. Spijali sobie z dzióbeków jak gołąbki – mówił z narastającą pogardą. – Chociaż, z drugiej

strony, wieczór kawalerski to był totalny zjazd. Nawet Will przegiał, nie wspominając o reszcie towarzystwa. No, ale miłość to miłość. Ostatecznie Sam i Alan następnego dnia mieli się pobrać.

– Jednym słowem zostałeś odstawiony na bocznicy. A to już jest całkiem niezły motyw – mówił wolno Redfern. – Muszę więc zapytać, gdzie pan był w chwili morderstwa?

– A gdzie miałem być jako kierownik sali i drugi drużba?

– Sergio uśmiechnął się kpiąco. – Oczywiście, że w Brooklands.

– Kto może to potwierdzić?

– Druga drużba Samantha. Dopinaliśmy ostatnie niespodzianki dla młodej pary. Wie pan, gołębie, pokaz fajerwerków i inne pierdoły. Chyba miała na imię Olivia.

Redfern udał, że ta informacja nie robi na nim wrażenia. Nie miał też zamiaru zdradzać Sergiowi faktu, że kobieta zniknęła. Zamiast tego sięgnął po zdjęcie, które zabrał z mieszkania Samantha.

– A czy zna pan tę kobietę?

– Chyba gdzieś ją widziałem, ale naprawdę nie pamiętam gdzie. – Pokręcił przecząco głową.

– Spędzała z Alanem i Samanthą prawie każde wakacje.

– Może była kolejnym eksperymentem tej parki? – Na twarz Sergia ponownie wypełzło szyderstwo. – Lubili swingować. Możliwe, że widywałem ją w jakimś klubie.

– No właśnie – mruknął Redfern i odszukał w komórce stronę z wyrobami Samantha. – Czy wie pan, gdzie to było

zrobione? – Podsunął mężczyźnie zdjęcie w dziwnej klatce.

– Pewnie, to podziemia Black Swan Club w Londynie. Wstęp tylko dla VIP-ów. A to tutaj to lustra fenickie. – Wskazał na tło fotografii. – Ludzie w środku robią swoje, a reszta się przygląda, stojąc za taflami. Bardzo podniecające!

Redfern szybko zrewidował rzeczy, które go kręcą, ale nie znalazł w nich seksu w klatce pod ostrzałem ludzkich spojrzeń. Może dlatego, że lustra fenickie kojarzyły mu się głównie z pokojem przesłuchań. Z ciekawością słuchał jednak dalszych wynurzeń Sergia.

– Samantha musiała mieć niezły dar przekonywania. – Przy ostatnich słowach Stork zrobił palcami cudzysłów. – Alan musiał sypnąć grubą forszą, żeby im udostępnił te wnętrza. No, ale i tak się zwróciło, bo Sam zaczęła zarabiać na sprzedaży więcej niż na tym całym programowaniu. Swoją drogą, szkoda, że klub się zamknął.

– A zamknął się?

– Tak, zalało całe podziemia i podobno budynek groził zawaleniem. Naprawdę fajna miejscówka.

– W to nie wątpię. A kto był pierwszą druhną Sam? – zapytał Redfern, notując w pamięci nazwę klubu.

– Kuzynka – odparł.

– Rozumiem, że u Alana był to Will? – Redfern wolał się upewnić.

– A jakże! Kolejny pokrecony Barker. Lepiej jemu byście się przyjrzelili – bąknął. – Paniczyk tylko pozuje na świętego,

a pierwszy by cię wyruchał. Dosłownie i w przenośni – zaśmiał się Sergio i czknął. – Zapytajcie go o kawalerski.

– Zacznę od pana.

– Nie było mnie na nim, bo się pochorowałem, ale kumple mówili, że było grubo.

Redfern szedł chodnikiem, myśląc o ostatnich słowach Sergia. Czy Will Barker zastosował zasłonę dymną, dając im w tajemnicy komputer Alana? A może faktycznie na dysku laptopa jest coś, co wskazywało na mordercę.

Wciąż gryzło go, kim była tajemnicza kobieta ze zdjęć Samantha i Alana. Był pewien, że musiała stanowić ważny element życia obojga, skoro pojawiła się na większości z nich. Jeśli para prowadziła tak rozwiązłe życie, jak sugerował Sergio, to może dziewczyna nie mogła się pogodzić ze ślubem. Czy miała jakiś związek ze zniknięciem Olivii Shawn?

Wsiadł do samochodu z postanowieniem odszukania przyjaciółki Samantha. Pomyślał, że jeśli raz pojawiła się blisko mieszkania na Lewisham, to niewykluczone, że zrobi to ponownie. Wysłuzona wizytówka też nie pozostawała bez znaczenia. Jeśli Shawn nosiła ją w portfelu tak długo, to bardzo możliwe, że Grace Taylor nie była jej zupełnie obca.

Patrzył na słońce z wolna auta, zastanawiając się, jak najszybciej dojechać na stację w Woking. Obawiał się, że korki, które zatrzymały go rano, wcale się nie zmniejszyły. Po chwili olśniło go. Przecież może wsiąść w pociąg w West Byfleet. Będzie wolniejszy od tego, który zatrzymuje się tylko

na Clapham Junction, ale zyska na dojeździe. Zadowolony z własnego pomysłu włączył się do ruchu.

Popołudnie

W osnowie mglistego popołudnia Lewisham robiło jeszcze mniej przyjazne wrażenie niż ostatnio. Zmrok zdawał się wyciągać z zaułków najczarniejsze charaktery dzielnicy, które teraz łupały spode łba na przechodzącego szybko Redferna. Znalazłszy się pod znaną mu kamienicą, zerknął na nią, jakby chciał się upewnić, że z mieszkania Samantha nie patrzy na niego znajoma twarz. Mętne światło latarni padało na budynek tak, że wydawał się składać wyłącznie z cieni o różnych tonacjach szarości. W szarości tonęło również okno salonu, w którym Redfern na próżno szukał wskazówek co do śmierci właścicielki.

Minął kamienicę, upewniając się, że podąża trasą, którą wyznaczyła mu nawigacja w telefonie. Po kilku minutach spaceru dotarł do salonu kosmetycznego, którego witryna utrzymana była w tej samej skali różu co wizytówka. Wszedł do środka, skupiając na sobie wzrok wszystkich siedzących w pomieszczeniu kobiet. Jednej z nich wyrwało się ciche gwizdnięcie, które Redfern uznał za swoisty komplement. Jedynie blondynka, która niemiłosiernie cienkim pędzelmalowała coś na paznokciu klientki, nie drgnęła nawet jednym mięśniem.

– Barber jest dwie ulice dalej – odezwała się dziewczyna za ladą. Redfern odruchowo dotknął swojej twarzy, którą pokrywała kilkumilimetrowa warstwa zarostu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jego policzki ostatni raz widziały się z golarką cztery dni temu.

– Ja na tipsy – odbił piłeczkę, ale brunetka tylko opuściła okulary wiszące na jej nosie.

– To musisz się cofnąć dziesięć lat – odparła, a jej źrenice wymownie przesunęły się od wschodu do zachodu. – U nas tylko akryl albo hybryda.

– Z tym cofaniem to możesz mieć rację, bo chodzi mi o dziewczynę, która prawdopodobnie od lat robi sobie trwałą czy inne pazurki – powiedział od niechcienia. – Jestem z policji.

Miał wrażenie, że po ostatnim zdaniu nawet piszcząca do tej pory mała frezerka ściszyła swój nieznośny głos. Z całą pewnością z salonu uszedł cały klimat, podszyty plotkami i kobiecym szeptem. Tak jak i dwie klientki pospiesznie zabierające swoje torby.

– Szukam Olivii Shawn – oznajmił i podszedł do lady, ignorując wychodzące dziewczyny.

Oparł się o nią i spojrzał na kobietę, która natychmiast wsunęła okulary na ich właściwe miejsce. Dla wzmocnienia efektu Redfern wyciągnął przerobione zdjęcie, które otrzymał od matki Samantha Grant. Podsunął je brunetce, czekając na reakcję.

– Nie znam – odparła sucho dziewczyna, ledwie zaszczycając wzrokiem fotografię.

– Mam rozumieć, że jeśli przejrzę ten spis – wskazał na duży zeszyt leżący przed kobietą – to nie znajdę ani pół wzmianki o pani Shawn.

– To rejestr na nowy rok, więc znajdzie pan tu co najwyżej piętnaście nazwisk. – Rozciągnęła opuchnięte usta.

– Ale już w tym będzie ich więcej. – Redfern spojrział wymownie na leżący obok notes z namalowanym flamastrem wielkim numerem: dwa tysiące trzynaście. – Mogę?

Dziewczyna przewróciła oczami i podała zeszyt inspektorowi. Otworzył go i zaczął przesuwac palcem po kolejnych pozycjach, oznaczających datę, nazwisko klientki oraz usługę, jaką zamówiła. Po paru minutach naszła go obawa, że nie znajdzie wśród nich Olivii. Dziewczyna za ladą usiadła i strzelała oczami na boki, starając się ze wszystkich sił ignorować policjanta. Reszta pracownic salonu wróciła do swoich zajęć, ale nikt się nie odzywał.

– Dobra, ułatwię to panu, bo mi pan psujesz biznes – odezwała się kobieta, która szlifowała paznokcie jednej z klientek. – Olivia u mnie pracowała. Zresztą całkiem nieźle.

Brunetka przeprosiła dziewczynę, która siedziała przed nią, i podniosła się. Kołysząc szerokimi biodrami, podeszła do Redferna, który domyślił się, że ma do czynienia z Grace Taylor. Czterdziestolatka przeczesala swoje misternie ułożone afro i oparła się o ladę.

– Zarabiała niezłą kasę, bo klientki były bardzo zadowolone i pchały jej do kieszeni spore napiwki. Mnie nic do tego.
– Uniosła ręce w obronnym geście. – Tyle że jakieś dwa lata temu totalnie jej odbiło. Zaczęła notorycznie spóźniać się do pracy, zawałała zabiegi, zupełnie jakby nie mogła się skupić na robocie.

– Powiedziała, co się dzieje?

– Tylko tyle, że ma kłopoty rodzinne, ale według mnie ona się czegoś bała. Może miała chłopca, co ją lał? A może zalazła komuś za skórę? Chociaż na to była raczej za spokojna.

– Miała męża? – spytał zdziwiony Redfern, a przez głowę przeleciała mu myśl: *Czy Summer Winter mogła to przegapić w życiorysie dziewczyny?*

– Jakichś tam chłopaków chyba – zamyśliła się Grace. – O tych sprawach raczej mało mówiła. Wiem, że trochę lubiła imprezować po klubach, ale przecież każda młoda lubi się zabawić.

– Kiedy ją pani widziała po raz ostatni?

– A dwa dni temu. Szła z jakimś kartonem czy innym badziewiem.

– Z kłatką na kota?

– Z czym? – zapytała, po czym jakby sama sobie odpowiedziała: – Nie, żadnej klatki. Mówię, że jakieś pudło czy coś. I powiem ci nawet więcej, bo widać, żeś swój chłop. Jamajczyk, co?

Redfern potwierdził, pomijając szczegół szkockich korzeni.

– No to powiem ci, że biegła, jakby ją ktoś gonił – zniżyła głos. – Wsiadła do auta i z piskiem opon odjechała. A biegła od strony domu Samantha, więc bym się jej przyjrzała, czy nie maczała palców w jej śmierci.

– Pracuję nad tym – zapewnił. – A czy zna pani którąś z tych kobiet? – Redfern dołożył obok zdjęcia Olivii fotografię Samantha Grant i tajemniczej dziewczyny z albumu.

– Ta tutaj to przecież ta, co ją zabili w dniu ślubu – ożywiła się nagle. – Mieszkała tu niedaleko. Często robiła u nas paznokcie. Zresztą to ona poleciła nam do pracy Oliwię. Chyba się mocno przyjaźniły. Jak ona miała na imię? – Grace zwróciła się do dziewczyny za ladą.

– Sam – odpowiedziała szybko brunetka i znów uciekła gdzieś wzrokiem, jakby obawiając się reakcji szefowej.

– Racja, Samantha – potwierdziła Taylor. – Miła i bardzo grzeczna dziewczyna. Szkoda jej.

– Skąd pani wie, że ją zabili w dniu ślubu?

– My tu wszystko o wszystkich wiemy. – Grace mrugnęła okiem i przyłożyła palec do ust, jakby nakazując Redfernowi milczenie. – W sumie nieźle się dobrały z tą Oliwią. Obie jakieś takie nieszczęśliwe. A ta Samantha to już w ogóle. Robiłam jej paznokcie w zeszłym tygodniu – *french* z kwiatuszkiem, jak to do ślubu. Normalnie to panny młode pieprzą jak potłuczone! A to kiecka taka, a samochód to taki, a kwiatki to nie róże, bo pech, tylko jakieś tam emfazy. A ta

nic. Siedziała na tych paznokciach jak na ścięciu. Bąknęła coś o przewodniczce gdzieś do domu w Surrey, więc chyba dobrze się wżeniła, bo tam drogo w cholere – Taylor trajkotała, robiąc przerwę tylko na krótkie oddechy. – Ale ona też chyba biedna nie była, skoro pracowała w Barclays Bank jako komputerowiec. Pracowała bardzo dużo. Nieraz widziałam, jak wraca wieczorem, a następnego dnia biegnie na pociąg z samego rana.

– Mówiła coś więcej o ślubie?

– No, że Olivia będzie jej druhną, że ten dom to jakaś pomyłka. Mówię panu, że to kupka nieszczęścia była. Rzadko się widzi taką smutną pannę młodą.

– A coś o narzeczonym? – zapytał Redfern.

– No właśnie niewiele. – Pokiwała głową, jakby była tym rozczarowana. – Powinna się rozpląwać w zachwytach, a tu nic. Tylko że pracuje w muzeum czy coś. No przecież to był Alan Barker, syn tego milionera. Połowa z nas by się dała zabić za takiego chłopca – Grace umilkła natychmiast, zdając sobie sprawę z fatalnego doboru słów.

Redfern zastanawiał się nad trafnością tego spostrzeżenia i faktem, że Samantha w każdej przestrzeni życiowej prezentowała zupełnie inne oblicze. Jakże musiała być pogubiona, skoro rodzicom pokazywała twarz niewinnej dziewczynki, narzeczonemu – zakochanej do szaleństwa wyuzdanej trzydziestolatki, a światu zewnętrznemu – przygnębionej pracoholiczki. Która z wersji Samantha Grant zaprowadziła ją przed oblicze śmierci?

– A ta tutaj? – Redfern dotknął trzeciego zdjęcia. – Zna ją pani?

– Znać nie znam, ale widziałam ją parę razy. Przychodziła razem z Samantha i czekała na nią, jak tamta się pindrzyła.

– Pamięta pani, jak miała na imię?

– Niestety, nie. – Pokręciła przecząco głową, wprawiając swoje afro w miękki, hipnotyzujący ruch. – Chyba nawet nie zwracały się do siebie po imieniu.

– Ostatnie pytanie – zapowiedział Redfern, czując, że niczego więcej się nie dowie.

– Pytaj.

– Dlaczego od razu nie chciałyście mi powiedzieć o Olivii Shawn?

– Bo my tu dbamy o anonimowość – powiedziała zdecydowanie za głośno i za dobitnie, i ponownie puściła oko.

Canary Wharf miało w sobie hipnotyzujący urok i siłę odpychania zarazem. Strzeliste, pełne zadęcia drapacze chmur migotały tysiącem świateł na tle pogrążonego w mroku nieba. Nie zważając na późną porę, ludzie w garniturach przemierzali chodniki, wchodzili i wychodzili do budynków niczym pszczoły do ula w upalny lipcowy dzień. Światowe serce bankowości biło swym niezachwianym rytmem nawet u schyłku dnia i Redfern wiedział, że biurowiec Barclays Bank także się do niego dostosował.

Pokonał drewniane obrotowe drzwi i znalazł się w zupełnie innym świecie. Mimo swej przysadzistości i odmiennej, przypominającej stare pałace architektury fasady wnętrze budynku onieśmiało szkłem, połyskującymi marmurami i... dojmującą ciszą. Gdy tylko Redfern przekroczył próg, pojawił się obok niego elegancko ubrany ochroniarz. Inspektor powiedział, co go sprowadza, i poprosił o kontakt z kimś, kto będzie mógł mu odpowiedzieć na kilka pytań o jedną z pracownic. Mężczyzna kazał mu poczekać i podszedł do recepcji, z której od samego początku przyglądała im się wysoka kobieta po trzydziestce. Wykonała jeden telefon i posłała Redfernowi szeroki uśmiech, przywołując go do siebie.

– Zaraz zejdzie do pana Rajesh Gurung, szef działu BATS – poinformowała go uprzejmie.

Inspektor podziękował i zanim zdążył wciągnąć recepcjnistkę w rozmowę, stanął przed nim niski mężczyzna o serdecznej twarzy, którą przykrywał wąs. Redfern kojarzył taki zarost ze swojej wizyty w Polsce w latach dziewięćdziesiątych, kiedy co drugi mijany na ulicy mężczyzna mógł się czymś takim poszczycić. Inspektor przypomniał sobie też, że z równej linii włosów na ich karku wyrastał koszmarny ogonek.

– Niestety, ze względu na bezpieczeństwo nie mogę pana zaprosić do biura – powiedział, gdy wybrzmiały wszystkie powitalne uprzejmości.

– Niestety, ze względu na śledztwo będę musiał je zobaczyć – odparł Redfern, któremu powoli brakowało cierpliwości i sił.

– Nasi traderzy obsługują wielomilionowe transakcje, wszystko jest objęte klauzulą najwyższej tajności...

– Chcę tylko zobaczyć, gdzie pracowała Samantha Grant – mówił powoli, starając się trzymać złość na smyczy.

– Ale musi pan zrozumieć, że jesteśmy związani procedurami – obruszył się mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze. – Nasi klienci nam ufają...

– Moi ufają mi jeszcze bardziej – Redfern nie ustępował. – I też jestem związany procedurami, a nawet przysięgą. Wie pan, co ona mówi? Że zrobię wszystko, żeby moi klienci nie bali się wyjść z domu, bo po ulicach biega morderca, który może nawet pracuje w tym budynku.

– Musi pan zrozumieć, że nasz bank to nie dworzec – Rajesh Gurung wyprostował się, jakby chciał sobie dodać nie tylko pewności siebie, ale i kilku centymetrów wzrostu. – Tu nie można sobie ot tak wchodzić i wychodzić.

– Jeśli zadzwonię do prokuratora, to zapewniam, że będzie pan miał tu nie tylko dworzec, ale i lotnisko Heathrow – powiedział coraz mocniej poirytowanym tonem. – Proszę się w to nie pakować.

Mężczyzna obdarzył Redferna wściekłym spojrzeniem, po czym rozkazał recepcjonistce, by wydała przepustkę. Po kilku chwilach na blacie pojawiła się plakietka z logo banku i szumnym napisem „gość”.

Wjechali windą na trzecie piętro, które przypominało kurzą fermę. Setki boksów, poustawianych wzdłuż niezbyt szerokich alejek, tworzyło swoistą szachownicę. Każde pole wypełniała szarość z niewielkim ciemniejszym lub jaśniejszym punktem, którym była głowa pracownika banku wpatrzonyego w ekran komputera.

– Nikt u nas nie ma stałego biurka – powiedział Rajesh. – Przychodzisz i zajmujesz wolne. Samantha zwykle siedziała tam. – Wskazał najodleglejszy róg sali i ruszył, prowadząc do niego Redferna.

– Jakim pracownikiem była panna Grant? – zapytał inspektor, gdy znaleźli się przy jej boksie.

– Świetnym – odparł bez namysłu szef działu. – Pracowała w małym zespole, w sumie pięć osób – dwie tutaj i trzy w Nowym Jorku, łącznie z jej przełożonym.

– Myślałem, że pan nim jest – zdziwił się Redfern.

– To bardziej skomplikowane – odparł z lekkim uśmiechem.

– Jak wyglądały jej stosunki z pracownikami?

– Normalnie. Przychodziła do pracy, szła na lunch i wychodziła – powiedział beznamiętnie.

– Nie miała żadnych konfliktów?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Wie pan, zdarzają się jakieś przepychanki między testerami a programistami albo między szefami a traderami, ale to raczej ostra wymiana maili na temat projektów niż jakieś osobiste animozje.

Redfern zaczął przeglądać rzeczy pozostawione przez Samanthę – klawiatura, mysz, notatnik z zapiskami, których treści poprzeplatanych szeregami cyfr nie próbował nawet zrozumieć.

– Czym się zajmowała? – zapytał, odkładając notes.

– Tak w ogromnym skrócie: tworzyła program do obsługi giełdy dla traderów, optymalizowała go i wdrażała. Ale to duże uproszczenie – dodał Rajesh.

– Czy dobrze zarabiała?

– Sto pięćdziesiąt tysięcy funtów rocznie plus premia – odparł bez mrugnięcia okiem, co oznaczało, że sam kasował wielokrotność tej sumy.

– Czyli całkiem nieźle – przyznał Redfern, czując się nieco oszukany przez system, który oferował mu zaledwie jedną czwartą zarobków Samanthy. – Czy to wszystko? – Wskazał na biurko, które, poza wytarciem niektórych klawiszy klawiatury, nie nosiło śladów obecności żywego człowieka.

– Są jeszcze szafki – oświadczył Rajesh. – Zaraz zawołam kogoś, kto otworzy tę należącą do panny Grant. Proszę tu poczekać.

Redfern został przy biurku sam. Zastanawiał się, jak można wydajnie pracować w takim hałasie, mając świadomość, że trzyma się w rękach czyjeś pieniądze. Trzask klawiszy, dzwonki telefonów, szum rozmów i klimatyzacji bombardowały słuch Redferna nieznośną kakofonią.

Po kilku minutach, podczas których starał się odciąć zmysły od sztucznego światła, harmidru i ostrego zapachu nowej wykładziny, pojawił się koło niego młody szczupły mężczyzna, którego roboczo nazwał serwisantem. I poprowadził do oddzielonego szklanymi drzwiami korytarza. Cała prawa strona zastawiona była przez szafki, jakie widuje się na basenie. Serwisant podszedł do ostatniej, dolnej i otworzył jednym z kluczy, jakie miał przy sobie. Następnie podziękował i pożegnał się, zostawiając Redferna samego.

Inspektor patrzył na stojące w środku dwie pary szpilek, leżącą na nich torbę na siłownię czy fitness i rzuconą nie dbale parasolkę. Rozsunął zamek torby i zajrzał od niechcienia do środka, ale poza butami do biegania, legginsami i jakimś elektrolitem o toksycznym kolorze nie znalazł nic. Złapał za drzwiczki szafki, żeby ją zamknąć, i... nagle się zatrzymał. Do wewnętrznej strony skrzydła Samantha przykleiła fotografię, z której uśmiechała się do niego kobieta z albumu. W przeciwieństwie do wakacyjnej pamiątki tu miała krótko obcięte włosy i kolczyk w nosie. Spojrzał uważnie na zdjęcie i wnet pojął, dlaczego w mieszkaniu była kuweta, a nie było sierści. Pozująca przy schodach do *concorde'a* dziewczyna trzymała na rękach szarego jak beton sfinksa z nabitą ćwiekami obróżką. Redfern zerwał zdjęcie i przysunął je do twarzy, mrużąc oczy. Coś mu nie pasowało w tym obrazie, ale nie potrafił jeszcze tego nazwać. Włożył zdjęcie do kieszeni i zerknął na zegarek. Do Marty i tak już nie zdąży, ale czekał na niego dziadek.

Odszukał Rajesha i na wszelki wypadek pokazał mu znalezioną fotografię, ale menedżer zupełnie nie kojarzył kobiety. Zwrócił natomiast uwagę na zabawny plecak, który leżał pod jej nogami, bardziej przypominający przezroczystą kapsułę niż bagaż. Redfern podziękował za pomoc i wyszedł z budynku.

Niedługo potem, nabuzowany zdobytymi informacjami, stał już w pociągu. O tej porze wagon przypominał wiaderko z flamastrami wyjątkowo skrupulatnego przedszkolaka. Przy każdym hamowaniu starał się utrzymać równowagę, usiłując przy tym nie dotknąć składanego roweru elegancko ubranego mężczyzny. Zmęczony tą ekwilibrystyką, wysiadł w West Byfleet, odnalazł Citroëna i pojechał prosto do domu.

Dziadka zastał w swoim pokoju, zawieszono nad jakąś wyjątkowo opasłą książką. Przypominał rzeźbę św. Mateusza w Rzymie. Zerknął na Davida i odchrząknął.

– Wszystko w porządku, Dawidku? Wyglądasz jak jakaś zjawa.

– Tylko zmęczenie, dziadku. – Usiadł przy stole, sięgnął po dzbanek z herbatą i nalał sobie pół szklanki. Ciepły napój przyjemnie wypełnił mu żołądek. Chwilę tak siedział, wsłuchując się w wiatr, który wściekle szturmował okna. Plastikowe ramy trzeszczały, dzielnie dając odpór najeźdźcy ze wschodu.

– Jak idzie poszukiwanie naszego Palacza? – W głosie Bohdana pobrzmiwała nuta niepokoju. Zamknął książkę

i ją odłożył.

– Jestem coraz bliżej. – Na dowód poszedł do swojego pokoju i przyniósł z niego zdjęcie uciekającego mężczyzny. – Prawdopodobnie to on.

Dziadek wziął od niego fotografię i skupił wzrok na czerwonym kółku.

– Czapeczka, ciemna kurtka. Palacz zadbał o to, by pozostać niewidzialnym – skomentował. – Kto je zrobił? – dopytał, odkładając kartonik na blat.

– Podobno najwcześniej do katedry doleciała maszyna BBC. Jak tylko znajdę chwilę, to będę musiał porozmawiać z ich dziennikarką – odparł. – Jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć.

– Mów, mnie już chyba nic nie zaskoczy.

– Pamiętasz tę nieszczęsną lalkę?

– Nie sposób zapomnieć – mruknął dziadek, mocno kontrolując kąciki ust, by nie wysunęły się za bardzo ku górze. – Osobliwa zabawka.

– Znalazłem w jej wnętrzu wodę. – Redfern także się uśmiechnął. – Pomyślałem, że to może być wskazówka. I chyba się nie pomyliłem. Zheng uruchomił jakieś swoje kanały i dał próbkę do laboratorium. Podobno znaleziono w niej mikroorganizmy, które występują tylko w okolicach Szkocji.

– Zbiornik Harlaw? – zapytał z nadzieją w głosie, którą David natychmiast musiał skruszyć.

– Nie, to słona woda. Mam jednak podejrzenia, że Palacz chce, żebym przyjechał do Szkocji.

– Chyba nie teraz? – obruszył się Bohdan.

– Nie, teraz mam za dużo na głowie. Ale w miarę szybko muszę znaleźć odpowiedni moment, bo ta lalka to klucz.

– Jeden z wielu. – Dziadek zamyślił się, ale po chwili nagle się ożywił. – No, a skoro już jesteśmy przy pięknych paniach, to jutro wpada Wanda i chcemy przygotować miejsce dla Marty. – Szerokim gestem wskazał na swój pokój.

Redfern upił solidny łyk herbaty, próbując ukryć zakłopotanie. Nie chodziło mu o stan sypialni, która przypominała typową jaskinię starszego człowieka, bo ta z pomocą Wandy na pewno szybko się zmieni. W całym tym zamieszaniu David zapomniał o najważniejszym.

– Tylko... że ona jeszcze nie wie, że będzie z nami. – Poczul, jak spada na niego ogromny ciężar odpowiedzialności.

Tak naprawdę nie rozmawiali, jak to ma być po wyjściu Marty ze szpitala. Bardzo się cieszył, że dochodzi do siebie, ale kwestii, co potem, dotychczas nie omówili. Obawiał się tej rozmowy, jednak wiedział, że musi odbyć ją jak najszybciej.

– Nie przejmuj się, przekonam ją – zapewnił dziadek. – Jutro rano się do niej wybieram. Tym razem mówię ci o tym, żeby nie było...

David zerknął na zegarek. Było już za późno na rozmowę z Martą, więc napisał jej tylko krótki esemes, życząc dobrej

nocy. Ale po chwili, czując, że wiadomość jest zbyt sztywna, dopisał, że o niej myśli.

Zasypiając, pomyślał, że nie potrafi budować relacji międzyludzkich i będzie musiał się szybko tego nauczyć, jeśli chce zatrzymać Martę przy sobie.

ROZDZIAŁ V

3.01.2014, piątek

Rano

Uzbrojony w zdjęcie tajemniczej kobiety z pomarszczonym kotem wszedł do budynku Brookland Museum zaraz po otwarciu. Przywitał się ze znajomą kasjerką, która rozmawiała akurat przez komórkę, i dodał, że idzie zobaczyć się z kustoszem. Kobieta przyjęła to do wiadomości, dość entuzjastycznie kiwając głową, po czym nacisnęła przycisk zwalniający bramkę oddzielającą sklepik od części wystawowej.

Idąc do budynku, w którym rezydował Ibrahim, wysłał esemesa McMahonowi, żeby zaczęli bez niego.

Staruszek stał przy jedynej osobówce, jaka znajdowała się w muzeum londyńskich autobusów. Ford 300E odznaczał się na tle czerwonych omnibusów swoją zgniłą zielenią, ale był zdecydowanie najsympatyczniejszym eksponatem. Zupełnie niczym kustosz, który nawet teraz nie oszczędził Redfernowi opowieści o tym, skąd wzięła się nazwa piętrowych pojazdów. Gdy opowieść zaczęła krążyć między zakładem kapełuszniczym rodziny Omnes a francuską piosenką o podobnie brzmiącym tytule, inspektor przerwał mu.

– Chciałbym pana o coś zapytać – zagadnął, wpadając Ibrahimowi w połowę zdania. – Czy możemy na chwilę wyjść z budynku?

– Tylko niedaleko, bo muszę pilnować wystawy – odparł z typową dla starszych ludzi obawą w głosie, ale nie był w stanie ukryć iskry ciekawości, która pojawiła się w jego oczach.

– Nie, tylko do concorde’a – uspokoił go Redfern i skierował się do wyjścia.

Kiedy wyszli przed budynek, zza chmur wychynał nieśmiało skrawek błękitu. Wciąż nisko zawieszone słońce nasyciło go dziwnym blaskiem, który natychmiast stał pędzący z szaloną prędkością wiatr. Kolejny podmuch uderzył obu mężczyzn z taką siłą, że musieli się odwrócić i przez chwilę iść tyłem. W końcu stanęli przy dziobie concorde’a.

– Rany boskie, co to za pogoda! – pomstował mężczyzna, usiłując przekrzyczeć dudnienie.

– Od kiedy ten samolot jest w Brooklands? – Redfern zapytał równie głośno i wskazał na białą masywną jednostkę, przez którą przebiegał czerwono-zielony pas.

– W Brookland od zawsze, bo to tu go zbudowano – odparł z radością staruszek. – Vickers to najbardziej luksusowa maszyna, jaka powstała w Wielkiej Brytanii. Do tego stopnia, że jeden egzemplarz został kupiony, a następnie zaadaptowany dla sułtana Omanu. No i właśnie dzięki jego hojności możemy podziwiać to чудо.

– Czyli został podarowany przez sułtana? – spytał już ciszej, bo wiatr albo ustał, albo zmienił kierunek.

– A nie widzi pan flagi na ogonie? – zapytał, a Redfern łypnął na tył samolotu. – Podarowany, i to z jaką pompą! Na pokładzie przyleciał sam ambasador Omanu i oczywiście Barker senior. Na moje oko to Herman musiał nieźle nadskakiwać komuś wyżej postawionemu, skoro dostaliśmy taki prezent.

– Kiedy to było?

– VC10 jest z nami od lipca tego... oj, przepraszam, ubiegłego roku – poprawił się kustosz i przyglądził zmierzwiłone włosy.

– A zatem to nie może być starsze niż pół roku – Redfern podzielił się swoją myślą i podał Ibrahimowi zdjęcie.

Zupełnie jakby na to czekał, potężny podmuch wyrwał fotografię ze zmarzniętych dłoni staruszka i uniósł wysoko. Redfern rzucił się w pogoń, wpadając między pobliskie drzewa. Wiatr upuścił zdobycz, która zatańczyła w powietrzu i na oczach inspektora opadła wprost do rzeki Wey. Silny w tym miejscu nurt zawirował kolorowym papierem niczym uschniętym liściem, których tysiące spływały co roku dorzeczem do Tamizy. Redfern, niewiele myśląc, ściągnął kurtkę i buty, i rzucił się w kierunku rzeki, ale zanim dotknął stopami wody, poczuł na ramieniu rękę Ibrahima.

– Na moje oko to nie warto dla kawałka papieru ryzykować zapalenia płuc albo utopienia – powiedział łagodnie. –

Bardzo pana przepraszam, że nie utrzymałem zdjęcia. Stałość odbiera mi nie tylko wspomnienia, ale i siły.

Redfern bezradnie patrzył, jak zdjęcie pochłania zielona niczym zabytkowy ford woda. Ale nie był zły na mężczyznę, bo złość wyparła myśl, że jeśli nie zatrzyma skutecznie swojej choroby, to za kilka lat sam będzie mieć problem ze złapaniem drobnych przedmiotów.

Jednak do Woking jechał rozdrażniony. Nie zdążył wykorzystać dowodu zdobytego z takim mozołem. Dowiedział się tylko, że kobieta ze zdjęcia odwiedziła muzeum całkiem niedawno i miała kota, który lubił podróżować.

Podminowany, dotarł do komendy. Jego nastrój nie uszedł uwadze McMahona, którego spotkał na korytarzu. Gregory skomentował zmęczoną twarz Redferna i streścił mu to, co przekazał do tej pory załodze. Inspektor krótko podziękował i wszedł do konferencyjnej.

Summer zwyczajowo siadła blisko wyjścia, ale nie wpatrywała się w Redferna ze zwykłym zainteresowaniem, zajęta przeglądaniem notatek, które ostentacyjnie rozłożyła przed sobą. Tinney wyglądał, jakby całkiem niedawno opuścił salę balową i jedyne, o co zadbał, to czysta koszula i zaczesane do tyłu blond włosy. Reszta zespołu prezentowała się podobnie.

Mając w planach trudny dzień, Redfern nie silił się na wielkie powitania. Życzył wszystkim szczęścia w nowym roku i od razu przeszedł do rzeczy:

– Co wiemy o Barkerach? – zapytał Tinneya, który aż prężył się do odpowiedzi.

– Pobrali się w siedemdziesiątym piątym, trzy lata później urodził się Alan, a po kolejnych pięciu na świat przyszedł Will – referował Puszka.

– Ty tak na poważnie? – zapytała Summer, nie kryjąc rozbawienia. Zerknęła na Redferna, ale natychmiast uciekła wzrokiem w notatki.

– No, miało być o Barkerach, to jest – bronił się młody policjant, po czym wrócił do swoich zapisków, które jak zawsze miał w telefonie. – Herman Barker w kilka lat pomnożył majątek, który wniosła do małżeństwa Margaret. Inwestował w destylarnie i browary. Potem kupił kilkanaście nieruchomości w Stanach, co umożliwiło mu obywatelstwo żony, ale ostatecznie popłynął na Lehman Brothers.

– Podniósł się? – spytał Redfern.

– Nie od razu. Dopiero w ubiegłym roku wrócił do gry, i to w pięknym stylu, odzyskując wszystko, co stracił.

– Niech zgadnę, chodzi o giełdę?

Tinney potwierdził, lekko zaskoczony.

– Nasza ofiara miała dostęp do giełdy – wyjaśnił Redfern pobieżnie. – Chcę wiedzieć, jakie projekty łączyły Hermana Barkera z Samantha Grant, zanim poznała jego syna. Prawdopodobnie ścieżki tej dwójki przecięły się już wcześniej i wynikała z tego jakaś współpraca.

– Wchodzisz w science fiction, Dave. – Tinney zdawał się studiować entuzjizm Redferna. – Myślisz, że to jest tak jak w fil-

mach: siedzi jakiś nerd, klepie naprędce kod i po chwili cała giełda wariuje, a na koncie jakiegoś buca lądują miliardy. To tak nie działa – zanim kod trafi do systemu produkcyjnego, przechodzi przez dziesiątki rąk i oczu, są testerzy, inni programiści, którzy rewidują twój kod, jest jeszcze komisja, która takie zmiany zatwierdza.

– Oni mieli jakieś powiązania, a naszym zadaniem jest je znaleźć, choćby to miało zahaczać o science fiction albo inne fantasy – burknął lekko urażony Redfern.

– Dobra, przy założeniu, że tak jak mówisz, Barker jakoś wszedł w układ z Grant, to jak to sobie wyobrażasz?

– Musiał jej obiecać działkę albo ją czymś szantażować – podsunęła Summer.

– Jakby umiała oszukać system, to sama by z tego skorzystała, a nie ryzykowała karierę, a być może i życie dla jakichś ochłapów od Barkera. – Tinney był nieprzekonany, na znak czego zaczął kompulsywnie pstrykać długopisem, który trzymał w dłoni.

– Więc zostaje szantaż – podsumowała policjantka z końca sali.

– Może groził, że ujawni jej biznesik? – podrzucił Tinney.

– To by jej nie skompromitowało na tyle, żeby zwolnili ją z banku. Skoro tyle tam siedziała i była dobra, to mało kogo by obchodziło, co robi po godzinach. O świetnego programistę wcale nie jest tak łatwo – dodała Summer.

Redfern przysłuchiwał się rozmowie policjantów, starając się nie wtrącać, by dać im pole do argumentacji. Musiał

choć trochę zdać się na ich samodzielność, by móc się skupić na najważniejszym. Kiedy dyskusja wybrzmiała, zarządził:

– Chciałbym, żebyś przyjrzała się bardzo dokładnie działalności Barkera – zwrócił się do Summer. – Bo coś mi się wydaje, że to cudowne ozdrowienie jego finansów nie było przypadkowe.

Summer skrzętnie zanotowała, czego ma szukać.

– Natomiast ty, Puszka, zajmiesz się czymś innym. Chcę, żebyś przekopał się przez bazę i znalazł sprawę młodych Barkerów. Możliwe, że guzik znajdziesz, bo podobno zamieciono ją pod dywan. Chodzi o próbę gwałtu albo nawet gwałt pod groźbą użycia broni. Dla ułatwienia dodam, że rozpiętość czasowa to pięć lat.

Zadania postawione mu przez inspektora Tinney zapisał w telefonie.

– A co z Olivią Shawn? – odezwał się jeden z policjantów siedzących pod oknem.

– Szukamy, szukamy i jeszcze raz szukamy – odparł Redfern. – Czego się o niej dowiedzieliście przez ten czas? – zapytał nieco poirytowany.

– Że zostawiła komórkę w domu, wypłaciła z konta tysiąc funtów, po czym zatankowała na Shellu w Ottershaw i zniknęła – wymieniał szybko Tinney. – Jest astmatyczką, lecz się w przychodni Westfield, regularnie chodzi na basen. Jest przedszkolanką w Busy Bees w Knaphill. Dorabia też w szkole aktorskiej w Guildford, ucząc dzieciaki. Zarówno

szkoła, jak i przedszkole są zamknięte na okres świąteczny, więc może Olivia jednak nie uciekła, tylko wyjechała gdzieś na urlop i wróci normalnie do pracy w poniedziałek.

– Wątpię – powiedział inspektor. – Ostatni raz widziana była w Lewisham dzień po zabójstwie. I nie wyglądała na urlopowiczkę. Podejrzewam, że zabrała coś z mieszkania Samantha, ale mogę się mylić. Szukaj więc dalej. Aha, jest jeszcze jeden facet, którego trzeba przeskanować. To zadanie dla ciebie, Summer. Nazywa się Sergio Stork i pracuje w Brooklands.

– Co go łączy z ofiarami? – dopytała Winter.

– Był kochankiem jednej z ofiar – oznajmił Redfern, nie siląc się na subtelność.

– Święta Samantha miała kogoś na boku? – wyrwało się policjantowi z tyłu sali.

– Nie Samantha, tylko Alan, i nie na boku, bo to skończony temat – poprawił go inspektor. – Coś mi się jednak nie podoba w tym koleśku. Podejrzewam, że może być zamieszany w śmierć Jasona McCabe’a.

– Jeśli McCabe’a, to pewnie też Samantha – odezwał się Johaness. – Paski by się zgadzały.

– Tyle że sprawców w Bentleyu było dwóch – powiedział Redfern. – Szukamy zatem pary dla Sergia.

– Więc może braciszek, któremu przemoc nie jest obca? – wyraził przypuszczenie Tinney.

– Tego jeszcze nie wiemy – ostudziła go Summer i po raz pierwszy spojrzała na Redferna, jakby szukała potwierdzenia.

nia. – Być może to Olivia, której dziwnym trafem nie możemy znaleźć.

– Jest jeszcze kobieta, której fotosy znalazłem w domu Samantha. – Redfern podał zdjęcie Winter, ona przyjrzała mu się i podała dalej. Kiedy obejrzeliby je wszyscy, fotografia znów trafiła do rąk inspektora, który magnesem przytwierdził ją do białej tablicy.

– Niestety, nic więcej o niej nie wiem. Nie znają jej ani rodzice Samantha, ani współpracownicy. Nie ma jej nawet na Facebooku.

– Jest takie powiedzenie: jak nie ma cię na Facebooku, to nie istniejesz – zawyrokował Tinney.

– Mam nadzieję, że jednak istnieje i odpowie na nasze pytania. Zróbcie sobie skan tego zdjęcia i poszukajcie jej. To tyle ode mnie – spuentował inspektor.

Wszedł do siebie i zajął miejsce za biurkiem. Nie chciał nawet zastanawiać się, ile papierkowej roboty ma do wykonania i jak bardzo będzie warczał McMahon, kiedy jej nie zrobi. W kiepskim nastroju włączył komputer. Kiedy maszyna poprosiła go o hasło, usłyszał pukanie. Zaskoczony, powiedział „proszę”.

– Nie możesz mnie wiecznie unikać – powiedziała Summer od progu. Zatrzasnęła za sobą drzwi, podeszła do biurka i oparła się obiema rękami o blat.

– Nie unikam cię, ale nie mam czasu na takie pierdoły – powiedział spokojnie. Chciał jak najszybciej uznać sprawę za niebyłą, by nie narażać Summer na przykrość.

– To, co nas łączy, nazywasz pierdołami?! – zaatakowała nagle.

– Summer... – zaczął na głębokim wydechu. – Żebyśmy się dobrze zrozumieli. Tamta sytuacja mogła się zdarzyć każdemu. Rozumiem, że był sylwester, trochę za dużo wypiałś. Po prostu zapomnijmy o wszystkim i skupmy się na sprawie, bo przyznaję, że trochę nas przerosła.

– Naprawdę? Teraz będziesz mi mydlił oczy śledztwem?

– Teraz to ja niczego nie rozumiem – Redfern odsunął się od biurka i przyglądał się coraz bardziej zagniewanej dziewczynie.

– A kto szuka cały czas pretekstu, by być blisko? – Mierzyła go wściekłym wzrokiem. – Summer, jedź ze mną tu, jedź ze mną tam. Myślisz, że tego nie widzę?

– Chcę, żebyś się czegoś nauczyła! – Nie wytrzymał i podniósł głos. – Usiłuję ci zapewnić stały przydział!

– W bardzo pokrętny sposób – syknęła. – Przepraszam, ale ja miałam odwagę zrobić pierwszy krok. A ty jesteś cholernym tchórzem!

Redfern przetarł dłonią zmęczoną twarz. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, doszło do niego:

– Wykorzystałaś swoją pozycję, by sobie ze mną pogrywać! Tak się nie robi! – odwróciła się i skierowała do wyjścia. Ale tym razem zamiast trzaśnięcia drzwiami usłyszał ciche tyknięcie zamykanego zamka, co mimo swej subtelności rozsadziło jego myśli, podobnie jak nadejście po chwili esemesa od Tinneya. Inspektor obawiał się, że Puszka wysyła mu

ostrzeżenie, że wszyscy słyszeli ich rozmowę. Ale na ekranie telefonu zobaczył coś bardzo interesującego. Ruszył do jego pokoju.

– Jak to znalazłeś? – zapytał Tinneya.

– Usunięte katalogi – oznajmił młody policjant. – Ludzie myślą, że jak opróżnią kosz albo nawet zmienią format dysku, to dane magicznie znikną. A wtedy wkraczam ja i znajduję to.

Tinney otworzył katalog z napisem „temp” i na ekranie wyświetliły się miniaturki zdjęć. Cursor myszy pomknął do pierwszego z nich i po dwóch cichych kliknięciach Redfern zobaczył fotografię listu. Przeczytał uważnie jego treść.

– Pogróżki – podsumował. – I to niewybredne.

– Raczej obrzydliwe. – Tinney się skrzywił. – Są napisane odręcznie, więc terrorysta nie bał się zdemaskowania.

– *Umrzesz powolną śmiercią, pełną bólu i krwi. Będę patrzeć, jak zwijasz się i błagasz o litość, ale ja nie znam litości* – przeczytał Redfern. – Nie pasuje do *modus operandi*. Ale to może być szczegół. Pokaż następny.

Tinney kliknął na kolejną ikonkę.

Nie pozwolę ci na twój plan. Cokolwiek zrobisz, będę blisko. Bardzo blisko.

– Może to nasz morderca? – zastanawiał się głośno inspektor, na co Puszka tylko wzruszył ramionami. – Spróbuj coś wycisnąć z tych tekstów, ja tymczasem skoczę do posiadłości Barkerów.

– Sam? – spytał Tinney.

– Powiedzmy, że ostatnio mam przesyt towarzystwa – odparł gorzko Redfern wciąż nabuzowany emocjami.

– A miałeś kiedykolwiek niedosyt? – Tinney wyszczerzył się w szczerym uśmiechu, czym odrobinę zmył cierpkość rozmowy z Summer.

Tylko jednej osoby, odpowiedział sobie w myślach Redfern i wyszedł.

Południe

Bryła Hatchlands zdawała się zyskać na lekkości na tle błękitnego nieba. Chociaż niespodziewanie wszystkich zaskoczyła zima, Redfern nie miał ochoty na kolejną wizytę we wnętrzach pałacu. Poprosił więc Willa o spotkanie w otaczającym go parku.

Pięli się z wolna na niewielkie zalesione wzniesienie.

– Wiedział pan o pogroźkach, które otrzymywał pana brat? – zapytał inspektor, gdy zbliżyli się do linii drzew.

– Nie, ale wiedziałem, że się bał. I pomyślałem, że jego komputer może jakoś pomóc, skoro Alan tak go chronił – odparł Will, przekraczając wielki kamień na ścieżce.

– Ma pan podejrzenia, kto mógł je pisać? – Pokazał na telefonie zdjęcia, które podesłał mu w międzyczasie Tinney.

Will wziął komórkę i przewinał kilka fotografii.

– Obrzydliwe – skomentował, nieświadomie parafrazując Chrisa. – Nie mam pojęcia, kto mógł się do tego posunąć.

– Chciałbym pana jeszcze zapytać o kawalerski, który podobno był dość huczny.

– A który nie jest? – rzucił w stronę lasu, nie patrząc na Redferna.

– Ten podobno był wyjątkowy – naciskał inspektor.

– I tak się pan dowie. – Will przystanął. – A Alanowi to i tak już nie zaszkodzi. Mój brat przesadził z koksem. Musielśmy wezwać karetkę.

– I to wszystko? – Redfern odwrócił się w jego stronę i wymownie spojrział mu w oczy.

– Nie, nie wszystko. – Barker znów ruszył wzdłuż ścieżki. – Alan się wściekł. Ktoś mu coś powiedział i wpadł w szał. Krzyczał, że Samantha go oszukała, że ją zabije. Chciał nawet do niej jechać, ale jeden z jego kolegów miał inny pomysł i wstrzyknął mu jakieś gówno. No ale wcześniej ja i mój brat braliśmy kokę, więc skończyło się tak, jak się skończyło.

– Wie pan, co tak rozwścieczyło Alana?

– Nie, ale w karetce powiedział, że i tak ją kocha – rzekł cicho.

– Może więc to ona prowadziła z nim jakąś grę i przysyłała te anonimy? – Redfern próbował go naprowadzić na jakiś ślad, który pomoże Willowi dotrzeć do sedna sprawy. Nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że Will nosi w sobie jakąś prawdę, którą albo nie chce, albo nie może się podzielić.

– Naprawdę nie mam pojęcia – westchnął młody Barker i zapiał kurtkę pod szyją.

Z każdym krokiem zamykająca się nad nimi kopuła z gałęzi odbierała im ciepło bladych promieni słońca. Z rzuconych przez drzewa cieni bił chłód i wilgoć podbita zgnilizną. Redfern schował ręce do kieszeni, żałując, że nie zabrał z domu rękawiczek.

– A co może mi pan powiedzieć o próbie gwałtu, której dopuścił się pana brat?

– To była próba wyłudzenia pieniędzy od naszej rodziny.
– Will napiął się, a w jego głosie pobrzmiwała złość. – Dziewczyna sama się zgłosiła do zabawy, wiedziała, co jest grane w klubie, bo wcześniej już to robiła z innymi. Nagle wpadła policja, a ona zaczęła krzyczeć, że Alan chciał ją zgwałcić.

– Groził jej bronią – powiedział Redfern zimno.

– Nawet nie była nabita. – Will wzruszył ramionami, jakby mówił o kradzieży kufla z baru. – To był zwykły rekwizyt, jak maska czy więzy. Alan nie zrobiłby jej krzywdy. Poza tym na wypadek gdyby ktoś chciał przerwać zabawę, ustalone są hasła bezpieczeństwa. Ona go nie wypowiedziała. Alan miał to na nagraniu. To była jakaś ustawka, która miała pogrozić Alana.

– Na tyle dobra, że wasz ojciec musiał interweniować – podsumował Redfern. – I jeszcze kazać zamieszkać Alanowi w Hatchlands.

– Ojciec się przejmuje wszystkim, co może ugodzić w jego wizerunek – Will wrócił do normalnego, nieco napużonego tonu. – Ale Alan i tak niewiele sobie z tego robił. Miał swoje ścieżki i tajne przejścia – dodał enigmatycznie.

– A czy kojarzy pan tę osobę? – Redfern pokazał Barke-
rowi zdjęcie tajemniczej kobiety.

– To jakaś koleżanka Samantha. – Ożywił się nagle. – Była kiedyś w klubie, ale nie pamiętam imienia. Pamiętam tylko, że bardziej obserwowwała, niż się bawiła.

– I nic więcej?

– Wie pan, w klubie raczej mało się rozmawia, a jeśli już, to o jakichś bzdurach. Natomiast wydaje mi się, że ta dziewczyna pracowała albo studiowała z Samantha, bo przez chwilę gadały w tym swoim śmiesznym „nerdowskim” języku.

– To już coś – mruknął do siebie Redfern.

Zrobił kilka kroków do przodu, kiedy poczuł w kurtce wibracje komórki. Przeprosił Willa i odebrał.

– Podobno mnie pan szuka? – usłyszał w słuchawce kobiecy głos. – Lucy Black z BBC – przedstawiła się.

– Może nie szuka, ale faktycznie chciałbym z panią porozmawiać o pewnym reportażu z Guildford – odparł zaskoczony, że kobieta do niego dotarła. Przemknęło mu przez myśl, że jeśli policja chce zwiększyć skuteczność, to powinna zasilać swoje szeregi reporterami.

– Wiem, że chodzi o tę strzelaninę w katedrze – powiedziała. – Problem polega na tym, że jutro po południu wyla-

tuję do Chin i nie będzie mnie do końca miesiąca. Czy może pan do mnie dziś podjechać? Mieszkam w Worplesdon.

– Worplesdon – powtórzył bezmyślnie.

Redfern zerknął na zegarek, zastanawiając się, ile zajmie mu droga z Hatchlands do Lucy Black.

– Mogę być za pół godziny – strzelił i spojrzał na Willa Barkera, który pokręcił przecząco głową. – No, powiedzmy, że za godzinę.

– Dobrze, zaraz wyślę panu adres esemesem – poinformowała, jakby kończyła jedną z relacji, i rozłączyła się.

Popołudnie

Dom dziennikarki nie wyróżniał się niczym szczególnym w szeregu budynków przy Thatchers Lane. Redfern pomyślał, że zamieszkanie w takim miejscu musiało stanowić dla Lucy Black swego rodzaju kamuflaż. Jeszcze kilka lat temu ta piękna, wysoka blondynka biła rekordy popularności. Jako Miss Anglii przykuwała wzrok nie tylko urodą, ale także elokwencją i ciepłem, które zdawały się przenikać przez szklany ekran. To mogło nastęrczać problemów.

– Wydaje się pan zaskoczony – przywitała go w progu i z miejsca wpuściła do środka.

– Spodziewałem się willi z basenem, choć basen to w naszym kraju wydatek dość nierozsądny – odparł Redfern, podążając za panią domu.

Zaprowadziła go do typowej kuchni z wyspą i wysokimi siedzeniami. Na tle kremowych mebli w stylu wiejskiego domku odznaczała się lodówka, której obydwie skrzydła pokrywały rysunki dzieci. Spomiędzy dzieł małych rąk prześwitywały zdjęcia uśmiechniętych buzi. Redfern musiał przyznać, że lodowy monolit wrednej dziennikarki topniał z każdą chwilą.

– A wie pan, że w Surrey sprzedaje się najwięcej przydomowych basenów? – Lucy odbiła piłeczkę i uniosła w zachęcającym geście dzbanek z kawą.

Redfern skinął na znak, że chętnie się napije.

– Jest pani dobrze poinformowana – wy dobył z siebie marne i wyświechtane pochlebstwo, po czym zanurzył usta w doskonałym naparze.

– Taki zawód – odparła i usiadła obok niego. – A skoro już przy tym jesteśmy, to mam dla pana to nagranie. Nie wiem, czego się pan spodziewa, ale nie nastawiałabym się zbyt entuzjastycznie. No chyba że technika, jaką dysponujecie, coś z tego wyciągnie.

– Ronald Rudd był entuzjastyczny?

– Aż za bardzo. I chyba w tym wszystkim się pogubił – powiedziała i przełknęła ślinę, jakby smutek wziął górę nad wyreżyserowanym opanowaniem. – Strasznie nieszczęśliwy człowiek. Najpierw stracił syna, potem wnuczkę. Wszyscy w środowisku dziennikarskim bardzo mu współczuli, a po jego śmierci wielu mówiło, że dobrze zrobił, zabijając tamtych handlarzy dziećmi.

– Wśród policjantów też.

– A zatem nie dzieli nas tak wiele, jak zwykło się sądzić – podsumowała. – Dlatego mam dla pana, inspektorze, pewną propozycję. – Przeszła na drugą stronę wyspy i zamilkła, jakby wążąc w głowie każde słowo. – Oddam panu materiał z helikoptera, ale w zamian chcę wiedzieć wszystko, co działo się ostatnio w Woking. Nie wierzę, że ta wasza szopka powstała ot tak sobie. Natrafiłście na coś grubego i chcę wiedzieć, co to jest.

– Wie pani, że mogę oficjalnie wystąpić do prokuratora o nakaz i w ciągu doby przekaże mu pani nagranie z uśmiechem na ustach.

– Oficjalnie to nagranie nie istnieje, bo nie było nikomu do niczego potrzebne. Nawet nie wiem, skąd Rudd je miał. Na pewno nie ode mnie. – Zmrużyła oczy i rozciągnęła mięsiste usta w szyderyczym uśmiechu. – Poza tym winnego zła-pano, nieprawdaż?

– Żeby była jasność, nie będzie żadnej współpracy – Redfern czuł, jak gniew puchnie mu w gardle, powodując obniżenie głosu. – Żadna dziennikarska menda nie będzie sobie pogrywać z policją.

– Tak jak pan, przyjmując łapówkę? – Upiła łyk kawy, nie przestając się uśmiechać. – Skąd pan wziął kasę na leczenie sierżant Lindy Wall? Bo chyba nie z policyjnej pensyjki?

– Przez kilkanaście lat służby mogłem coś odłożyć – Nie dał się zbić z tropu, czując, że za chwilę pochłonie go amok.

– Panie Redfern, powiem tak... – oznajmiła, odstawiając filiżankę. – Mam tu całkiem zgrabny artykułik na pana temat. Jeśli do jutra do południa nie przygotuje pan tego, o co proszę, to ja polecę do Chin, a artykuł do „Daily Mail” albo innego szmatławca. Wybór zostawiam panu.

Nie był w stanie prowadzić. Mimo to uruchomił silnik i wyjechał na główną drogę, ale gdy tylko zobaczył zatoczkę, natychmiast się w niej zatrzymał. Jadący za nim samochód ledwo go ominął, jednak kierowca nie zatrąbił, tylko się zatrzymał kilkadziesiąt metrów dalej. Redfern spodziewał się kolejnej awantury, lecz po kilkunastu sekundach gość zrezygnował i odjechał.

Redfern huknął ręką w kierownicę, rozładowując nieco furie, w jaką wpadł. Nie mógł uwierzyć, że dał się wpędzić w potrzask. Artykuł na jego temat miał gdzieś. Dobre imię, o które tak walczył, było potrzebne jedynie do policyjnego PR-u. Ani dziadek, ani Marta nie przekreślą go z powodu pomówień, a prawda była taka, że tylko na tej dwójce mu zależało. Prawdziwą wściekłość wzbudzał w nim fakt, że gdy tylko wyciągał po coś dłoń, to coś spopielalo się na jego oczach. Miał ochotę wrócić na Thatcher Lane i siłą wyszarpać Lucy Black nagranie Palacza. Wiedział jednak, że musi działać ostrożnie i po raz kolejny w strefie półcienia, by jego pośpiech nie spalił kolejnej szansy. A będzie mógł to zrobić tylko z pomocą osoby, która przechadza się przez życie w podobny sposób.

Wybrał numer do Zhenga. Odebrał po piątym sygnale.

– No i co tam u pani Black? – zapytał wesoło. – Mam wrażenie, że z roku na rok jest coraz ładniejsza, a już na pewno lepiej sobie radzi z reporterską robotą.

– Jak ci opowiem, jakich metod używa pani Black, to zmienisz zdanie – odparł Redfern i streścił agentowi przebieg rozmowy.

– I co, boisz się jej? – zakpił Chińczyk, kiedy inspektor skończył opowiadać.

Redfern wyczuł, że za pozornym luzem kryje się zdenerwowanie.

– Nie wiem, co mam myśleć. Wiem natomiast, że swoją robotą może nieźle namieszać, nie tylko w moim życiu. To akurat mam w dupie.

– Nie bój żaby, Dave. Mamy sposoby na takie szumowiny.

– Dacie radę ją uciszyć? Co jej zaoferujesz?

– Nie po to całą sprawę objęliśmy klauzulą tajności, żeby nam bruździła jakaś dziennikarka. Słuchaj, znalezienie tych skurwysynów jest priorytetem. Black dostanie garstkę niezagrażających nam informacji, a ty swoje nagranie. Tylko spokojnie. Wszystko jest do ogarnięcia, panie inspektorze.

Tylko spokój może nas uratować, pomyślał Redfern, przywołując w pamięci sentencję, którą kiedyś usłyszał od dziadka.

– A jak czuje się Marta? – zapytał niespodziewanie Zheng.
– Powiedziała coś?

– Nie. Na razie jest w takim stanie, że ledwo potrafi opowiedzieć o tym, co robiła poprzedniego dnia.

– Wiesz, że będzie musiała odpowiedzieć na kilka pytań – oznajmił poważnie Chińczyk. – Porwanie to nie jest podwórkowa rozgrywka. Tym bardziej że wszyscy już wiedzą, że było to skierowane przeciwko tobie. Przygotuj ją na to, Dave.

– Postaram się – odparł bez przekonania i pożegnał się z agentem.

Nie miał ochoty wracać do domu. Korzystając z pustych o tej porze dróg, jeździł bez celu, dopóki niebo nie wyświetliło na swoim czarnym ekranie gwiazdnego seansu. Dopiero to uświadomiło Redfernowi konieczność powrotu do domu. Nie zamierzał zostawiać dziadka samego po zmierzchu. Skręcił w najbliższą drogę do Woking i pełen złych przeczuc przycisnął pedał gazu.

Wieczór

David już w przedpokoju słyszał jakiś rwetes. W pierwszej chwili wystraszył się, że dziadek się przewrócił albo z kimś walczy. Zawołał w głąb domu.

Jak na komendę Bohdan i Wanda wysunęli się z pokoju dziadka i gdyby nie ich wiek i ilość kurzu osiadłego na włosach, mógłby się założyć, że przyłapał ich *in flagranti*.

– Dawidku, dobrze, że jesteś – ucieszył się dziadek, ale policyjny nos inspektora wyczuł w tym podstęp. – Trzeba przenieść stół, szafkę nocną i moje łóżko do salonu. Uszyko-

wałem też kartony z książkami, które chciałbym mieć pod ręką – wymieniał szybko. – No i musisz zmienić zasłonki w obu pokojach.

– Warto byłoby przesadzić też tego wielkiego fikusa, bo tylko straszy doniczką – dodała z zatroskaną miną Wanda, na co Redfern zrobił wielkie oczy.

– Zjem coś i biorę się do pracy – odpowiedział, przybierając najbardziej entuzjastyczny ton, na jaki mógł się zdobyć.

Wszedł do kuchni i zrobił sobie kanapki. Dopiero teraz poczuł, jaki jest głodny. Zajadał jedną kromkę za drugą, poprzestając dopiero na piątej. Kiedy wkładał talerz do zmywarki, w progu pojawił się Bohdan.

– Zebrałem twoje rzeczy, które jakimś cudem znalazły się u mnie – oznajmił z lekkim zakłopotaniem i postawił przed wnukiem karton.

Redfern zerknął do pudła i pierwsze, co mu się rzuciło w oczy, to słuchawki, których szukał od dawna. Były tam również: pudełko długopisów, o którym był święcie przekonany, że zgubił je w drodze ze sklepu, woda po goleniu oraz scyzoryk i jakieś papiery. Znalazła się też reklamówka Bandita, którą Marta zostawiła wraz z psiakiem w recepcji hotelu. David podziękował dziadkowi za zwrot rzeczy i postawił karton u siebie na łóżku.

Przemeblowanie trwało cały wieczór. Możliwe, że skończyliby dużo szybciej, gdyby nie pomysłowość Wandy, która ciągle zmieniała koncepcję wystroju pokoju. Raz uznając, że łóżko nie może być nogami w stronę drzwi, bo tak to się

człowieka w trumnie wynosi, więc ściąga się na siebie wszelkie nieszczęścia. Potem, gdy łóżko wylądowało już w rogu, okazało się, że jest pod półką, a to kolejny wór z apokalipsą...

Przed północą wszystko wreszcie było gotowe. Wanda nawet namówiła mężczyznę na przesadzenie tego nieszczęsnego kwiatka.

Kiedy David odwiózł Wandę i wrócił do domu, usłyszał pochrapywanie dziadka, dochodzące z dawnego salonu. Wszedł i nakrył go kocem, po czym poszedł do siebie. Zestawił karton z łóżka i wsunął się pod kołdrę. Powieki same mu opadały, ale zanim zasnął, zamajaczył znajomy przedmiot. Odpędził sen i podniósł się. Sięgnął do pudełka po reklamówkę, którą dostał od Marty. I wyciągnął z niej coś, co przypominało kartonik, w jakie szanujące się linie lotnicze wsuwają swoje bilety. Otworzył go i już wiedział, jak znajdzie kobietę ze zdjęcia.

Wskazówki zegara powoli zbliżały się do pierwszej. Wiedział, że i tak nie zaśnie, więc sprawdził trasę w nawigacji. Jeśli dobrze to rozegra, powinien wrócić przed trzecią. Wstał, ubrał się i wyszedł w noc, która jakby chcąc mu się przypodobać, oświetlała Princess Road miliardami gwiazd.

Noc

Tym razem wszedł do mieszkania Samantha bez problemu, stwierdzając, że wciąż nosiło ono ten subtelny owocowy zapach. Zaświecił światło i od razu przeszedł do półki

z książkami. Przyglądał się grzbietom, starając się wychwycić wzrokiem coś grubości składanej ulotki z pizzerii. Gdy po kilku minutach wciąż nie miał jej w dłoni, zdecydował się na radykalny krok. Zaczął wyjmować książka po książce i wytrząsać z nich zawartość. Z niektórych wypadały zakładki, z innych jakieś stare paragony albo karteczki. Gdy natrafił na znajomy album ze zdjęciami, wsadził go pod pachę z zamiarem zabrania do Woking. W połowie przedostatniej półki, sięgając po *Analizę techniczną rynków finansowych* Johna Murphy'ego, wreszcie to zauważył. Z zadowoleniem otworzył sztywną, różową kopertę z logo firmy farmaceutycznej i przyjrzał się numerowi wydrukowanemu na specjalnej naklejce.

– Mam cię, kotku – powiedział sam do siebie i schował znalezisko do kieszeni.

Było za późno, by zadzwonić do Summer czy Tinneya i zlecić im zadanie. Dojeżdżając do Woking, uznał, że skoro poświęcił na to polowanie tyle czasu, to przyjemność złapania tajemniczej kobiety zostawi tylko sobie. Wierzył, że instynkt go nie zawiedzie.

ROZDZIAŁ VI

4.01.2014, sobota

Rano

Miał wrażenie, że nie tyle się obudził, ile jakimś cudem dopełznął do rana, które jedyne, co miało mu do zaoferowania, to zeszytwnienie obolałych stawów i suchość w ustach. Podniósł się na łokciach i zerknął na zegarek. Wskazywał nieludzką porę, ale Redfern nie potrzebował ludzi, a jedynie komputera, by dowiedzieć się, kim była tajemnicza kobieta. Wczoraj wpisał w kilku bazach danych czternastocyfrowy numer, jednak bez rezultatu. Kompletnie na tym się nie znał, więc szukał, dopóki nie zmorzył go sen. Wstał, włączył laptop i odnalazł kolejną bazę, która pomagała szukać zaginionych zwierząt. Przepisał kod z dokumentów, ale znów odbił się od ściany.

Popatrzył na ulotkę, którą Marta dostała, chipując Bandita. Na samej górze zobaczył obiecujące cyfry: dwadzieścia cztery łamane na siedem. Bez wahania zadzwonił do kliniki. Po chwili rozmowy z sympatyczną recepcjonistką usłyszał upragnione nazwisko.

– Molly Peterson – szepnął i gorąco podziękował kobiecie za pomoc.

Natychmiast uruchomił policyjną bazę. Nie mógł mieć więcej szczęścia. Z dziwną satysfakcją patrzył na zdjęcie kobiety zrobione na potrzeby policyjnej kartoteki. Została zatrzymana w dwa tysiące dziesiątym za zbyt aktywny udział w paradzie równości Pride London – rzuciła w samochód butelką i uderzyła policjanta. Redfern zerknął na ostatni adres Molly. Petersen mieszkała w Ottershaw, idealnie po drodze do szpitala, do którego i tak się wybierał.

Sięgnął po komórkę, zastanawiając się, czy Marta jeszcze śpi. Rutyna szpitala wciągała pacjentów w swą spiralę dość wcześnie, więc postanowił zaryzykować.

– Przepraszam cię za wczoraj – powiedział, gdy tylko wybrzmiały formułki powitania.

– David, nie przejmuj się. Tutaj nic się nie dzieje, dostaję leki i większość czasu i tak śpię. Nawet dobrze, że nie przyjechałeś – mówiła łagodnym, ale zmęczonym głosem. – Dziś będę miała tomografię głowy, bo cały czas mnie boli. Możliwe, że to przez uraz odcinka szyjnego, ale wolą się upewnić.

– Wiedzą, że mają pod opieką dziewczynę gliny, to się starają.

Balansował na granicy żartu, zaskoczony własną wylewnością. Dotarło do niego, że nawet o Patricii nigdy nie powiedział na głos, że jest jego dziewczyną. Zawsze była partnerką, by gładko przejść w narzeczoną.

– Nie myśl, że angielski szpital to jakiś Hilton. Wykopią cię, nim zdążysz się zorientować.

– Dziewczyna gliny – powiedziała wolno, a Redfern był pewien, że się uśmiecha.

– Przyjadę niedługo – zapewnił.

– Dobrze, przyjedź, ale nie wcześniej niż o piątej, bo nie wiem, kiedy będą robić tę tomografię – poprosiła. – A teraz muszę się zdrzemnąć.

– Jasne, odpoczywaj.

Rozłączył się z poczuciem, że coś zawała. Powinien być blisko, wspierać i otaczać ją opieką. Tymczasem zatapiał się w pracy bardziej niż dotychczas. Myśląc o ostatnich dniach, zdał sobie sprawę, że połowę zadań mógł zlecić Summer albo Chrisowi. A jednak tego nie zrobił, jakby bojąc się utraty kontroli nad rytmem życia, który do tej pory wyznaczała mu wyłącznie służba. Podświadomie czuł, że może działać w ten sposób, dopóki Marta będzie pod opieką lekarzy. Co jednak, kiedy wprowadzi się na Princess Road?

Przytłoczony myślami, poszedł do kuchni i zrobił sobie i dziadkowi śniadanie. Zanim zdążył zalać herbatę, w progu stanął zaspany Bandit. Z wyrzutem spojrzął na pana i ziewnął przeciągle.

– Ty jesteś zmęczony? Ty? – zapytał David z rozbawieniem. – Kto by pomyślał, że mam takiego zarobionego psa.

– A masz. – W kuchni niespodziewanie pojawił się dziadek. Ubrany we flanelową koszulę przeciągnął się i podrapał

siwą głowę. – Pół wieczora siedział pod drzwiami i warczał, odstrasżając lisy.

David spojrział badawczo na szczeniaka, który usadowił się pod stołem. O ile głodne o tej porze roku zwierzęta faktycznie mocniej grasowały po osiedlach Woking, to bardziej prawdopodobne wydało mu się, że Bandit ostrzegał przed czymś zupełnie innym. Nie zamierzał się jednak dzielić tym spostrzeżeniem z dziadkiem. Dokończył przygotowywać śniadanie i zjedli we trójkę, pogrążeni we własnych myślach. Jednak myśli Davida biegły w mrocznym kierunku.

Na komendzie odprawa przebiegła bez żadnych większych niespodzianek. Summer wciąż prześwietlała Sergia, a Tinney Barkerów. Olivia pozostawała nieuchwytna, a śmierć McCabe'a – tajemnicą. Wypełnił zaległe raporty i w południe był gotów do drogi. Wychodząc z komendy, wyrzucał sobie, że nie powiedział o swoim odkryciu, ale zbliżając się do Ottershaw, stwierdził, że najlepiej pracuje mu się samemu.

Południe

Znalezienie numeru siedemdziesiąt sześć na długiej Spinney Hill zajęło mu stanowczo za dużo czasu. Przynajmniej tak to odbierał, gdy po raz trzeci mijał charakterystyczny zielony dom ze złotymi oknami, przypominającymi strzeliste witraże posiekane siatką szprosów. Lejący od rana deszcz też nie ułatwiał poszukiwań, zmniejszając widoczność do kilku

metrów. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegł wciśnięty za wielki żywoplot malutki bungalow. Redfern odniósł wrażenie, że każdy dom w Ottershaw miał swój niepowtarzalny rys. Ten należący do Molly Peterson zdobił zegar na fasadzie ganku.

Otworzyła mu dziewczyna ze zdjęcia, i to dosłownie, ponieważ na jej prawym ramieniu spoczywał szary sfinks.

– W czym mogę pomóc? – zapytała melodyjnym głosem, choć Redfern położyłby na szali triumpha, zakładając się o to, że jeszcze niedawno płakała.

Miała na sobie czarny dres i w tym samym kolorze koszulkę ze wszystkimi postaciami z *Władcy Pierścieni*. Na bosych stopach inspektor zauważył tatuaże. Arabskie wzory wiły się od ściągacza aż po pokryte czerwonym lakierem paznokcie.

– Nazywam się Redfern i jestem...

– Z policji – dokończyła, stawiając kota na ziemię. – Niech pan wejdzie – zaprosiła go smętnym głosem i z równą niechęcią poprowadziła do czegoś, co w normalnym angielskim domu byłoby salonem. Ten jednak w domu Molly Peterson przeobraził się w coś, co Redfern już widział w tym tygodniu – w jedno z pięter Barclays Bank. Różnił je tylko rozmiar, brak światła i panująca w pokoju bardzo wysoka temperatura. Na przepastnym biurku w rogu inspektor zobaczył zestawione ze sobą trzy monitory, a nad nimi telewizor i wyświetlane wiadomości z giełdy. Pod ścianą stały laptopy i podpięte do nich jakieś wybebeszone urządzenia.

– Co to jest? – zapytał zakłopotany własną niewiedzą.

– Koparki – odparła, wzruszając szczupłymi ramionami. Wyciągnęła z bluzy paczkę papierosów i zapaliła jednego, nie zaszczycając inspektora szerszym wyjaśnieniem.

– A co wykopują? – Redfern, czując, jak robi mu się gorąco, ściągnął kurtkę.

– Bitcoiny – powiedziała i wypuściła chmurę dymu, która w otoczeniu monitorów zdawała się świecić na niebiesko. – Takie kryptowaluty – dodała. – Ale pan chyba nie przyszedł sprawdzać mojej kopalni, prawda? Przyszedł mnie pan zapytać, jak zabiłam Samanthę Grant.

– A zabiła pani?

– Tak mi się wydaje – odpowiedziała i usiadła na worku sako, który leżał na środku pokoju. – Niech pan siada. – Wskazała puf pod jednym z biurek.

Redfern wyciągnął go i zajął miejsce, czekając na spowiedź dziewczyny, którą tak trudno było znaleźć.

– Kochałam Samanthę najbardziej na świecie. Była dla mnie wszystkim, rozumiesz? Wszystkim! – Głos jej się załamał, a gdy tylko odzyskała nad nim kontrolę, dodała: – I w tym najważniejszym dla niej momencie nie było mnie przy niej. To ją zabiło. Nie miał jej kto ochronić. Pan tego nie ogarnie swoim normatywnym mózgiem. Co tam miłość dwóch lesbijek, co nie?

– Miłość to miłość, a moim podwładnym jest gej.

– I co? – rzuciła mu rozzłoszczone spojrzenie. – Klepie go pan po ramieniu na znak, jakim fajnym jest chłopakiem i że

pan go toleruje?

– Nie – odparł ostro Redfern. – I nie nazwałbym tego tolerancją. Po prostu Chris jest świetnym facetem, policjantem, człowiekiem. Nie klepię go po ramieniu, bo zwyczajnie uznaję, że to niepotrzebne. Nie wyróżniam go gestami akceptacji czy tolerancji, bo jest takim samym człowiekiem jak każdy. Dla jasności, nie klepię też w ramię koleżanki, że ma męża, albo kolegi, bo ma narzeczoną. Rozumie mnie pani?

– W chuj rozumiem – odpowiedziała i odwróciła się w stronę blatu, na którym stała popielniczka w kształcie liścia marihuany. Molly zadusiła papierosa i spojrzała Redfernowi prosto w oczy. – Ale jesteś wyjątkiem.

– No to może mi opowiesz, jak to się stało, że Samantha zakochała się w Alanie?

– Nie wiem – powiedziała twardo. – Pojechała do tego dziada Barkera i wróciła odmieniona. Może faktycznie Alan mógł się podobać, ale jej zawrócił totalnie w głowie. Zresztą mnie też – wyznała po chwili.

– Widziałem wasze zdjęcia z wakacji – przyznał się Redfern.

– Tak, fajnie było. Najlepiej chyba w domku Samantha w Poole. Przez chwilę trwaliśmy w związku poliamorycznym, ale Alan to spieprzył zaręczynami. Tatuś podobno tak chciał, a ze starym Barkerem to nawet ruscy oligarchowie nie dyskutują.

– Czyli masz motyw – podsumował inspektor.

– Mam. – Pociągnęła nosem i wytarła go w rękaw bluzy.

Pomieszczenie wypełniał tylko szum wiatraków wielu komputerów. Molly przywołała kota po imieniu, które bardzo do niego pasowało. Zwierzątko przybiegło od razu i wpa-kowało się na kolana dziewczyny, wbijając w Redferna spoj-rzenie pełne wyrzutu.

– Mam też alibi – dodała, głaszcząc stalową skórę kota, która marszczyła się pod jej dłonią. – W przeddzień ślubu poleciałam do New Delhi. Nie chciałam być na ślubie.

– Rozumiem – powiedział w zadumie Redfern, nieco roz-czarowany, że mimo wielkich starań znów stał w ślepym zaułku. – Czy cokolwiek wskazywało, że ktoś zagraża tej dwójce?

– Skoro udało ci się mnie znaleźć, to pewnie wiesz już, czym poza programowaniem i szyciem torebek zajmowała się Sam.

– Wiem, ale muszę przyznać, że o ile o działalności Samantha dowiedzieliśmy się dość szybko, o tyle ciebie trudno było namierzyć, umiesz się ukryć.

– Bo o to dbam. Żadnych fejsów czy innych odzierających z prywatności aplikacji. Telefon tylko na kartę. A to właści-wie tylko podstawa bezpieczeństwa – mówiła z namaszcze-niem. – No i na tym bezpieczeństwo się kończy, bo obie z Samanthą lubiłyśmy ostre zabawy.

– W klubie Black Swan na przykład?

– Na przykład.

– W Brooklands też? – zapytał Redfern, mając na myśli śmierć Jasona McCabe’a. Patrzył, jak przez twarz Molly przebiega ciemna smuga niepewności lub zakłopotania.

– Też – potwierdziła, ale nie rozwinęła myśli.

– Co więc stało się z McCabe’em?

– Podduszanie jest fajne, ale podstawowa zasada to nie robić takich rzeczy samemu. McCabe często nie rozumiał, że nie wolno przeginać. Imponował jednak Alanowi. Na moje oko to miało być przedstawienie właśnie dla niego, ale nie dotarł na nie. Jason podwiesił się sam i umarł.

– Tak po prostu?

– Nie, z fajerwerkami – zakpiła. – Nie wystarczy, że umarł? – zapytała i zapaliła kolejnego papierosa.

– A co wiesz o Olivii Shawn? – Redfern spróbował szczęścia, mając nikłą nadzieję na trafienie.

– Przyjaciółka Samantha od najmłodszych lat. Poczciwina, heteryczka, ale ogólnie fajna babeczka – wymieniała beznamiętnie Molly.

– To ona przywiozła ci kota?

– Bystry glina, nie ma co. – Zaciągnęła się mocno.

– Dlaczego zatem się ukrywa? Jaki ma związek ze śmiercią Samantha i Alana?

– Może żaden? Nie wiem, do cholery! – krzyknęła niespodziewanie, a kot zeskoczył z jej kolan. – Jedyne, co wiem, to że moja Sam nie żyje, a ty zadajesz mi szereg pytań z dupy. Nie znajdziesz mordercy, siedząc tu ze mną i popijając herbatkę.

– Jak się z tobą skontaktowała? Dlaczego pojechała do mieszkania Samantha? Skąd miała klucze? – Redfern bombardował ją pytaniami coraz bardziej poirytowany.

– Zadzwoń do mnie zaraz, jak się okazało, że Sam nie żyje. Wsiadłam w pierwszy samolot z New Delhi, bo co w sumie mogłam zrobić? Jechać do jej rodziców i powiedzieć, że mi przykro? Byłam i jestem nikim. Sam nie przedstawiła mnie swoim starym, bo niby jak? Przyjechałam więc tutaj, a ta pocziwina przywiozła mi Armoura. Płakałyśmy pół nocy. Olivia wyznała mi, że zna straszną tajemnicę Samantha i że się boi. Kazałam jej wypłacić kasę i zniknąć. Pojawi się, gdy skończą się pieniądze.

– Wypłaciła tysiąc funtów – zasugerował Redfern.

– W tym chorym kraju to drobniaki – rzuciła ze złością. – Olivia zaraz się znajdzie, zobaczysz.

– Chcę jeszcze chwilę porozmawiać o Samancie.

– A ja nie – bąknęła i znów się zaciągnęła papierosem, który wykorzystał nieuwagę właścicielki i spalił się prawie do ustnika.

– Obawiam się, że nie masz wyjścia.

– Samantha była wspaniałą kobietą, kochała ludzi, miała swoje ideały, czasem śmieszne, ale była im wierna. Ja byłam tą niedobrą, a Sam... mnie uzupełniała. Czasem odnosiłam wrażenie, że miałyśmy jedną duszę.

– Poznałyście się na studiach, prawda? – zapytał Redfern, a gdy uzyskał potwierdzenie, kontynuował: – Jak układało jej się w pracy?

– I w jednej, i w drugiej całkiem dobrze. Była cholernie inteligentna, szefowie ją doceniali. Swoje hobby przekuła w niezłe pieniądze. Często jej zresztą pomagałam, gdy miała dużo pracy – mówiła, zagłębiając się we wspomnieniach.

– Co zatem się stało, że dwoje młodych ludzi leży w kostnicy? – Inspektor tracił cierpliwość.

– Nie wiem! – wrzasnęła. – Myślisz, że siedziałabym sobie spokojnie, gdybym wiedziała? Ubiłabym skurwysyna gołymi rękami! Ale nie wiem, gdzie go szukać. Ktokolwiek przychodzi mi do głowy, to albo ma alibi, albo nie miał powodów, by zabijać moją małą Sam!

Redfern wstał, uznając, że niczego więcej się nie dowie od roztrzęsionej dziewczyny. Nakazał jej nie ruszać się z Ottershaw i odezwać, jeśli coś skojarzy. Ze zdziwieniem wyszedł przez drzwi, za którymi czekał na niego zmrok. Nie nawidził zimy, tak jak nienawidził trafić do ślepego zaułka.

Wszedł do komendy i w kilka minut zebrał ludzi w konferencyjnej. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma wśród nich Tinneya. Zanotował w pamięci, żeby zaraz po zebraniu do niego zadzwonić. Gdy głosy w sali ucichły, przedstawił im pokrótce, co udało mu się ustalić do tej pory.

– Czyli znalazłeś kobietę ze zdjęcia, a ta okazała się partnerką naszej ofiary? – podsumowała Summer.

Redfern zauważył, że już nie ucieka przed nim wzrokiem, a raczej rzuca mu wyzwanie, patrząc w oczy. Wiedział, że

czeka ich kolejna trudna rozmowa.

– Mniej więcej. Podsumowując, relacje tego towarzystwa są poplątane jak zjazd z M25.

– Żebyśmy dobrze zrozumieli – wszedł mu w słowo McMahan. – Alan spotykał się z Jasonem McCabe’em, ale został wysadzony z siodła przez Sergia Storka. Na pocieszenie McCabe dostaje dobrą fuchę w muzeum, a Sergio – ochłap. Jason wiesz się podczas zabawy i żadne z nich nie ma z tym problemu? Przecież to śmierdzi na kilometr.

– Wiem, dlatego trzeba się temu mocniej przyjrzeć – odparł Redfern, czując, że McMahan próbuje go na czymś przyłapać. – Zamierzam dokładnie prześwietlić Molly Peterson, bo mam wrażenie, że ona wie najwięcej o całej tej paczce.

– A jesteś pewien, że ta Peterson naprawdę była partnerką Samantha? – dopytał Greg. – Może tu chodzi o coś zupełnie innego?

Redfern doskonale wiedział, z czego wynikało to pytanie. McMahan nie mógł się pogodzić z faktem, że jego ukochana chrześnica nie była grzeczną, ułożoną dziewczynką, jaką pamiętał zapewne z uroczystości rodzinnych. Inspektor dziwił się, jak to jest, że mimo deklaracji nierozzerwalności więzi rodzinne napinają się i rwą z tak błahych powodów jak wybór partnera. Ten sam McMahan, który ożenił się trzykrotnie, zostawiając za sobą zgłiszcza dwóch poprzednich rodzin, wstydził się, że jego chrześnica tworzyła szczęśliwy związek z inną kobietą.

– Tak, były partnerkami, ale zupełnie niespodziewanie pojawił się Alan, którego Samantha jakimś cudem poznała w Hatchlands – odparł Redfern. – Moim zdaniem na przecięciu tych wszystkich postaci stoi Herman Barker. Tinney miał wygrzebać szczegóły na jego temat, ale, niestety, nie ma go z nami – skwitował z lekkim wyrzutem.

Spojrzał na Summer, która rozłożyła bezradnie ręce, po czym wskazała na komórkę, dając znać, że Tinney nie odbiera telefonów.

– A może jednak chodzi o tę Olivię Shawn? Skoro wszyscy w tej sprawie mają brudne ręce, to może ona też? – zasugerował jeden z policjantów. – Nie ukrywałyby się bez powodu.

– Nie wykluczam tego – odpowiedział Redfern, choć miał przeczucie, że Olivia była tylko przypadkowym obserwatorem zdarzeń. Nie wolno mu jednak było zignorować faktu, że mogła widzieć coś, co doprowadzi ich do morderców.

– Wiemy, że mamy dwóch sprawców i dwa złamane serca – zaczęła Summer. – To wystarczający motyw, by zabić. Uważam, że trzeba cisnąć Molly i Sergia. Może się dogadali.

– Oboje mają alibi – podkreślił Redfern. – I nie dali sobie go nawzajem. Sergio szykował przyjęcie, a Molly leciała do Maskatu – dodał, uprzedzając pytania.

– Zostaje nam jeszcze rodzeństwo Jasona McCabe'a – podsunął Johanes. – Już podczas prowadzenia tamtej sprawy średnio mi się podobali. Poza tym to trojaczki, małe wyglądają słodko, ale jako dorośli kojarzą mi się tylko z horrorem.

– *Wioska przeklętych* – szepnął ktoś z sali tytuł filmu. – Kolor włosów by się zgadzał.

– Dajcie spokój! – Summer była nie w humorze. – Jeśli McCabe’owie przyjęli, że za śmiercią ich brata stał Alan, co wcale nie jest takie nieprawdopodobne, to mogli chcieć się zemścić.

– Nie jestem przekonany, ale na wszelki wypadek sprawdzmy ich alibi – zarządził Redfern, zły na siebie, że nie zrobił tego wcześniej. Za bardzo skupił się na poszukiwaniach Molly Peterson. – Dobra, nie zatrzymuję was.

Podszedł do drzwi i wypuścił wszystkich, dziękując za spotkanie i życząc udanego weekendu tym, którzy mieli wolny. Kiedy mijała go Summer, poczuł, jak jej dłoń prześlizguje się po jego dłoni. Wzdrygnął się i odsunął, nie rozumiejąc tego, co się stało. Zamknął drzwi, zastanawiając się, czy nie powinien przekręcić zamka. Z niezręcznej decyzji wybawił go Tinney, wpadając do konferencyjnej.

– Chyba namierzyłem Olivie Shawn! – zaczął podekscytowanym głosem. – To znaczy, wiem, jak ją znaleźć, ale musisz przydzielić mi człowieka. Coś mnie tknęło i zadzwoniłem do Westfield, ale tam mi powiedzieli, że nie będą ze mną gadać, bo tajemnica lekarska i inne bzdury...

– Czekaaj, Puszka, wolniej – uspokajał go Redfern i usiadł przy stole. – Jakie Westfield?

– Przychodnia w Westfield, do której zapisana jest Olivia. – Chris przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko inspektora. – Dowiedziałem się od jej szefowej, że jest astmatyczką

i ma uczulenie prawie na wszystko, stale przyjmuje leki. Co jakiś czas musi prosić lekarza o wystawienie recepty. Kiedy powiedziałeś o tym kocie, to pomyślałem, że dla takiego alergika to cios między oczy.

– Sfinksy chyba nie uczulają? – Redfern podał w wątpliwość chwiejną tezę policjanta.

– Uczulają jak diabli! Bo chodzi o enzym w ślinie, a nie o samą sierść. Zanim uległem prośbom siostrzenic, to zrobiłem doktorat z sierściuchów.

– Dobra, do brzegu!

– No więc coś mnie tknęło, taka jakaś intuicja, i trochę podzwoniłem. W przychodni to mi nic nie chcieli powiedzieć, bo wiesz, tajemnica spowiedzi i takie tam – ekscytował się własnym geniuszem Puszka. – No więc pojechałem do apteki Lloydsa w Kingfield, która ma podpisaną umowę z przychodnią. Wiem, bo siostra kupowała tam leki dla dziewczynek.

– Puszka, proszę cię, skróć moje męki – złościł się Redfern, nie mogąc się doczekać finału tej opowieści.

– No więc zagrałem koncertową rolę brata, który dopytuje, czy jest już recepta biednej siostry. No i ta recepta tam jest! Lek czeka w lodówce na odbiór. Jutro jest nieczynne, a dziś tylko do siedemnastej, więc Olivia musi się niedługo tam pojawić!

– Więc dlaczego siedzisz tu ze mną, zamiast czatować w aptece? – zapytał Redfern, w którego głowie mieszały się podziw i złość na policjanta.

– No bo Summer zadzwoniła, że się zbieramy, więc przy aptece postawiłem chłopaka z Neighbourhood Watch, znam go jeszcze z czasów, kiedy tam służyłem. No, a potem utknałem w absurdalnym korku na wysokości Constitution Hill i komórka mi się rozładowała. Stwierdziłem więc, że najłatwiej już będzie dojechać tutaj. Musisz tylko zatrzymać tam Bernarda, bo on potrzebuje mieć polecenie od kogoś z góry.

– Dobra, Puszka, ucałuję cię później. Dzwonię do przełożonego tego Bernarda i ogarniemy. Ty łap ładowarkę i lecimy do Kingfield. Miejmy nadzieję, że Olivia się stawi.

Stojąc na Kingfield Road, Redfern obserwował, jak dzielnicę Woking powoli przejmuje druga zmiana. Z chodników powoli znikwały matki z dziećmi i staruszkowie z małymi koślawymi pieskami, a pojawiali się panowie zmierzający do Kingfield Arms. Stary pub kusił przytulnym wnętrzem i niezłym piwem. Ku rozczarowaniu inspektora apteka Lloyds również szykowała się do weekendu. Za kwadrans piąta wciąż widział tylko amatorów piwa i tanich przekąsek. Jedna z aptekarek zaciągnęła do jednej trzeciej wysokości kratę nad drzwiami, dając znać reszcie świata, że jest gotowa zamknąć w każdej chwili.

Nagle pod pobliskim sklepem Sainsbury's Redfern zauważył biegnącą drobną postać. Minęła go, nie zwracając na niego uwagi. Kaptur bluzy zasłaniał jej twarz, ale inspektor wiedział, że to Olivia Shawn. Poczekał chwilę, aż kobieta zniknie we wnętrzu apteki, i ruszył za nią. Wspiął się po trzech stopniach i wszedł do apteki, po czym stanął przy jed-

nym z regałów, udając, że przygląda się witaminom dla dzieci. Kobieta podeszła do lady i poprosiła o leki na jej nazwisko. Inspektor chciał poczekać, aż lekarstwa znajdą się w torebce kobiety, bo bez nich przesłuchanie w ogóle może się nie odbyć.

Aptekarka niepewnie zerknęła na Redferna, po czym poprosiła klientkę o dowód tożsamości i kartę uprawniającą do odebrania darmowych leków. Kiedy kobieta odwróciła się i chciała wyjść, Redfern zastąpił jej drogę.

– Olivia Shawn? Chciałbym zadać pani kilka pytań.

Wieczór

Inspektor nie widział potrzeby prowadzenia Olivii Shawn do sali przesłuchań. Nie była podejrzana ani oskarżona, za to przerażona, zmarznięta i chora. zaproponował ciepłą herbatę, którą przyjęła z wdzięcznością. Siedzieli w jego gabinecie. Redfern czekał, aż się uspokoi. Drobna, dziewczęcą twarz okalały półdługie włosy w kolorze miodu, spod których patrzyły na niego niemal turkusowe oczy.

– Proszę opowiedzieć, co się stało – zachęcił ją łagodnie.

– Kiedy dowiedziałam się, że Samantha nie żyje, spanikowałam – wyznała na granicy płaczu i włożyła do ust inhalator. Nacisnęła go i wzięła głęboki wdech.

– Wiem, że pani spanikowała, tylko nie rozumiem dlaczego.

– Bo to już się kiedyś zdarzyło – szepnęła. – Zginął kolega Alana, Jason. Wydawało mi się, że będę następną.

– Dlaczego?

– Bo ja...

– Spotykała się pani z Jasonem, prawda? To pani jest tą dziewczyną, którą ukrywał przed rodziną.

Olivia pokiwała głową i wzięła łyk herbaty. Tańcząca nad kubkiem para lekko otoczyła jej twarz srebrnym woalem. Redfern pomyślał, że wcale się nie dziwi Jasonowi, że dla niej zrezygnował z męskiego świata.

– Myślę, że oni wszyscy zginęli przez tę dziewczynę z klubu – powiedziała nagle. – Nikt jej w sumie nie pomógł, ale każdy był nietrzeźwy, myśleli, że ona udaje...

– Mówi pani o gwałcie w klubie? Była tam pani?

– Tak, ale nie widziałam zdarzenia. Nie chciałam brać w tym udziału, zresztą Jason chyba też. Ale niedługo potem zginął, teraz Samantha i Alan, więc do pary jestem ja.

Redfern chciał jej powiedzieć, że nieco poniosła ją wyobraźnia, ale uznał, że nie każdy na świecie jest detektywem, żeby właściwie łączyć wątki. Natomiast każdy, wokół kogo zdarzają się trzy morderstwa, ma prawo spanikować.

– Spotkaliśmy się już – oznajmił z lekkim rozbawieniem.

– Sprytnie to pani rozegrała z tą wizytówką – pochwalił ją, sprawiając, że załżała się rumieńcem. – Chciałbym wiedzieć, po co była pani drugi raz w mieszkaniu Samantha Grant?

– Miałam się tam spotkać z Molly Peterson, ale gdy spotkałam pana, stwierdziłam, że zawiozę jej kota do Ottershaw.

– Czy oprócz sfinksa coś pani wyniosła z mieszkania Samantha? Przypominam, że nie jest pani o nic oskarżona, ale to może się zmienić, jeśli pani skłamię. – Ostatnie trzy słowa wypowiedział bardzo powoli.

– Nie, zabrałam tylko Armoura.

– Świadek twierdzi, że niosła pani jakieś pudełko. – Redfern był nieprzekonany.

– Tak, kuwetę i karton z kotem – odparła hardo. – Niech pan na mnie tak nie patrzy, zrobiłam mu dziury do oddychania – dodała, broniąc się. – Nawet z nim spałam w hotelu, bo nie chciałam, żeby kolejną noc był sam. W domu Samantha nie mogłam zostać z wiadomych powodów. Myślałam, że się wykończę z tym łysolem w jednym pokoju.

– Chciałbym, żeby pani zaczęła od początku – poprosił, przerywając jej. – Jak wyglądała pani przyjaźń z Samantha i tak dalej. Może w pani opowieści znajdę uzupełnienie swojej.

– Przyjaźniłyśmy się od przedszkola, właściwie zawsze byłyśmy razem, zupełnie jak siostry. Sam była dużo bardziej rozrywkowa, choć podobno ja uchodziłam za tę ładniejszą. – Skrzywiła się z niechęcią. – Potem Samantha poszła na studia i naprawdę świetnie sobie radziła, a mnie nie było stać na edukację, więc zostałam przedszkolanką. Brakowało mi jednak Sam – wyznała Olivia i znów się napiła. – Kiedy Samantha ponownie stanęła w moich progach, była świetnie zarabiającą programistką, wyzwoloną spod buta rodziców dziewczyną i... miała partnerkę.

– Molly Peterson?

– Tak – odparła jakby z wyrzutem. – Odnosiłam wrażenie, że Molly podporządkowuje sobie cały świat. Bardzo silna osobowość, ale też dobra babka. Wciągnęły mnie w imprezy, spotkania z ludźmi. Naprawdę świetnie się bawiłam.

– Wtedy pojawił się Jason?

– Tak, cała ta dziwna grupa ludzi z Black Swan. Sam ich znała, bo robiła dla nich te wszystkie gadżety.

– Sekundę – przerwał jej. – A zatem Samantha poznała Alana w Black Swan, a nie u niego w domu?

– To niezupełnie tak – odparła. – Znali się z widzenia, ale tak naprawdę zaiskrzyło między nimi, jak Sam pojechała do jego ojca, do Hatchlands. Potem zrobili z tego bajeczkę dla rodziców i reszty.

– Wie pani, po co tam pojechała?

– Nie, Samantha nigdy nikomu nie powiedziała. To było jakoś już po śmierci Jasona. – Zamyśliła się smutno. – Przyznam, że ich miłość była dla nas jakimś takim pocieszeniem.

– Chyba nie dla wszystkich, bo z tego, co wiem, to Alan dla Samantha zostawił Sergia.

– Sergio to ten typ, co skacze z kwiatka na kwiatek. – Uśmiechała się po raz pierwszy tego wieczora. – Wybuchowy i kochliwy jak Włoch. Poza bigamią o nic bym go nie podejrzewała.

– Muszę panią o to zapytać, bo skoro była pani dziewczyną Jasona, to proszę mi powiedzieć, co on robił w nocy w concordzie?

– Wszyscy chcielibyśmy to wiedzieć – odparła i wydmuchała czerwony od kataru nos. – Jason często balansował na granicy. Wie pan, czasem sobie wyrzucałam, że nie dawałam mu tego, czego naprawdę pragnął. Dlatego pojechał wtedy do Brooklands. Żeby zrekompensować sobie braki adrenaliny. Chciał się zabawić i... sam pan wie – urwała, jakby brakło jej sił na dokończenie zdania.

– I nie zastanawiało panią, z kim się wtedy spotkał? – dociekał, zaintrygowany nagłą zmianą narracji ze strachu przed pogodzeniem się ze stratą. – Kto zwabił go w śmiertelną pułapkę? Zastanawiała się pani nad tym?

– Myśli pan, że nie?! – zaatakowała. – Jason miał przed wszystkimi tajemnice. Może tylko Alanowi mówił o wszystkim, resztę trzymał na dystans.

– A Alan i Samantha? Dlaczego pojechali na parking galerii handlowej na parę godzin przed ślubem?

Olivia odstawiła kubek i opatulila się szczelniej bluzą. Redfern widział, że drżała, a jej policzki płonęły żywym ogniem. Pomyślał, że nawet jeśli on jej nie zatrzyma w Woking, to zrobi to grypa. Kobieta spojrzała zamglonymi gorączką oczami i powiedziała po chwili:

– Podejrzewam, że po prostu chcieli побыć sami, a że Samantha była sentymentalna, to Alan zabrał ją w miejsce niezwykłych zaręczyn. W sumie to Jason załatwił, że wyłączono wtedy ostatnie piętro parkingu, świetna akcja. – Olivia uśmiechnęła się blado, jakby wspomnienie tamtych dni

przynosiło jej ulgę. – Wcale się nie dziwię, że chcieli to powspominać.

– Ktoś jednak musiał wiedzieć, że tam są. Pytanie tylko kto?

– Sam dzwoniła do mnie tego ranka od rodziców. Mówiła, że Alan pokłócił się z rodziną o to wcześniejsze wyjście, więc w sumie wiedział Will i państwo Barker. Chyba nikt inny. Ja byłam wtedy na sali z Sergiem i szykowaliśmy niespodzianki dla młodej pary, Molly dzień wcześniej wyleciała do Maskatu.

Redfern się zamyślił. Czy Will próbował odciągnąć uwagę od siebie, dając im komputer Alana? Razem imprezowali, razem stawiali opór reżimowi ojca. Czy ta opowieść o dobrym charakterze dyrektora muzeum to kolejna zamglona prawda? Inspektor nie znajdował motywu, dla którego młody Barker mógłby się zamachnąć na życie brata, ale historia znała już przypadki bratobójstwa z najbardziej błahych powodów.

Wrócił do domu zmarznięty i obolały, czując, że Olivia Shawn sprzedała mu nie tylko jakieś kłamstwo, ale i zestaw zarazków, które teraz pogrywały sobie z jego odpornością. Pomiął kolację. Wziął za to długi, gorący prysznic, po czym rozgrzany położył się do łóżka i przeglądał notatki, które robił przez ostatnich sześć dni. Wodził wzrokiem od wykrzykników do kółek i podkreśleń, starając się w tym gąszczu odnaleźć jakiś wzór. Patrzył na imiona, nazwy samo-

lotów, wydarzenia i miejsca, ale za nic nie chciały się one złożyć w logiczną całość.

Wiedział, że Samantha, Alan, Olivia, Molly, Sergio i Will byli uwikłani w jakąś chorą grę, której reguły wyznaczała wyłącznie żądza. To ona doprowadziła do wszystkich nie-szczęść – zabiła Jasona, a potem wyciągnęła swoją włochatą rękę po narzeczonych. Krąg wtajemniczonych był ciasny i duszny, ale na zewnątrz otoczony strażnikami moralności: Barkerami, Grantami i McCabe'ami, którzy z zawiązanymi oczami wydawali wyroki. Czy któryś z nich pchnął kogoś do morderstwa? Wreszcie Brooklands, Black Swan Club i Barclays. Każde z tych miejsc zazdrośnie strzegło swoich tajemnic, otaczając się ostrokołem blichtru i niedostępnego luksusu. Musiał się przez niego przedrzeć za wszelką cenę.

Nagle jego rozmyślania przerwał dzwonek komórki. Choć do głębokiej nocy było jeszcze daleko, Redfern uznał, że telefon o tej porze może zwiastować tylko kłopoty.

– Przepraszam, że niepokoję o tej godzinie. – Usłyszał w słuchawce znajomy głos, dziwiąc się, że komórka nie rozpoznała numeru.

– Nie ma sprawy, panie Bentley – odparł Redfern. – Co tam z moim triumphem?

– Powiem tak... – Graham zrobił teatralną pauzę. – Nie będzie pan zadowolony. Pomijam już fakt, że przydałaby się mu porządna konserwacja, ale silnik jest tak spocony, że nie ma ratunku. Rozebrałem, a tam dramat, popychacze pożałuj się Boże, krzywka...

- Dobrze, już dobrze. Ile to będzie kosztować?

- Nowy silnik - odparł na mocnym wydechu, po czym dodał: - Dzwoniłem w parę miejsc i kumpel w Doncaster może mieć takie serducho od ręki. I tak miałem do niego w przyszłym tygodniu jechać. Muszę tylko wiedzieć, czy mam brać duże auto, czy też nie.

- Niech mi się pan da zastanowić, dobrze? - poprosił Redfern.

Znał te sztuczki mechaników. Najczęściej ujawniały się przy przeglądzie. Właściciel garażu dzwonił z przejęciem, że przegląd, owszem, podbije, ale jest dużo rzeczy do pilnej wymiany i on to może zrobić teraz za niezłe pieniądze, ale decyzję trzeba podjąć w tym momencie. Nie podejrzewał Grahama Bentleya o takie praktyki, bo znał go od momentu przeprowadzki do Surrey, ale wydanie tak dużej kwoty wymagało przemyślenia.

Obiecał skontaktować się z mechanikiem możliwie szybko, podziękował za troskę i rozłączył się. Opadł ciężko na poduszkę i westchnął:

- Co jeszcze?

ROZDZIAŁ VII

5.01.2014, niedziela

Rano

Kiedy zjedli to, co Bohdan uszykował im na śniadanie i skrzętnie zapakował w mnóstwo pudełek, usiedli przy stole pod oknem sali szpitalnej. David był zły, że zaspał i stracił cenne godziny, które mógł spędzić z Martą i zapomnieć o całym świecie. Z drugiej strony podziębiony organizm potrzebował regeneracji, skoro zignorował nastawiony na siódmą budzik, ale odwdzieczył się dobrym samopoczuciem. David patrzył na dziewczynę, która przed nim siedziała, i pomyślał, że dobry nastrój zawdzięcza przede wszystkim jej.

Marta w koszuli nocnej od pani Wandy prezentowała się jak postać z powieści Jane Austin. David podzielił się z nią tą myślą i obiecał, że przywiezie jej coś z dwudziestego pierwszego wieku.

– Zrobili tę tomografię? – zapytał, gdy Marta przestała się śmiać.

– Tak, zrobili, ale wiesz, jak tu jest. Wszystko toczy się swoim rytmem. Najpewniej jutro wszystkiego się dowiem. –

Spojrzała w okno, za którym rozciągała się poszarpana linia lasu.

– Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać – zaczął David.

– O przeprowadzce do was, prawda? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, powiedziała: – Dawid, zrozum, mam mętlik w głowie. W Polsce jest całe moje życie, mieszkanie, znajomi. Dzwoniłam do pracy, oni tam na mnie czekają, a ja... chcę wrócić.

– Ale chyba jeszcze nie teraz? Musisz dojść do siebie. – David słyszał swój nienaturalnie cienki głos.

– Im szybciej wrócę do domu, tym szybciej to nastąpi – odparła matowym tonem.

Choć całym sobą chciał wierzyć, że Marta z nim zostanie, spodziewał się takiej odpowiedzi. Nawet gdyby zaproponował jej wyprawę do Hammersmith, do mieszkania jego matki, niczego by to nie zmieniło, bo to wciąż była Anglia. Ta Anglia, która najpierw pozbawiła życia jej rodziców, a potem złamała jej własne.

– Chcę być jak najdalej stąd i... zapomnieć – dodała cicho.

Zielone oczy zaszklily się. Redfern patrzył, jak po policzku spływa pierwsza łza. Przysunął się do Marty i przytulił ją. Nic więcej nie mógł zrobić.

Piskliwy dzwonek telefonu rozerwał szpitalną ciszę, gdy Redfern zbliżał się do wyjścia. Sierżantka Summer Winter nie

mogła znaleźć gorszego momentu na rozmowę. Niechętnie nacisnął zieloną słuchawkę i przyłożył aparat do ucha.

– Słuchaj, chyba na coś wpadłam – rozpoczęła bezcere-
monialnie. – Pamiętasz, jak Rose Grant mówiła o zamknię-
tym ostatnim piętrze parkingu, a Barker zachnął się, że on
nic o tym nie wie?

– No pamiętam. Wiem też, że to Jason zorganizował całą
tę akcję. – Przywołał w pamięci zeznanie Olivii Shawn.

– Nieprzypadkowo akurat on – oświadczyła. – Wiesz, kto
mu w tym pomógł? Thomas McCabe, czyli szef ochrony
budynku. Zamknął piętro, postawił znak i dopilnował, by
zaręczyny się udały.

– Myślisz, że McCabe ominął jakoś skromny monitoring
i zamordował naszych narzeczonych?

– Możliwe, że zabrał ze sobą siostrę – dopowiedziała chy-
trze Summer.

– Cholera, to może mieć sens. – Redfern zamyślił się na
chwilę.

Ważył w głowie różne scenariusze, ale ten, który niespo-
dziewanie pojawił się przed nim, wydawał się bardzo praw-
dopodobny. McCabe'owie mieli motyw, sposobność i sprzy-
jające okoliczności. Jednak inspektorowi brakowało jednej
informacji, skąd rodzeństwo wiedziało, że młodzi pojedą
tego dnia na parking? Mógł się o tym przekonać tylko
w jeden sposób.

– Dobra, zwijajcie ich. Będę na bazie za kwadrans.

Wyszedł z budynku i pobiegł do samochodu, o mały włos nie potracając jakiegoś mężczyzny, który zgodnie z angielskim obyczajem natychmiast przeprosił Redferna. Inspektor odwzajemnił przeprosiny, po czym wsiadł do citroëna i odjechał z piskiem opon.

Południe

Droga na komendę zajęła mu więcej, niż przypuszczał, ale i tak Winter jeszcze nie zgłosiła, że jest z McCabe'ami na miejscu. Siedział więc w swoim pokoju i przeglądał mapkę, którą zabrał z Brooklands Museum. Bezmyślnie patrzył na szkice samolotów i budynków, obiecując sobie, że niebawem je odwiedzi, by przyjrzeć się uważnie każdemu z nich. Poza concorde'em zaintrygował go sułtan, o którym tyle mówił kustosz. Chciał też zobaczyć słynnego napiera i zajrzeć do sławnego Clubhouse. Wiedział, że powinien skupić się na układaniu planu przesłuchania w głowie, ale najzwyczajniej w świecie potrzebował ją oczyścić. Czuł ulgę na myśl, że za chwilę rozwiąże sprawę i wreszcie będzie mógł zająć się tym, co tak bardzo zaniedbywał.

Leżąca na blacie komórka oznajmiła nadejście wiadomości. Inspektor znał jej treść – rodzeństwo czekało na przesłuchanie. Redfern postanowił, że zacznie od Thomasa.

Wszedł do pokoju przesłuchań i zamknął za sobą drzwi, jednocześnie odsyłając policjanta pilnującego podejrzanego.

Pomieszczenie bez okien zalewało sztuczne, drażniące światło, jakby było elementem jakiejś socjotechniki.

– Wszystko mi zabrali – pożałił się niespodziewanie McCabe. – Nawet komórkę służbową, a przecież muszę być pod telefonem, na wypadek gdyby coś się zadziało w galerii. Jestem tam za wszystko odpowiedzialny – trajkotał, jakby chciał działać na czas.

– Panie McCabe – rozpoczął Redfern, siadając przy stole naprzeciwko mężczyzny. – Czy to pan zorganizował zaręczyny Alana i Samantha na ostatnim piętrze lub jak kto woli, na dachu galerii handlowej Peacock Centre?

– Tak, na prośbę mojego brata, Jasona, umożliwiłem zamknięcie części obiektu – odparł w podobnym, oficjalnym tonie. – Wykorzystałem też przejścia służbowe w tym celu.

– Wspaniale. – Redfern klasnął w dłonie. – Tylko że to nieprawda. – Wbił w mężczyznę spojrzenie. – Bo Jason już wtedy nie żył.

– A właśnie że prawda! – warknął Thomas. – Tyle że to Jason miał się oświadczyć, a nie Alan. I to dużo wcześniej. Dlatego uważam, że sam się nie zabił. Był z kimś szczęśliwy.

– Z kim?

– Nie wiem! – wrzasnął McCabe, trzęsąc się.

– Dwa miesiące po jego śmierci Alan i Samantha się zaręczyli. – Redfern otworzył nową dyskusję.

– Tak – odparł. – Nie uważa pan, że to okrutne? – zapytał smutno, po czym przez jego twarz przeszedł grymas pogardy. – Całe to towarzystwo było zepsute do szpiku kości.

Nastawione wyłącznie na to, by brać. Nie mieli na tyle przyzwyczajenia, by odczekać choć pół roku.

– Mimo to zgodził się pan na zorganizowanie tych zaręczyn.

– Mam miękkie serce, inspektorze. Sam nie miałem szczęścia w miłości, ale nigdy nie stanąłbym na drodze do czyjegoś. Myślę, że Jason by się ucieszył, że jego przyjaciel jest szczęśliwy. Tak do tego wtedy podszedłem i pomogłem Alanowi.

– Powiedział pan wszystkim, że to Jason poprosił o zamknięcie dachu, a ludzie nie skojarzyli, że Samantha i Alan zakochali się w sobie już po jego śmierci, a sama prośba musiała paść dużo wcześniej. Zbiorowa halucynacja – Redfern zawiesił głos, przypominając sobie najsłynniejszą z nich, czyli efekt Mandeli.

Kiedy zapytano przypadkowych ludzi, kiedy zmarł prezydent RPA, wszyscy pamiętali, że zmarł w więzieniu w latach osiemdziesiątych. Tymczasem polityk odszedł na początku grudnia dwa tysiące trzynastego. Podobna rzecz zadziałała się z logo gry monopolu – wszyscy wiedzą, że starszy pan ma monokl, tymczasem nigdy czegoś takiego nie nosił. Redferna nie zdziwiło więc, że przyjęto uproszczoną wersję wydarzeń na dachu Peacock Centre.

– Co nie zmienia faktu – ciągnął inspektor – że wykorzystał pan numer z dachem do zabicia narzeczonych kilka lat później.

– Nie, nie zabiłem ich! – krzyknął.

– Skąd pan wiedział, że tam przyjadą? – Redfern poczuł na twarzy drobinki śliny Thomasa. Przetarł dyskretnie policzek, czekając na odpowiedź, która miała wyjaśnić wszystko.

– Nie wiedziałem, nie było mnie tam! – Thomas był na skraju załamania. Białe włosy opadły mu na mokre od potu czoło, a wydatna szczeka raz za razem zaciskała się, prezentując mięśnie twarzy.

– A pana siostra? Też jej tam nie było? – Inspektor wyprowadził kolejny cios.

– Oboje spędzaliśmy niedzielny ranek w ogrodzie. Robimy tak od lat – zapewniał gorliwie, ale rozedrgany głos zdawał się temu przeczyć, jakby na złość właścicielowi.

– Ale przyzna pan, że to marne alibi?

– Innego nie mam – powiedział cicho i pochylił głowę, chowając ją w ramionach.

– To proszę znaleźć, bo jak na razie nie usłyszałem nic, co by panu pomogło – powiedział szorstko Redfern i wstał.

Wychodząc, zerknął na załamane go mężczyznę. Podświadomie czuł, że nie ma do czynienia z mordercą. Wiedział natomiast, że usłyszał w tej sali coś, co na niego wskazywało. Nie potrafił jednak określić, co to jest.

Na korytarzu zderzył się z Summer, która szła od strony drugiego pokoju przesłuchań.

– Kate McCabe nie ma alibi – rzuciła krótko, nie patrząc na Redferna.

– Przedpołudnie spędzili razem – dopowiedział inspektor. – Potrzymajmy ich jeszcze z godzinę i zamienimy się

podejrzanymi – zaproponował.

– Dobra – zgodziła się chętnie. – Idę do kantyny na kawę. Idziesz? – zaproponowała, przystając.

– Nie, dzięki. Muszę zajrzeć do siebie i popracować nad papierami.

– To może ci coś przynieść?

– Naprawdę nie trzeba – odrzekł uprzejmie, obserwując, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale na korytarzu pojawił się Knight.

– Dave, masz chwilę?

– Dla ciebie zawsze – zażartował Redfern, odczuwając niewyobrażalną ulgę, że Malcolm niechcący wybawił go od nieprzyjemnej z pewnością rozmowy z Summer.

Weszli do gabinetu. Niepokój inspektora wzbudził fakt, że komendant nie usiadł, tylko oparł się tyłkiem o biurko i skrzyżował ręce na piersi.

– Rozmawiałem z kumplem z Guildford – powiedział nieco zbyt zimnym tonem. – Mają na tapecie morderstwo.

– To moja stara komenda. Jak mogę pomóc?

– Wyjaśniając mi to – Knight odwrócił się w stronę blatu i zgarnął z niego jakiś papier, po czym podał zdezorientowanemu Redfernowi.

Inspektor przejrzał wydrukowaną na nim tabelę pełną rzędów cyfr i symboli, natrafiając szybko na niebieskie kółko zrobione wokół jego numeru telefonu. Wiedział, że patrzy na wykaz rozmów jakiejś osoby, ale kompletnie nie kojarzył, kim była. Odruchowo zajrzał na drugą stronę, ale

i to nie przyniosło odpowiedzi. Czuł narastające w mięśniach napięcie i nieprzyjemne mrowienie na karku.

Knight nie wytrzymał ciszy i przerwał ją pytaniem:

– Możesz mi powiedzieć, o czym rozmawiałeś z Lucy Black na dobę przed jej śmiercią?

Popołudnie

Nie wiedział, czy trzęsie się z zimna, czy z nerwów. Śmierć dziennikarki wyzwoliła w nim niewyobrażalny gniew. Chciał dopaść i rozszarpać człowieka, który niszczył wszystko, z czym Redfern choćby się zetknął. Wbrew temu, co wyznawał jako policjant, chciał zemsty w najokrutniejszym jej wydaniu. On jej nie chciał, ale pragnął. Z przerażeniem stwierdził, że zbliżył się na niebezpieczną odległość do żądz, a ta, wirując niczym tornado, wciągała i potrafiła siac wyłącznie zniszczenie.

Zadzwoił do Marty, by przeprosić za niepotrzebny nacisk, który na niej wywarł. A tak naprawdę chciał usłyszeć jej głos i upewnić się, że jest bezpieczna.

– Nic się nie stało – uspokajała go. – Porozmawiamy, jak przyjedziesz.

– Dziś już nie dam rady – wyznał ze szczerym żalem.

– Dawid, czy coś się stało? – zaniepokoiła się.

Wszystko, chciał powiedzieć, ale zatrzymał to dla siebie.

Marta musiała przede wszystkim odpoczywać, a on musiał ją chronić przed wszelkim złem. Także przed takim, które sam generował. Nie pozbył się poczucia winy, że to przez niego spotkało ją tyle nieszczęść.

– Tak, po prostu bujam się z tą sprawą morderstwa narzeczonych. Poplątane to strasznie.

– A jeszcze dzisiaj znaleźli jakąś dziennikarkę.

– Skąd wiesz? – zapytał lodowatym tonem.

– Coś taki spięty? Nie mów, że też trafiło do ciebie?

Tak jakby, pomyślał.

– Nie, po prostu byłem ciekaw, jak to jest, że wieści tak szybko się rozchodzą – powiedział, wyrzucając sobie, że okłamuje najbliższą mu osobę.

– Pielęgniarki o tym trajkoczą, bo podobno była bardzo lubiana. Jakaś miss czy coś – mówiła spokojnie Marta, a David w wyobraźni widział jej łagodny uśmiech. – U nas też miss dostała się do telewizji i nawet została producentką oraz sekretarzem biura prasowego premiera. No, ale nasza poza krajowym nosiła też tytuł trzeciej wicemiss świata. Ewa Wachowicz – dodała dziewczyna.

– Gotów jestem pomyśleć, że jesteś fanką prasy plotkarskiej – zażartował.

– To było w latach dziewięćdziesiątych – zachnęła się. – Poza tym była autorką bardzo ważnych wtedy słów: „Premierowi się nie odmawia”.

Redfern zaśmiał się szczerze, czując, że schodzi z niego cała złość.

– Nasza miss okazała się tylko szantażystką – wymknęło mu się.

– Jaki kraj, taka Ewa Wachowicz – Marta wybuchła śmiechem, po czym pożegnała się, zasłaniając zmęczeniem. Redfern wiedział jednak, że wolała zakończyć rozmowę wesołym akcentem niż przedłużać ją, by wygasła niezręcznym milczeniem. Był jej wdzięczny za ten przejaw empatii.

Odłożył komórkę i patrzył na wykaz rozmów Lucy Black, który ktoś oznaczył napisem „służbowy”. Nagle poczuł, że przechodzi go prąd. Już wiedział, co usłyszał w sali przesłuchań i jaką tajemnicę kryło muzeum w Brooklands. Chwycił za telefon i zadzwonił do Summer Winter.

– Jedź do Black Swan w Croydon i zabierz ze sobą psa – rozkazał bez wdawania się w szczegóły.

– Dave, nie bardzo rozumiem. – Policjantka wydawała się zbita z tropu. – Nie mogę tak po prostu wkroczyć na czyjąś posesję. Muszę mieć nakaz od Dużej Elsy.

– Zaraz będzie. Psa też ci załatwię, tylko już tam jedź – gorączkował się. – Aha, Puszka niech jedzie do Brooklands. Zaraz mu wyślę wiadomość, co ma przywieźć.

– A ty? – W głosie Summer pobrzmiwała troska.

– Jadę po jednego z morderców.

Martwił się, że Summer milczy. Od jej znaleziska zależała cała operacja. Uzbrojony jedynie w dokumenty dostarczone przez Puskę ciął wąskie drogi prowadzące do Hatchlands.

Nie mógł sobie pozwolić na luksus rozmyślenia o Marcie ani o wystawie Brooklands. Popętnienie tego błędu drugi raz mogło go drogo kosztować. Musiał się skupić, bo przeciwnik, z którym za chwilę przyjdzie mu się zmierzyć, będzie się chciał wyślizgnąć.

Zastał Barkerów w ogrodzie zimowym. Korzystając ze słonecznego popołudnia, siedzieli przy stole opatuleni kocami i raczyli się kawą, której zapach dotarł do Redferna na długo przed tym, zanim przekroczył furtkę. Promienie wpadające przez szklaną kopułę konstrukcji zatapiały swe ostrza w licznych roślinach, tworząc prawdziwie tropikalny klimat.

– Mam nadzieję, że przyjechał pan oznajmić, że wydacie nam naszego zmarłego syna.

– Pod warunkiem że pan wyda tego żywego – odparł inspektor zirytowany protekcyjnym tonem Hermana.

Margaret Barker zacisnęła usta, zmniejszając je do sonej kreski. Łypała to na męża, to na Redferna coraz bardziej blada, zupełnie jakby robiła to specjalnie, by stać się zupełnie niewidzialną.

– Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli – Barker spojrział na inspektora z wyższością. – Will jest teraz w pracy, ale mogę po niego zadzwonić.

Mężczyzna wyciągnął z kurtki komórkę i wykonał połączenie, prosząc syna, by natychmiast stawił się w domu.

– Proszę spocząć – zaproponował Barker. – Will niebawem do nas dołączy.

– Panie Barker – zaczął Redfern, gdy usiadł na jednym z rattanowych krzeseł. – Chciałbym wiedzieć, co stało się ze służbowym telefonem Jasona McCabe’a.

– Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, kim jest ten Jason McCabe – Barker dystyngowanym ruchem sięgnął po filiżankę i upił z niej niewielki łyk, z zaciekawieniem wpatrując się w inspektora.

– Pański pracownik, były partner pana syna, Alana, powiesił się w jednym z najcenniejszych eksponatów pańskiego muzeum – wymieniał.

– Ach tak, teraz coś kojarzę – odparł z beztrząsą.

– Na tym zdjęciu wygląda, jakbyście się znali całkiem dobrze – Redfern pokazał Hermanowi telefon, na którym wyświetlił fotografię z jednej ze stron internetowych. Stojący na tle samolotu Barker ściska dłoń białowłosemu mężczyźnie, szeroko się uśmiechając.

– Wspólnymi siłami ściągnęliście do Anglii kilka fajnych maszyn – powiedział z uznaniem Redfern. – Podejrzewam, że za przekonaniem sułtana Omanu do podobnego pomysłu stał już wyłącznie pan, ale do tego jeszcze dojdziemy.

– W porządku, znałem Jasona – Barker mówił spokojnie, jakby przyłapanie na kłamstwie było dla niego stanem naturalnym. – Ale co to ma wspólnego ze śmiercią mojego syna?

– Początkowo myślałem, że nic, przecież to był wypadek. Tyle że z natury jestem pesymistą, który lubi się przyglądać. Przyjrzałem się więc temu wypadkowi i wyszło mi stare jak świat powiedzenie, że zbrodnia rodzi zbrodnię.

– Proszę bez tej taniej filozofii – Barker wrócił do protekcyjnego tonu. – O co panu chodzi?

– O telefon Jasona McCabe’a. Konkretnie o służbową komórkę, taką samą, w jaką wyposażyliście wszystkich pracowników muzeum.

– Nie wiem, co się z nią stało. Zresztą skąd mam wiedzieć takie rzeczy? Nie mam czasu na zajmowanie się komórkami jakichś pionków – obruszył się. – Muzeum jest jedną z wielu moich działalności.

– Do tego też dojdziemy – odparł Redfern. – Proszę mi po prostu oddać telefon.

– Nie mam żadnego telefonu – warknął.

– A to ciekawe, bo jeszcze parę dni temu logował się on do sieci z tego miejsca – Redfern nieco efekciarsko zerknął na komórkę. – Moi pracownicy dokładnie to sprawdzili. Ktoś z tego domu musiał spanikować i ją włączyć. Proszę więc ją przynieść. Uprzedzam, że wykasowanie z niej choćby esemesa po pierwsze wsadzi pana za kratki, a po drugie nic nie da. Nasi technicy są w stanie wyciągnąć wszystko. Proszę więc nie ryzykować.

Barker poczerwieniał i wstał, zrzucając koc na podłogę, po czym wyszedł przez szklane drzwi. Margaret na tle wypełniających pomieszczenie palm i kwiatów wyglądała jak kameleon.

– Ani mój mąż, ani syn nikogo nie zabili – powiedziała cicho, ale stanowczo.

– Tego nie powiedziałem – odrzekł Redfern. – Krew na rękach to jeszcze nie morderstwo, ale chowanie ich w kieszeniach i udawanie, że wszystko jest w porządku, często się z nim równoważy.

Margaret poruszyła się niespokojnie, sprawiając, że krzesło, na którym siedziała, skrzypnęło przeciągle. Wyprostowała się i patrząc w oczy inspektorowi, powiedziała:

– Nie wiem, w co pan usiłuje wciągnąć moją rodzinę, ale zapewniam, że nie ujdzie to panu na sucho. Mamy możliwości, o jakich się panu nawet nie śniło.

– W to nie wątpię. Sądzę, że o niektórych z nich nawet pani się nie śniło – odparł z przekąsem Redfern i bezpardonowo nalał sobie kawy z imbryka do jednej ze stojących na tacy filiżanek.

Kiedy dotknął ustami gorącego napoju, w drzwiach stanął Barker. Bez słowa podał inspektorowi niewielki czarny przedmiot. Policjant włączył telefon i po chwili szklane wnętrze zimowego ogrodu wypełniły dźwięki nadchodzących wiadomości. Było ich tak wiele, że Redfern zdecydował się wyciągnąć kartę SIM, by móc spokojnie dotrzeć do informacji, które go interesowały. Pod ostrzałem spojrzeń Barkerów przeglądał w ciszy najpierw galerię zdjęć Jasona, a potem przeszedł do wiadomości tekstowych. Nie musiał długo szukać.

– *Spotkajmy się o jedenastej. Pokażę ci, czym jest prawdziwa zabawa* – odczytał. – *Przynieś wszystko, co tylko chcesz. Nie ma*

ograniczeń – czytał kolejne wiadomości. – Wie pan, kto to napisał?

– Samantha – padło z ust Barkera.

– Nie będę państwa obrażał, czytając wszystko, co tu jest. Zresztą pewnie zapoznaliście się z każdym esemesem i zdjęciem, a przynajmniej pan – zwrócił się do Barkera, widząc zaskoczenie na twarzy Margaret. – Przejdźmy jednak do ciekawszego fragmentu, który spodziewam się tu znaleźć. Przeglądałem stare billingi Samantha i wiem, że wymienili tysiące wiadomości. Ustały w dniu jego śmierci.

– Naprawdę nie wiem, do czego pan zmierza.

– Do tego, że ukrył pan mordercę Jasona McCabe’a – odpowiedział Redfern. – Ukrył pan najważniejszy dowód w sprawie.

– Po co miałbym to robić?

– Też się nad tym zastanawiałem, ale z pomocą przyszły mi wyciągi z pańskich kont. Pewnie nie wszystkich – dodał. – Na kilka miesięcy przed śmiercią Jasona stał pan na skraju bankructwa. Niespodziewanie jednak odbił się pan od dna w oszałamiającym tempie.

– To nie jest nielegalne. Po prostu dobrze zainwestowałem pieniądze – odparł Barker, rozsiadając się wygodniej.

– Nie, po prostu Samantha wraz z Molly Petersen znalazły lukę w systemie. Podobnie jak Navinder Singh Sarao, który tworząc fałszywe transakcje, doprowadził do krachu na Wall Street w dwa tysiące dziesiątym. Wyparowało wtedy prawie sześćset miliardów dolarów. FBI to się nie spodobało,

choć domorosły trader zarobił zaledwie dwadzieścia sześć milionów. Pan nie był tak zachłanny i na drobnym wahaniu, które najprawdopodobniej wywołała Samantha i Molly, zarobił pan trzy miliony. Tyle była warta wolność Samantha.

– Ale dlaczego go zabiła? – dopytała niespodziewanie Margaret, której w miarę rozwoju opowieści Redferna wracały kolory.

– To na razie jest dla mnie tajemnicą, ale myślę, że już niedługo – odparł Redfern, czując, że kurczy mu się czas. Summer już powinna być w stanie potwierdzić jego przypuszczenia, ale jak dotąd się nie odezwała.

– Jest pan człowiekiem interesów, a żeby je prowadzić, musi pan dysponować najpotężniejszą z broni – informacją. Ma pan informatorów wszędzie, a jeden z nich właśnie się zbliża – Redfern skomentował chrzest kół na podjeździe.

Will wszedł przez drzwi tarasowe, wpuszczając do pomieszczenia chłodne powietrze. Margaret odruchowo naciągnęła mocniej koc na nogi. Bładość powróciła na jej twarz, ale Redfern był pewien, że nie zimno to spowodowało.

– Will, pan inspektor chciałby z tobą porozmawiać – Herman uprzedził Redferna, który dopiero co otworzył usta.

– Jasne – odparł młody Barker i przyciągnął ostatnie z krzeseł, po czym usiadł na nim i spojrzał na inspektora. – Czy coś wiadomo o Alanie i Samancie?

– Pan inspektor twierdzi, że wie już wszystko – ponownie wtrącił się Nestor. Redfern znał tę technikę. Barker za

wszelką cenę chciał go rozproszyć.

– Jak długo znał pan Samanthę Grant?

– Chyba od czasu, jak zaczęła się spotykać z Alanem.

– Kłamstwo – przerwał mu Redfern. – Jeszcze jedno i dokończymy tę rozmowę na komendzie.

Twarz Willa napięła się i spurpurowiała, prezentując przy tym dorzecza żył na czole i skroni. Spojrzał na ojca, ale ten wpatrzony był w stojącą przed nim filiżankę. Protektorat najwyraźniej dobiegł końca.

– Poznaliśmy się w klubie, ale naprawdę nie pamiętam kiedy – zapewnił Will. – Dawno temu. W każdym razie nie była to zażyła znajomość, raczej kręgi naszych znajomych się przecinały.

– Ale wiedział pan, czym się zajmuje?

– Tak, ale to nie była tajemnica. Sam robiła luksusowe gadżety, naprawdę pierwszorzędna robota. Dostarczała je też do klubu, ale ja się tym nie zajmowałem.

– Jako menedżer Black Swan spijał pan tylko śmietankę – podsumował Redfern. – Tyle że, podobnie jak ojciec, lubi pan wiedzieć wszystko. Dlatego wiedział pan też, gdzie pracowała Samantha Grant. I podzielił się pan tą wiedzą z ojcem.

– Nie przeczy pan, że jej praca była niezwykle ciekawa? – zadał pytanie Will. – Co w tym dziwnego, że powiedziałem o tym tacie?

– W sumie nic, tyle że pana ojciec wykorzystał tę informację, kiedy grunt zaczął mu się palić pod nogami. Z pań-

skich kont zniknęło nagle mnóstwo pieniędzy, prawda, panie Barker? – zwrócił się do Hermana. – Sprzedał pan większość nieruchomości, rozważał nawet pozbycie się muzeum. Bardzo jestem ciekaw dlaczego. Nie sędzę, żeby miało to związek ze zniszczeniem klubu Black Swan. – Redfern zarzucił przynętę, nerwowo zerkając na swoją komórkę. Jeśli Summer zaraz nie napisze, że potwierdza jego teorię, cały plan spłonie na jego oczach.

– Zrobiłem kilka złych inwestycji, popadłem w długi – odparł wymijająco Barker.

Summer, napisz, do cholery, myślał gorączkowo Redfern.

– Przecież to też nie zbrodnia – dodał Herman i wrócił do sączenia kawy. – Jeśli więc to jedyne, co pan dla nas ma, to proszę się skontaktować z moim adwokatem w sprawie panny Grant. Myślę, że to jakieś nieporozumienie.

– Zataił pan dowód w sprawie – rzucił ostro Redfern. – Brał pan czynny udział w oszustwie finansowym.

– Co to, to nie – przerwał mu i unióśł palec. – Ja tylko skorzystałem z luki, a temu winny jest system. No, co najwyżej panna Grant, która mi na niego wskazała. To, co zrobiliśmy, nie jest przestępstwem.

Komórka Redferna rozbłysła, jakby spłynęła na nią niebiańska światłość. Jedno spojrzenie inspektora wystarczyło, by uruchomić w nim całą pewność siebie.

– Ale transport narkotyków z Omanu już tak – rzucił, obserwując, jak filiżanka o milimetr mija usta Hermana, a ten zalewa się zawartością.

Spojrzał wściekle na Redferna, nie mogąc wydusić ani słowa.

– VC10, który z taką pompą zakończył swój żywot w muzeum, był bardzo cennym nabytkiem, prawda? Ile było w środku towaru? Trzy tony, cztery?

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Kamienna dotąd twarz mężczyzny w kilka sekund przeszła w woskową maskę, ujawniając każdą zmarszczkę, ruch mięśni i drganie powieki.

– Za to nasze psy, które właśnie opuściły samolot, wiedzą. Wiedzą też, że towar sułtana został zalany w wyniku awarii rury w klubie. A pan miał do spłaty gigantyczny dług. Tyle że, jak to w życiu bywa, bogatemu diabeł dzieci kołysze i trafiła się Samantha Grant ze swoimi umiejętnościami i mroczną tajemnicą. Plan wydawał się doskonały – szantaż, zysk z giełdy i spłata sułtana. Może spalił pan interes, ale ocalił życie.

– Cóż mogę powiedzieć poza tym, że proszę się skontaktować z adwokatem.

– Herman, powiedz, że to nieprawda! – głos Margaret przeszedł w skrzek. – Handlowałeś narkotykami? Cały mój majątek zainwestowałeś w śmierć?

– Ależ nie cały! – Inspektor uprzedził Barkera. – Tak jak mówiłem, miał pan kilka biznesów, a ten przy okazji.

Herman milczał, wpatrując się gdzieś przez jedną z szyb ogrodu. Redfern wiedział dlaczego. Na drodze prowadzącej do Hatchlands pojawiły się samochody, których Barker, zasiadając do popołudniowej kawy, nie spodziewał się zoba-

czyć. Radiowozy zbliżały się z każdą sekundą, ale w Redfernie drżało przeczucie, że to mimo wszystko jeszcze nie koniec.

– Will – zwrócił się do młodego Barkera. – Chciałbym, żebyś coś przyniósł.

Mężczyzna, jakby ocknął się z letargu, spojrzął na Redferna wielkimi oczami. Zamiast odpowiedzieć, przysiadł się do matki i objął ją. Margaret schowała głowę w ramionach syna, i choć nie widział jej twarzy, inspektor wiedział, że płacze.

– Niech pan sam idzie i da nam spokój – powiedział lodowatym tonem Will.

Redfern wstał i wyszedł z ogrodu. Bezbłędnie znalazł schody prowadzące do pokoju Alana. Po kilku chwilach stał przy biurku, trzymając w rękach pudełko po czekoladkach Le livre od słynnych Debaube & Gallais. Wiedział, że nie był to prezent ślubny od ciotki. Sprawdził to. Ta edycja najdroższych pralinek świata została wypuszczona w dwutysięcznym roku z okazji dwusetlecia istnienia firmy. Ciocia raczej nie podarowałaby siostrzeńcowi przeterminowanych czekoladek. Pudełko skrywało coś, czego tak usilnie szukał Alan Barker na kilka godzin przed ślubem.

Wieczór

Redfern zastał przerysowaną scenę rodem z niemego filmu kostiumowego. Przy wejściu stało dwóch napiętych jak

struny policjantów, Will podtrzymywał matkę, która szlochała wniebogłosy, a Herman Barker właśnie zakładał ręce do tyłu, by umożliwić założenie kajdanek jednemu z funkcjonariuszy. Inspektor podziękował policjantom i poprosił, żeby dostarczyli podejrzanego na komendę, gdzie czeka sierżant Winter.

Podszedł do młodego Barkera i pokazał mu pudełko.

– To tutaj Alan trzymał broń? I to jej szukał w dniu ślubu? Dlatego taki bałagan w jego pokoju.

– Tak – szepnął Will i posadził półprzytomną matkę na fotelu.

Margaret nagle uniosła głowę, jakby coś na zewnątrz przykuło jej uwagę. W otulającej posiadłość ciemności dało się słyszeć kroki na kamienistej ścieżce. Po chwili majaczące się w oddali cienie zaczęły jaśnieć i rosnąć, a kiedy weszły w krąg światła, Redfern zobaczył Puskę w towarzystwie Olivii Shawn. Weszli do ogrodu, przywitali się i usiedli.

– Cieszę się, że już jesteście – oznajmił Redfern. – Właśnie miałem nawiązać do ciebie. – Skłonił lekko głowę w stronę Olivii, której Tinney właśnie wskazywał miejsce, a sam stanął koło Redferna.

Kobieta usiadła i lekko zdezorientowana spojrzała po zebranych. Turkus jej oczu przywodził na myśl spokojne wody malediwskich plaż.

– Rozmawialiśmy właśnie z młodym panem Barkerem o broni Alana – kontynuował inspektor. – Tej samej broni, którą groził biednej dziewczynie w Brooklands. Bardzo

wspaniałomyślnie wzięłaś winę na siebie, Will. Wiedziałeś, że Alan zbyt często wchodził w konflikt z prawem, dlatego zeznałaś, że to twoja sprawka, a koledzy nie zaprzeczyli. Prawda, Olivio?

Shawn milczała, a ocean pociemniał lekko.

– No, ale wróćmy do broni. Dlaczego ją zabrałaś?

– Podejrzywałem, że chce zabić Samanthę. Po próbnym weselu przyszedł do mnie i powiedział, że będzie musiał zrobić coś strasznego, by wreszcie być wolnym. Wiedziałem, że chodzi o Sam, rozmawiał o niej podniesionym głosem z Sergiem podczas wieczoru kawalerskiego.

– Sergio twierdzi, że nie było go na tej imprezie.

– Wpadł tylko na chwilę. Chyba tylko pogadać z Alanem, bo nawet nie wchodził na salę. Ona go w jakiś sposób oszukała, ale nie chciałem rozlewu krwi. Zakradłem się i zabrałem z segregatora broń.

– Ale pana nakrył?

– Nie, ale niechcący wyszarpnąłem pudełko z segregatora i nie było czasu go odłożyć. Wrzuciłem je tylko do biurka.

– I uciekł pan tajnym przejściem w regale – dopowiedział Redfern, gładząc pudełko po miejscu, gdzie znajdowały się resztki kleju. – Przydałoby się wygłuszyć tylną ściankę, bo przy wkładaniu katalogów niesie się echo. – Uśmiechnął się, przypominając sobie swoją pierwszą wizytę w biurze Barkera.

– Alan nie kochał Samantha – odezwała się nagle Margaret. – Zawsze kochał Jasona i nie mógł sobie znaleźć miejsca po jego śmierci. Sam pojawiła się, gdy najbardziej cierpiał, i stała się tematem zastępczym. A Hermanowi bardzo to odpowiadało. Wszystko to była jedna wielka szopka.

– Myli się pani, oni się kochali. Alan nie mógłby jej zabić – Olivia kipiła ze złości.

– A jednak Samantha zadzwoniła do ciebie rano, bo bała się konfrontacji z Alanem. Ktoś powiedział mu o jej tajemnicy. Podejrzewam, że ty. – Redfern wskazał na dziewczynę.

– Niech pan nie będzie śmieszny. – Olivia wyduła wargi. – Wiedziałam, że Samantha zabiła Jasona, ale przysięgam strzec tej tajemnicy. Byłyśmy jak siostry – podkreśliła dobitnie. – To był głupi wypadek, przy głupich zabawach, a ona przyplącałaby to przekreśleniem całego życia.

– Dlatego pani uciekła. Ze strachu, że ktoś dowiedział się, co pani wie – powiedział inspektor.

Olivia potaknęła, a ocean jej oczu spochmurniał na dobre.

– Nieźle mnie pani okłamała, wcale się nie dziwię, że prowadzi pani szkołę aktorską. Prawdziwy z pani talent, skoro sprzedała mi pani historyjkę o tym, że spotykała się pani z Jasonem. To Samantha się z nim spotykała.

Shawn nie wysiliła się na kontynuację gry. Ponownie potaknęła, mruczając znów coś o tym, że były z Sam jak siostry.

– Alan mógł chcieć zabić Samanthę – matowy głos Willa przeciął ciszę. – Tamtego wieczora poprosił mnie o alibi.

Redfern siedział chwilę w milczeniu. Miał wrażenie, że dwanaście prac Herkulesa ktoś przepisał na życie współczesnego policjanta. Dzik erymantejski został pojmany, łania kerynejska siedziała przed nim, ale wciąż nie uporał się z hydrą lernejską. Gdy już wydawało mu się, że rozwiązał jedną sprawę, ona rozrastała się na kolejne.

– Niestety, jak na razie fakty przeczą waszym przypuszczeniom – odezwał się. – Alan i Samantha zostali zamordowani przez dwóch sprawców.

Po twarzach zebranych przebiegł cień. Margaret ponownie zacisnęła usta, Olivia uciekła wzrokiem na okazałego storczyka, a Will przyglądał się swoim dłoniom.

– No, myślę, że wrażeń mieliśmy tego wieczora aż nadto – powiedział nagle Redfern, wstając. Oczy wszystkich zebranych skupiły się na nim w identycznym zdziwieniu. Nawet Tinney zmarszczył brwi na znak, że nie do końca zgadza się z przełożonym.

– Proszę się skontaktować z adwokatem – poradził Margaret. – A państwu polecam nie ruszać się z miasta.

Obaj policjanci się pożegnali i wyszli w mrok, który wysycalo przeraźliwe zimno. Gdy tylko minęli skraj budynku Hatchlands, Tinney nie wytrzymał.

– Dlaczego to tak zostawiłeś? – wściekł się. – Olivia zataiła informacje, Will coś kręci.

– Daję im się wzajemnie wystrzelać – odparł tajemniczo Redfern. – Twoim zadaniem jest zobaczyć, co zrobi Olivia Shawn. Willa na razie zostawimy. Wiemy, że będzie teraz leczył rany matki.

– Przerażasz mnie, gdy mówisz to takim tonem – Puszka zerknął na Redferna z ukosa i postawił kołnierz kurtki.

– Najważniejsze już mam. – Redfern pokazał Tinneyowi komórkę Jasona. – To będzie mój miecz na węzeł gordyjski.

Noc

Usiadł przy swoim biurku, wdzięczny losowi, że Siwiaszczyk zasiedział się u Wandy. Nie miał siły streszczać mu całego dnia, który od samego rana stał na głowie. Podłączył komórkę Jasona do ładowarki i przeglądał zdjęcia. Niektóre musiał przewinąć szybciej, bez zwracania uwagi na szczegóły, które i tak podpowiadała mu wyobraźnia. Dziękował tylko, że na żadnym ujęciu nie było dzieci. Zamknął galerię i przeszedł do przeglądania esemesów, aż dotarł do ostatniego wysłanego przez McCabe'a. Miał zupełnie inny ton niż pozostałe, napuchnięty od erotyzmu, wulgarny. Odznaczał się oficjalnym charakterem, jakby lawa z tego wulkanu dotarła do zimnego oceanu. Mieli się spotkać w concordzie, ale wcale nie planowali adrenalinowej schadzki, tylko ubić jakąś transakcję. Redfern zerknął na daty i coś go olśniło. Zerwał się i podszedł do plecaka, w którym wciąż miał album przywieziony z Londynu. Pomiął pierwsze wakacje

z Molly, sesję z łysym kotem i zatrzymał się na stronie o ciekawym tytule: „Wakacje offline”. Zerknął na datę i porównał ją z datą oficjalnych esemesów. Patrząc na rząd identycznych cyfr, był pewien, że to nie Samantha zamordowała.

Złapał za telefon i zadzwonił do Summer.

– Mam nadzieję, że nie śpisz.

– Nie, piszę raport. Dzięki twojej absurdalnej brawurze mam co pisać.

– Wiem, kto zamordował Jasona McCabe’a.

– Tak, Puszka mi mówił, że to Samantha – odparła i ziewnęła przeciągle. – Swoją drogą, nienawidzę, gdy uciekają wymiarowi sprawiedliwości pod kosę śmierci. Wkurza mnie to.

– Więc mam dla ciebie dobrą wiadomość. Właśnie odkryłem, że w dniu śmierci Jasona Samantha była na wakacjach. Nie zabrała ze sobą żadnej elektroniki, jednak wymienili z McCabe’em esemesy i umówili się w Brooklands.

– Więc z kim spotkał się McCabe?

– Z Molly Peterson – wyrzucił z siebie. – A teraz zdejmij palce z klawiatury, weź sobie, kogo tam potrzebujesz, i zgarbijcie dziewczynę z Ottershaw.

– Wiesz, że się marnujesz? Nie mam bladego pojęcia, jak wpadłeś na to, że Jason McCabe miał służbową komórkę i że trafiła ona w łapy Hermana Barkera.

– Zbieg okoliczności albo, jak wolisz, zderzenie myśli z podświadomymi obrazami. Sama wiesz, że wiele spraw,

które trafiają na nasze biurka, rozwiązują się przez różne sploty wydarzeń.

– Pewnie masz rację – westchnęła. – Myślisz, że skoro Barker handlował prochami, to to nie była egzekucja? Może ma coś jeszcze za pazurami i ktoś postanowił go brutalnie ukarać?

– To, że ma, jest pewne, ale moim zdaniem chodziło o coś zupełnie innego.

– Dobra, jadę po tę Peterson, zanim znów rozplynie się w powietrzu, zostawiając za sobą kota.

– Powodzenia.

Summer nic nie odpowiedziała. Chciał jej jeszcze podziękować i powiedzieć, żeby uważała, ale tylko machnął ręką. Summer była już samodzielną funkcjonariuszką, a im mniej będzie ją prowadził za rękę, tym lepiej dla ich relacji.

Długo się wahał, czy powinien dzwonić do Zhenga. Obawiał się, że jeśli ktoś przejrzy jego billingi, wpadnie na pomysł umoczyć agenta w tej aferze. Ich współpraca była zbyt ścisła i wielu mogłaby się nie spodobać. Mimo to postanowił zaryzykować. Po prostu musiał wiedzieć. Zadzwoił z komórki dziadka i poprosił Zhenga o przyjazd do Woking. Agenci NCA mieli tę zaletę, że nie zadawali zbyt wielu pytań, tylko działali. Przed dwudziestą pierwszą Zheng stał przed drzwiami domu przy Princess Road, złorzeczając na londyńską kolej.

– Więc tak uciszacie ludzi? – zapytał ostro Redfern, gdy tylko znaleźli się w kuchni. – Co to miało być?

- Zwolnij, bo nie nadażam.

- Lucy Black nie żyje.

- Kurwa, co? - Tonacja głosu Zhenga uniosła się do pisku.

- Jak to nie żyje?

- Została znaleziona wczoraj po południu czy około południa. - Redfern nie pamiętał dokładnie.

- Tylko mi nie mów, że byłeś ostatnią osobą, która widziała ją żywą. - Zheng odmierzał ostatnie słowa kiwnięciem palca, jakby nadawał sobie rytm.

- Na szczęście nie. Po moim wyjściu przyjechał mąż, a następnego dnia Lucy pakowała się do Chin, miała tam robić jakiś reportaż. Mąż widział ją w sobotę rano, kiedy wyjeżdżał z dziećmi do jakiegoś parku. Znalazł ją taksówkarz.

- Jaki taksówkarz?

- Miał ją zabrać na lotnisko. - Redfern automatycznie przekazywał informacje, które dostał od Knighta. - Zatrąbił kilka razy, ale Black nie wychodziła. Zauważył otwarte drzwi wejściowe i postanowił przekonać się, co ją zatrzymało.

- No widzisz, masz dowód, że to nie my. My zamykamy za sobą drzwi - zażartował Zheng.

- Nawet tak nie mów - wycedził Redfern. - Tu czarny humor nie pomoże.

- Aż tak źle?

- To była egzekucja - odparł Redfern i spojrział przez okno, za którym niebo szarzało coraz mocniej, zapowiadając

ulewę. – Napastnik wszedł do sypialni i oddał jeden celny strzał.

– Niech zgadnę, w głowę, żeby nie musieć poprawiać?

– Nie inaczej.

– Zginęło coś?

– A myślisz, że mi coś powiedzą? – zapytał Redfern. – Jestem na ich czarnej liście. Nawet jak zaoferowałem pomoc, to Knight kazał mi siedzieć cicho i się nie wychylać. Właściwie to przyznaję mu rację. Mam się stawić u nich we wtorek. Nie wiem tylko, co mam im powiedzieć.

– Prawdę. – Agent wydawał się niewzruszony. Sięgnął po jedną z kanapek, które David naszykował dla dziadka.

– Że miała materiały dotyczące śledztwa przeciwko mnie? – zachnął się Redfern.

– To ich śledztwo, w dodatku zjebane – odpowiedział Zheng. – Wal prawdę, ta się zawsze obroni.

– O szantażu też?

– Też.

– Przecież dam im argumenty do ręki. Miałem motyw.

– Ale masz też alibi – powiedział beztrósco agent, po czym dodał: – Bo masz to cholerne alibi?

Redfern zerknął na komórkę, którą właśnie rozświetliło nadejście wiadomości od Summer Winter. Przeczytał w myślach rząd liter i zamarł.

– Obawiam się, że moje alibi jest właśnie w drodze do jakiegoś kraju Trzeciego Świata – odparł Redfern, czując, że robi mu się ciemno przed oczami.

ROZDZIAŁ VIII

6.01.2014, poniedziałek

Rano

Poranek przyniósł gonitwę myśli, która skręcała w stronę Ottershaw. Musiał jak najszybciej się tam znaleźć. Wiedział, że Molly Peterson ma zdolność zniknięcia z powierzchni ziemi, ale skoro już raz ją znalazł, to mógł to zrobić ponownie. Ubrał się i wyszedł z domu. Woking nie zdążyło jeszcze pogodzić się z nastaniem poniedziałku, choć w oknach domów widział już szybko przemieszczające się postaci matek pakujących lunchy do plecaków swoich dzieciaków, mężczyzn zakładających krawaty bądź ogrodniczki, kobiet poprawiających rękawy białych bluzek.

Podobnie jak ostatnio dojechał do zielonego domu, mijając mieszkanie Molly. Zawrócił i zaparkował na niewielkim podjeździe. Okna zionęły szarą jak niebo pustką. Zerwał policyjną taśmę i wszedł do środka. Ślad po koparkach zniknął, podobnie jak laptopy. Na ścianie został osierocony wielki telewizor. Molly pozostawiła po sobie popielniczkę w kształcie liścia marihuany, niedokończoną paczkę papierosów i worek pełen styropianowych kulek.

Redfern usiadł na nim, zastanawiając się, od której części mieszkania powinien zacząć. Nagle usłyszał ciche dzwonienie, które skojarzyło mu się dość zabawnie z Piotrusiem Panem. Taki sam dźwięk wydawała wróżka. Otrząsnął się z idiotycznych myśli i podążył za odgłosem, który doprowadził go do kuchni.

Przy drzwiach do ogrodu, obok załadowanych jedzeniem misek stał sfinks i zupełnie ignorując Redferna, pił wodę. Inspektor domyślił się, że kot musiał się wystraszyć policjantów i czmychnąć przez klapkę w skrzydle. Schylił się, żeby odnaleźć źródło dźwięku, ale kiedy zwierzę podniosło głowę zaintrygowane gimnastyką człowieka, dźwięczenie ustało. Redfern zrozumiał, że wydawało je coś, co uderzało o brzeg porcelanowej miseczki. Złapał kota pod brzuchem, z zaskoczeniem stwierdzając, że jest niesamowicie ciepły i przyjemny w dotyku, a już na pewno nie był pozbawiony sierści. Armour natychmiast zaczął mruścić, ocierając pomarszczony łebek o twarz Redferna. Inspektor posmyrał go pod bródką, przyglądając się kluczykowi zawieszonemu na obroży. Widział już taki kluczyk. Odpiął obrozę, postawił kota na podłogę i przekręcił zamek przy klapce, żeby zwierzę nie mogło wyjść.

– Nigdzie się nie ruszaj – nakazał sfinksowi, który z zaciekawieniem wpatrywał się w inspektora zielonymi jak szmaragdy oczami. – Wrócę po ciebie.

Stojąc w marmurowym hallu Barclays Bank, miał wrażenie *déjà vu*. Znow uśmiechała się do niego ta sama recepcjonistka, znow zjawiał się barczysty ochroniarz i pojawiły się standardowe regułki. Redfern nie miał jednak czasu na podchody. Przedstawił w żołnierskich słowach, że jest na tropie osoby podejrzanej o morderstwo. Ostatnie słowo podziałało magicznie i po kilku minutach znow stał przed nim Rajesh.

– Mówił pan, że nie zna kobiety ze zdjęcia, a tymczasem ona tu pracuje – zaczął Redfern z pretensją w głosie. – Jest traderem.

– Po pierwsze, nie znam wszystkich traderów, po drugie, może pracowała tu wcześniej. Jestem w firmie dopiero od trzech miesięcy – usprawiedliwiał się mężczyzna.

– Chciałbym zajrzeć zatem na piętro traderów, by otworzyć szafkę, do której będzie pasował ten klucz – Redfern podniósł na wysokość oczu srebrny przedmiot.

– Szafki są tylko tam, gdzie był pan wcześniej. Proszę za mną – rozkazał Rajesh, zapominając o identyfikatorze dla gościa.

Wjechali windą i przeszli przez szklane drzwi, po czym odnaleźli szafkę z numerem trzydzieści siedem. Redfern włożył kluczyk do zamka i przekręcił. Na dnie szafki leżał tylko jeden, równo ułożony przedmiot. Inspektor pomyślał, że było to bardzo w stylu Molly Peterson. Jednym ruchem zabrał czarne pudełeczko, zatrzasnął drzwiczki szafki i wręczył kluczyk Rajeshowi. Gdy znow znaleźli się w recepcji,

podziękował menedżerowi za pomoc policji i wyszedł przez staromodne obrotowe drzwi.

Szedł wolno, od czasu do czasu potrącany przez pędzących w różnych kierunkach ludzi. Lektura tego, co znalazł w starej komórce Molly Peterson, pochłonęła go bez reszty. Żeby nie narażać się na kolejne szturchnięcia i potrzaskanie telefonu, usiadł przy nabrzeżu jachtowym, które okalało wyspę Canary Wharf. Luksusowe jachty i łodzie prężyły muskuły, łechcąc dumę swych właścicieli i ciesząc oko przechodniów. Wielu z nich przystawało, by zrobić sobie zdjęcia z co piękniejszymi jednostkami.

Redfern, odzwyczajony od klawiszy, starał się zmarzniętymi palcami nawigować po menu. Wchodził i wychodził z poszczególnych wiadomości, próbował zrozumieć, kto może być ich odbiorcą, ponieważ Molly przezornie nie wpisywała żadnych numerów do pamięci urządzenia. Znalazł wiadomości w tonie podobnym do tych, które czytał u Jasona, były też zwykłe, informujące o jakimś spotkaniu albo z plotkami. Nie odnajdywał jednak żadnej, która wskazywałaby na miejsce pobytu Peterson. Wiedział, że kobieta zostawiła mu jakąś wskazówkę, ale albo jej nie widział, albo nie potrafił patrzeć. W akcie desperacji otworzył klapę i wyciągnął baterię, ale nic pod nią nie znalazł. Slot karty SIM świecił pustką, wrócił więc do przeglądania wiadomości.

Kiedy miał się już poddać, dostrzegł esemes zaczynający się od wulgaryzmu. W pierwszej chwili pomyślał, że to

kolejna wymiana erotycznych wiadomości, ale zaraz po nim nastąpiła sekwencja słów, która wprawiała go w osłupienie.

Mam dla niego prezent ślubny...

Nagranie?

Mhm. A nawet lepiej.

Nie rób głupstw. Nie warto.

To już postanowione. Do zobaczenia na ślubie.

Na mnie nie licz.

Za to na mnie zawsze można liczyć.

Jesteś chory.

Bo miłość to choroba. Żegnaj.

Przeczytał esemesy ponownie, usiłując zrozumieć, na co patrzy. Przepisał numer i wysłał Tinneyowi z prośbą, by sprawdził, do kogo należy. Po paru minutach przyszła odpowiedź, która wprawiała go w osłupienie. Zerwał się i pobiegł do stacji metra, z nadzieją, że nie jest za późno.

Południe

Pokój przesłuchań był przesycony zupełnie inną atmosferą niż wtedy, gdy na krześle przed Redfernem zasiadał McCabe. Inspektor przysunął się do stołu, mając wrażenie, że siedzi przed nim sam diabeł. Mężczyzna nie odrywał wzroku od policjanta, jakby chciał go speszyć lub zahipnotyzować. Ręce

złożył nieruchomo na blacie i nie przestając się uśmiechać, oddychał szybko.

– Powiniennem zapytać dlaczego – powiedział Redfern. – Ale chyba wiem. Dlatego tylko zapytam jak?

– Bardzo prosto – mężczyzna oblizał wargi. – Wszedłem do samochodu i udusiłem Alana, a Samantha się temu przyglądała, potem udusiłem Samanthę. – Chłód jego wypowiedzi sprawił, że Redfernowi zrobiło się nieswojo.

– Od początku! – rozkazał krótko.

– Uuu, to musiałbym się cofnąć do gwałtu na tej biednej dziewczynie – Sergio pokręcił głową, zmieniając uśmiech na grymas sztucznego niezadowolenia. Teatralnie przewrócił oczami i zaczął coś wyskubywać spomiędzy przeraźliwie białych jedynek.

– Mów! – Redfern ledwo panował nad nerwami.

Sergio znów położył obie ręce na stole, prezentując nieskazitelny manicure. Milczał jeszcze chwilę, po czym zaczął opowiadać.

– Alan zgwałcił tę biedną dziewczynę, choć wielokrotnie powtarzała hasło bezpieczeństwa. O, tak, wiele razy krzyczała. Nic jej nie pomogło. Paski Samanthy nigdy się nie zrywały.

– Byłeś przy tym?

– Nawet nagrywałem – odparł z obrzydliwą dumą. – I właśnie przez to nagranie Alan umarł.

– Szantażowałeś go – powiedział Redfern.

– Do pewnego momentu było to nawet zabawne, ale ostatecznie postanowiłem to rozegrać po swojemu.

– Obiecałeś Alanowi zwrot nagrania – rzekł Redfern. – Kazałeś mu przyjechać na dach parkingu.

– Zgadza się. Trochę się o to pokłóciliśmy na kawalerskim, ale ostatecznie Alan zgodził się stawić w umówionym miejscu. Wiedział, że jeśli tego nie zrobi, to nagranie trafi nie tylko na policję, ale i do wszystkich członków rodziny. Warunkiem dodatkowym było to, że miał przywieźć Samanthę. To miał być dla mnie dodatkowy smaczek.

– Powiedziałeś mu na kawalerskim, że Samantha zabiła Jasona – stwierdził Redfern.

– Miałem na to niezbity dowód i tu dopiero zaczyna się zabawa.

– Żebyś wiedział, bo Jasona zabiła Molly Peteson – rzucił inspektor.

Przez ulotny ułamek sekundy kącki Sergia zbliżyły się do siebie.

– No cóż, każdy może się pomylić. – Wzruszył ramionami, rozciągając usta w lubieżnym uśmiechu, od którego Redfernowi zrobiło się niedobrze.

– Co było później?

– Spotkaliśmy się na parkingu.

– Wykorzystałeś kanały McCabe'a, żeby nie uchwycił cię monitoring?

– Oczywiście. A potem wsiadłem z tyłu uroczego bentleya i ucieliśmy sobie miłą pogawędkę o tym, jak każdy w tej eki-

pie ma ręce umazane krwią, i nie tylko ręce. Alan zaczął się odgrażać i mówić wiele nieprzyjemnych słów. Poraziła mnie myśl, że on mnie naprawdę nienawidzi. Że nawet jeśli oddam mu nagranie, nie pokocha mnie, nie będziemy nigdy razem. A skoro ja nie mogłem go mieć, to nikt nie będzie. Założyłem mu więc pasek na szyję. Umarł w ekstazie, tak jak lubił – dodał z błogością w głosie.

Redfernowi cisnęły się na usta najgorsze z możliwych słów. Może gdyby nie siedział w pokoju przesłuchań, obserwowany przez kolegów, rzuciłby je Storkowi w twarz. Jednak zamiast tego zapytał:

– Samantha na to patrzyła? I nic nie zrobiła?

– Musiała. Ona przyjechała z Alanem, myśląc, że dostanie swój artefakt. Nie wiedziała, że Alan gra we własną grę. Nawet zorganizowała mi niepodważalne alibi.

– Olivia Shawn – powiedział cicho Redfern, czując, że bagno, w którym miał wrażenie stać, sięgnęło jego klatki piersiowej i napiera coraz mocniej. – To ty znalazłeś Jasona w concordzie i zabrałeś mu telefon.

– Zgadza się. – Kiwnął głową, jakby z uznaniem. – Dałem go staremu Barkerowi, bo lubię skurwysyna. Ale też chciałem coś z tego mieć.

– Dlatego zanim przekazałeś Hermanowi telefon, wszystko z niego skopiowałeś – stwierdził Redfern. – Wiem już, że Samantha wzięła na siebie winę, ale dlaczego Molly zabiła Jasona?

– Podejrzewam, że miał ich lesbijskie porno. Zwinął z chaty Samantha kilka kaset z ich udziałem.

Redfern już wiedział, co znajdowało się w pudłach, które Olivia wyniosła z mieszkania w Lewisham, i czego brakowało w komodzie. Shawn wiedziała, że po śmierci Grant policja wcześniej czy później je znajdzie.

– Trójkąćki z dziewczynami to podobno niezłe widowisko – ciągnął Sergio. – Oczywiście, nie dla mnie, ale jestem pewien, że Jason znalazłby nabywców. Miał mało kasy, a chora mama i dom przy Lytton wymagały jej naprawdę sporo.

– Więc na wideo były trzy kobiety?

– Samantha, Molly i Olivia – wymienił bez emocji. – Zaskoczony?

Redfern miał odpowiedzieć, że tak, ale uznał, że byłoby to kłamstwo. Im dłużej grzebał w tej sprawie, tym mniej rzeczy go dziwiło, więcej – wzbudzało uczucie obrzydzenia.

– Co działo się w samochodzie?

– Samantha zaczęła wrzeszczeć i rzucać się, grożąc mi śmiercią. Nie spodobało mi się to i postanowiłem, że dołączę do Alana – znów mówił zimnym głosem.

– Dlaczego po prostu cię nie zabili?

– Nie mogliby. Ustawiłem skrzynkę mailową, by wysłała maleńki, ale najważniejszy wycinek filmu dokładnie w południe, gdy młodzi mieli sobie powiedzieć sakramentalne „tak”. Tylko ja mogłem cofnąć wysyłanie.

– Dlaczego odsłoniłeś się Molly?

– Zawsze wydawała mi się bliska. Jak się okazuje, nie bez powodu. My, mordercy, musimy się trzymać razem – odparł, przywołując obleśny uśmiech.

Redfern pomyślał, że usłyszał dostatecznie dużo. Wstał bez słowa i wyszedł, zostawiając mężczyznę, o którym nie umiał myśleć inaczej jak „kreatura”. Szedł korytarzem pogrążony we własnych myślach. Nie potrafił się skupić na Sergiu, zupełnie jakby był kolejnym zadaniem do wykonania, które właśnie odhaczył. Zdawał sobie sprawę, że rozwikłał jedną z najbardziej zagmatwanych zagadek, ale nie potrafił się z tego cieszyć, mając w perspektywie szukanie Molly Peterson. Nagle wpadł na kogoś. Podniósł głowę i zobaczył przed sobą Willa Barkera, który najprawdopodobniej przyjechał na komendę uzupełnić zeznania albo zobaczyć się z ojcem.

– Już wiem, co się stało – powiedział zamiast powitania.

– Usiądźmy – zaproponował Redfern i poprowadził młodego mężczyznę do miejsca, gdzie pod ścianą stał krótki rząd krzesel. – Na początku chciałem ci powiedzieć, że to nie twoja wina. Chciałeś dobrze.

– Dobrze? – zapytał z wyrzutem. – Pan to nazywa dobrze? Alan zginął przeze mnie.

– Chciałeś go uchronić przed popełnieniem zbrodni. Kto wykazałby się taką odwagą?

– Zabrałem pistolet, bo myślałem, że chce zrobić krzywdę Sam. Alan zawsze był porywczy, zdolny do wielu rzeczy. Wydawało mi się to takie realne. Zwłaszcza po kawalerskim.

– Usłyszałeś wycinek rozmowy, wyciągnąłeś pochopne wnioski.

Will milczał przez chwilę. Oparł łokcie o kolana, a głowę na dłoniach, których palce zatoneły w gęstych włosach.

Trwał tak kilka sekund, po czym podniósł się i zwrócił w stronę Redferna bladą twarz.

– Naprawdę nie wiedziałem, że pistolet miał mu służyć do obrony. Może gdyby go miał, nie zginąłby.

– Wiem, ale uważam, że nie powinieneś się obwiniać. Cała ekipa z Black Swan była tak bardzo uwikłana, że kwestią czasu było, że stanie się coś złego. Nie mogłeś temu zapobiec.

– Mogłem zapobiec śmierci brata – powiedział z wyrzutem. – Potrafiłby pan z tym żyć?

Redfern znał odpowiedź na to pytanie. Śmierć Adriana Bonesa śniła mu się co noc, kroczyła za nim każdego dnia, wyciągając po niego szponiaste dłonie. Nie da się żyć z takim brzemieniem. Było jak kamień u szyi, który dźwigał każdego dnia, a gdy tylko próbował go odstawić, ciągnął go w dół.

Will wstał i bez słowa poszedł korytarzem. Redfern powiódł za nim wzrokiem, odnosząc smutne wrażenie, że młody człowiek chował głowę w ramionach. Głaz już zaczął mu ciążyć.

Zszedł na parking, mając w planach uratowanie chociaż jednego uczestnika tych wydarzeń.

Popołudnie

Przekraczając próg domu, wiedział, że jego pomysł jest skazany na porażkę. Nie mógł się jednak oprzeć pokusie i wkroczył do przedpokoju z przezroczyстым plecakiem.

– Co ty, Dawidek, na Księżyc lecisz? – zapytał dziadek, taksując wzrokiem kapsułę na plecach wnuka.

– Niezupełnie – odparł powoli. – Chociaż w środku mam kosmitę. Tylko się nie przestrasz – przestrzegł i odwrócił się.

– Rany boskie, co to za świerzb?! – zakrzyknął Siwiaszczyk. – Przecież to zwierzę wymaga lekarza!

– To sfinks, taka rasa kota – wyjaśnił możliwie spokojnie David.

Dziadek podszedł i przyjrzał się zwierzęciu, które niewiele sobie robiło z awantury wokół siebie. David pomyślał, że kot musiał uczestniczyć w wystawach, skoro był tak spokojny. Zaciekawiony człowiekiem, wyciągnął głowę w jego stronę i patrzył bezkresnie zielonymi oczami. Dziadek też przysunął twarz do plecaka i gdyby nie pleksi, pewnie zetknęliby się nosami. Po chwili tonem doświadczonego felinologa ocenił:

– Łeb węża, dupa od ogolonego dzika. Tylko czoło pomarszczone jak u filozofa jakiegoś. No, Dawidek, piękny kotek. Gratulacje! Ze wszystkich zabłąkanych kotów ty musiałeś przynieść takiego w późnym stadium rozkładu.

– Daj spokój, nie jest śmieszny – uciał David i postawił plecak na podłodze.

– No, ja się wcale nie śmieję – odrzekł Bohdan. – Jemu też chyba do śmiechu nie jest. – Wskazał na mordkę kota. – Poczekaj, jak go Bambi zobaczy. Trauma murowana.

– A właśnie, gdzie jest Bandit? – zapytał David i wszyscy, łącznie z kotem, poszli do kuchni.

– Został u Wandzi. Dobrze się dogadują. – Bohdan usiadł przy stole. – No, ale widzę, że znalazłeś dla niego zastępstwo – dodał z przekąsem.

– Sam byś postąpił tak samo – odciął się Redfern, siadając naprzeciwko. – Został w domu sam, po tym, jak zatrzymaliśmy jego właścicielkę. Jeśli potwierdzi się, że kilka lat temu zabiła swojego kolegę, to raczej szybko nie wyjdzie.

– Kot mordercy. Coraz lepiej – skonstatował dziadek.

– Wiesz, że trzeba go regularnie kąpać?

– I co jeszcze? Może krem słoneczny nakładać?

– Cholera, nie wiem – zatroskał się autentycznie David. – Muszę zapytać Puskę.

– No, następny zoolog się znalazł! – zakrzyknął dziadek. – Już ja widziałem tę jego pokrakę ze schroniska. – Wskazał na swoją komórkę, na którą Tinney najwyraźniej wysłał zdjęcia nowego członka rodziny.

– Weź go pogłaskaj – zachęcił staruszka.

– Jeszcze czego! Naprawdę nie trzeba było się posuwać do takiego argumentu. Jak chciałeś się wyprowadzić, to się wyprowadzaj! – naburmuszył się dziadek, ale David widział, że to sztuczna złość i Siwiaszczyka skręcała ciekawość.

– Ale on jest bardzo miły w dotyku – nie ustępował, próbując przełamać topniejącą niechęć Bohdana.

– No, jak gumka recepturka – bąknął i łypnął na kota, który właśnie zajął strategiczną pozycję przy lodówce. – Nazywa się on jakoś?

– Nazywa się Armour – oświadczył David, zadowolony, że dziadek zapytał. – Pasuje do niego, bo faktycznie wygląda jak zbroja.

– Amorek – powtórzył Bohdan. – Chociaż imię ma ładne.

David zacisnął szczęki, walcząc z nieprzemogłą chęcią poprawienia Bohdana. Skoro jednak akceptacja miała zależeć od imienia kota, to wołał nie wojować.

Poszedł do siebie, zostawiając tę dwójkę samym sobie. Usiadł przy biurku, zgarniając do pudełka wszystkie notatki i zdjęcia, które zgromadził w czasie prowadzenia sprawy. Jako ostatnia w kartonie wylądowała mapa Brookland Museum. Redfern spojrział na nią i zamyślił się. Przyszły mu do głowy dwa pomysły jednocześnie. Niewiele myśląc, zadzwonił, by potwierdzić, że są do zrealizowania. Okazało się, że wszystko może się wydarzyć nawet jutro.

Zanim odłożył komórkę, ta rozdzwoniła się na dobre.

– Słuchaj, możesz podjechać do Guildford? – usłyszał głos Knighta. – Mają do ciebie kilka pytań o Lucy Black.

– Teraz? – zdziwił się.

– Im szybciej, tym lepiej. Wiesz, jak jest – odparł komendant i rozłączył się.

Redfern siedział przy biurku jednego z policjantów, odpowiadając na standardowe pytania o nazwisko, miejsce zamieszkania, stopień służbowy i inne potrzebne biurokracji rzeczy. Udzielał jasnych i krótkich odpowiedzi, by jak najszybciej mieć to za sobą. Po kilku minutach dotarli do miąższu tej rozmowy.

– Co pana łączyło z Lucy Black? – zapytał młody mężczyzna, którego inspektor nie kojarzył z czasów, kiedy podlegał pod Guildford.

– Właściwie to nic, poza tym, że obiecała mi przekazać materiały, na które natrafiła w swojej dziennikarskiej pracy.

– Czego dotyczyły?

– Afery pedofilskiej, która niedawno wybuchła w Woking. – Słuchał, jak kłamstwo gładko sący mu się z ust.

Sierżant zatrzymał na Redfernie zaskoczone spojrzenie i zanotował coś w formularzu, który wyświetlał się na ekranie komputera. Inspektor przez chwilę myślał, że policjant przyłapał go i wystukał na klawiaturze notatkę o składaniu fałszywych zeznań.

– Tak, coś na ten temat słyszałem – mruknął. – Czy ofiara przekazała te materiały?

– Niestety, nie.

– Dlaczego?

– Nie dogadaliśmy się – odparł tym razem zgodnie z prawdą. – Pani Black zażądała dostępu do akt sprawy. Sam pan rozumie, że nie mogłem iść na taki układ.

– Czy ktokolwiek wiedział o państwa spotkaniu?

Redfern zastanowił się ułamek sekundy. Ta chwila kosztowała go ostre spojrzenie sierżanta Burke’a, który zdawał się prześwieślać myśli inspektora.

Przecież i tak się dowie, pomyślał.

– Wiedział o tym agent Zheng Cong Coh z National Crime Agency w Londynie.

– Dlaczego akurat on?

– Nasza komenda współpracuje z agencją przy sprawie z Woking.

– To oczywiste – zachnął się policjant i jego palce znów zatańczyły na klawiaturze. – To sprawa ogólnokrajowa, a podobno nawet międzynarodowa. Ale dlaczego akurat Coh?

– Przyjaźnimy się i potrzebowałem jego rady. Jak pan wie, spotkania policjantów z prasą nie są mile widziane – dodał.

– Takie przyjaźnie też – wymknęło się policjantowi, co Redfern uznał za brak profesjonalizmu.

– Znamy się z czasów, kiedy sam byłem agentem – powiedział sucho, dając do zrozumienia, że nie podoba mu się ton sierżanta.

– Kiedy widział pan Lucy Black po raz ostatni?

– W piątek, trzeciego stycznia, około osiemnastej – odparł, nie będąc pewny dokładnej godziny.

– A co robił pan w sobotę około południa?

– Rozpytywałem świadka w jego domu w Ottershaw.

– Czy świadek może to potwierdzić?

– Myślę, że tak.

– Poproszę dane świadka – sierżant rozkazał suchym tonem i podał Redfernowi kartkę i długopis.

Inspektor zanotował adres domu Molly Peterson, zastanawiając się, gdzie może teraz być.

– Spróbujemy do niej dotrzeć, a na razie proszę zostać w Woking – poradził, uśmiechając się sztucznie.

Powodzenia, pomyślał inspektor i wstał.

Schodząc po schodach, zauważył znajomą postać. Podbiegł do niej i zatrzymał, łapiąc za ramię.

– Ty jeszcze tutaj? – zapytał Teda.

– A ty już tutaj? – odparł medyk, nie kryjąc radości. – Wracasz do nas?

– No, w charakterze świadka.

– A racja! Ta dziennikarka. Faktycznie, mam ją u siebie w biurze. – Otarł czoło w geście zmęczenia.

– Słabo wyglądasz, nawet jak na Szkota – powiedział Redfern.

– A dziękuję, w twoich ustach to nawet komplement – odrzekł. – A tak na poważnie, to trochę brakuje mi czasu i sił. Wcięło mojego ulubionego asystenta. Już pomijam fakt, że brakuje mi popalania ze Stevenem na tyłach bazy, ale cholernie był pomocny. Bez niego naprawdę nie dam rady. – Ted wyglądał na szczerze załamane.

– A co mówi rodzina?

– Jezu, nie wiem. Nie odważyłbym się dzwonić do czyjejs rodziny z pytaniem, czy przypadkiem jeden z jej członków nie zachlał.

– A mógł zachlać?

– A pewnie, jak to młody – powiedział. – No nic, lecę na wieczorną partyjkę golfika! – Wskazał na samochód. Na siedzeniu Redfern dostrzegł worek z kijami.

– Baw się dobrze.

– Taki jest plan – odparł i wsiadł do auta, machając Redfernowi na pożegnanie.

Inspektor włożył kluczyk do stacyjki citroëna, jednak zanim go przekręcił, wewnątrz samochodu wypełnił dzwonek telefonu. Zerknął na wyświetlacz i lekko zaskoczony odebrał.

– Co tam, Greg? – przywitał się z zastępcą komendanta, siląc się na serdeczny ton.

– Chciałbym ci podziękować za znalezienie mordercy mojej chrzestnej córki – powiedział patetycznie przełożony.

– Przymiotnik mogłeś sobie darować – odparł ze smutnym uśmiechem Redfern.

– Skąd wiedziałeś? – rzucił chłodno McMahon.

– Chrześcicy podarowałaś bentleya? – zapytał. – Nawet ciebie nie podejrzewałbym o taką rozrzutność. Ukryłeś to jednak dość sprytnie, dając na niego pieniądze Rose.

– Mogłem się spodziewać, że się domyślisz – zmarkotniał McMahon.

– Czy poza Summer Winter jest w tym hrabstwie chociaż jedna kobieta, której odpuściłeś? – zapytał dla rozluźnienia Redfern.

– A Windsor leży jeszcze w Surrey? – dopytał McMahon.

– Nie, już w Berkshire.

– To nie ma. – Zaśmiał się. – W każdym razie dzięki, Dave. Kawał dobrej roboty.

Redfern siedział jeszcze chwilę w samochodzie. Nie miał zamiaru prawić Gregowi morałów. Wierzył, że burzliwy czas ma za sobą. Jednak wylewność McMahon wydała mu się co najmniej zastanawiająca. Może faktycznie odczuwał wdzięczność i inspektor niepotrzebnie drażył, zamiast przyjmować ludzką serdeczność i uznać ją za naturalną. Choć bardzo kochał tę pracę, miała wiele skutków ubocznych. Między innymi to, że cynizm i nieufność wypierały z życia spontaniczną radość z prostych rzeczy. Pocieszył się myślą, że właśnie wyrusza na spotkanie z jedną z nich.

Noc

Dom zasnuty ciemnością był tym, czego David Redfern potrzebował teraz najbardziej. Wszedł do przedpokoju i zaświecił światło, wsłuchując się w ciszę, którą przerywał jakiś dźwięk, jakby tarcia albo piłowania. Uśmiechnął się w duchu i zdjął buty, zastanawiając się, dlaczego nie wita go szczeniak. Wiedział, że dziadek długo nie wytrzymał i musiał po niego jechać do Wandy.

Zajrzał do nowej kwatery Siwiaszczyka. Miękkie światło z przedpokoju oświetliło kapcie, obok których twardym

snem spał Bandit. David wsunął się głębiej, by upewnić się, że dziadek jest przykryty. Z zadowoleniem stwierdził, że poza kocem Bohdan ma dodatkową warstwę. Armour położył się na jego kolanach i wtulił w brzuch staruszka, a ten na wpół we śnie drapał go za ogromnym uchem. Zmrużył zielone oczy, jakby chciał przekazać, że czuwa i wszystko jest w porządku.

ROZDZIAŁ IX

7.01.2014, wtorek

Rano

Patrzył na wjeżdżającą na plac ciężarówkę. Prześlizgnął się wzrokiem po zawartości jej paki i poczuł ucisk w klatce. W tej czerwonej sylwetce zakłęte były marzenia o wielkiej motoryzacji. Pod maską drzemało serce, gotowe rwać do przodu na każdy zew przygody. Ale przestało bić i nic nie dało się zrobić. Dlatego pomyślał, że to jedyne słuszne miejsce dla jego przyjaciela. Może ktoś powiedziałby, że to tylko kawał blachy, ale Redfern wiedział, że triumph gt6, który towarzyszył mu od prawie piętnastu lat, był czymś znacznie więcej. Świadek porażek i wielkich sukcesów, niezawodny towarzysz, który nigdy o nic nie prosił, a dawał tak wiele.

Redfern patrzył ze smutkiem, jak Graham Bentley włącza coś przy budzie lawety i platforma z samochodem zaczyna się przechylać. Syn mechanika zjechał gładko na plac muzeum i triumph dotknął oponami betonu.

– Na moje oko to pan cierpisz – odezwał się kustosz, podchodząc do Redferna, kiedy już laweta minęła bramę muzeum i zniknęła za zakrętem.

– Wiem, że lepszego miejsca nie mogłem mu znaleźć. Dziękuję, że go przyjęliście.

– A pewnie – mruknął z zadowoleniem Ibrahim. – Tak jakby wrócił do domu rodzinnego.

– A skoro jesteśmy przy domach rodzinnych – powiedział inspektor, stając twarzą do mężczyzny. – Na moje oko ukrywa pan córkę.

– Nie mogłem postąpić inaczej – rzekł z przejęciem, które ścisnęło mu gardło. – Molly jaka by nie była... Kocham ją. Mamy tylko siebie.

– Wiem. Dopilnuję, by miała jak najlepsze warunki – zapewnił, choć wcale nie był o tym przekonany. Zastanawiał się, ile razy już w życiu skłamał, usprawiedliwiając się dobrem drugiego człowieka. Patrzył, jak przez drzwi sklepu wychodzi Summer, dając mu znać, że jest gotowa.

– Proszę pojechać z sierżant Winter. Będzie miał pan okazję pożegnać się z córką.

Ibrahim poszedł wolnym krokiem w stronę policjantki i po krótkiej rozmowie oboje zniknęli w drewnianym wnętrzu.

Redfern został sam ze swoimi myślami. Te skierowały go do wspomnień o matce, która go zostawiła, popełniając samobójstwo. Przez wiele lat służby spotkał na swej drodze rodziców, którzy poświęcili dla dzieci wszystko, ryzykowali więzienie jak Ibrahim. Byli też tacy, którzy tracąc dzieci, jak matka Nathana Wooda, trwali w letargu, bo wiedzieli, że mają jeszcze inne, którymi muszą się zająć. Nagle tknęło go

dziwne przeczucie. Zupełnie jakby myśli zderzyły się z przypadkowym obrazem, przywołał własne słowa. Obracał je w głowie, po czym doszedł do wniosku, że sprawa Palacza wskoczyła właśnie na właściwe tory.

Podszedł do samochodu, dzięki któremu rozwiązał tak wiele spraw, z którym przeżył ponad połowę życia. Wpatrywał się w cudem zdobyte chromowane listwy, które montował w pewne deszczowe popołudnie, podziwiał gniazdo zapalniczki zgrabnie wycięte zakupioną na wyprzedaży małą wycinarką.

– Będę cię odwiedzać, staruszkule – powiedział i poklepał czerwoną, jakby uśmiechniętą maskę, po czym odszedł, nie odwracając się.

Epilog

Trzymał przy uchu komórkę, czekając, aż mężczyzna odbierze. Po pięciu sygnałach rozłączył się. Nie był pewien, czy dobrze robi, niepokojąc Adekunle o tej porze. Możliwe, że miał dyżur w hospicjum albo po prostu śpi po ciężkim dniu wypełnionym opieką nad chorymi. Mimo to spróbował ponownie. Wreszcie usłyszał zdyszany głos pielęgniarza.

– O, pan Redfern – ucieszył się. – Przepraszam, ale byłem pobiegać. Zwykle nie biorę ze sobą komórki. Czy coś się stało?

– Nie wiem, ale muszę się upewnić.

– Proszę pytać – zachęcił mężczyzna.

– Rozmawialiśmy w pubie o napisie, który wszędzie rysował Adrian Bones. SW, prawda? – upewnił się Redfern i usiadł na łóżku. Bandit popatrzył na niego z wyrzutem i wyszedł z pokoju.

– W mojej ocenie to właśnie było SW – odparł Ade z całą stanowczością.

– A pamięta pan, jak miał na imię syn Beth Wood? Matki Nathana.

– Tak, miał na imię Steven. Steven Wood – pielęgniarz mówił coraz wolniej. – Boże, myśli pan, że chodziło o niego?

– Tak podejrzewam. Przy czym Steven Wood na tę chwilę pozostaje zaginiony.

PODZIĘKOWANIA

Będę szczerą. Nie załapałam się do Akademii Pana Kleksa, choć moje imię zaczyna się na „A” i, podobnie jak Niezgódka, zawsze miałam problem z oddawaniem na czas prac domowych. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim nie przyleciała do mnie także sowa z Hogwartu. Przejrzałam też kilka książek na strychu, ale żadna nie zaprowadziła mnie przed oblicze Cesarzowej, nie latałam na Falkorze. Pozostaje czekać na Gandalfa.

Zanim jednak to nastąpi, chcę wymienić tu kilka najbardziej magicznych postaci, które sprawiają, że żadna z fantastycznych krain nie ma do zaoferowania tyle, co oni.

Lista będzie długa i kompletnie w losowej kolejności.

Uwaga, zaczynam: Lena Rozenberg, Paweł Rozenberg, Mama i Tata, Adrian Kościelak i Stefan, Bartek Soczówka, Gosia Gostomska, Ewa Mhlanga, Marta Matyszczak, Marek Stelar, Robert Małecki, Beatka i Gieniu Dębscy, Maciek Siembieda, Hubert Gliński, Kamila Kołodziej-Chowaniec, Asia i Marcin Żyndowie, Darek Łubkowski, Magda Mazur, Krzysiek Żołądek, Robert Ostaszewski, Asia Chrzanowska, Asia Natańska, Ewelina i Marcin Szybiakowie, Justyna Bielecka oraz dziewczyny z Polish Women’s Network.

Dziękuję, że każde nasze spotkanie przechodzi do legendy, stając się siłą napędową każdej mojej literackiej przygody!

1 (z łac.) Twarde prawo, ale prawo.

2 Angielskie przysłowie: „Zastaw się, a postaw się” lub „Życie ponad stan”.

3 *Autostrada do piekła (Highway to Hell)*, AC/DC, album *Highway to Hell*, 1979 r.

4 *Schody do nieba (Stairway to Heaven)*, Led Zeppelin, album IV, 1971 r.

Spis treści

Prolog	7
Rozdział I. 30.12.2013, poniedziałek	10
Świt	1
Rano	1
Popołudnie	1
Wieczór	1
Rozdział II. 31.12.2013, wtorek	82
Rano	1
Popołudnie	1
Wieczór	1
Noc	1
Rozdział III. 1.01.2014, środa	122
Rano	1
Południe	1
Popołudnie	1
Wieczór	1
Rozdział IV. 2.01.2014, czwartek	138
Rano	1
Południe	1
Popołudnie	1
Rozdział V. 3.01.2014, piątek	171
Rano	1
Południe	1
Popołudnie	1
Wieczór	1
Noc	1
Rozdział VI. 4.01.2014, sobota	195

Rano	1
Południe	1
Wieczór	1
Rozdział VII. 5.01.2014, niedziela	219
Rano	1
Południe	1
Popołudnie	1
Wieczór	1
Noc	1
Rozdział VIII. 6.01.2014, poniedziałek	249
Rano	1
Południe	1
Popołudnie	1
Noc	1
Rozdział IX. 7.01.2014, wtorek	269
Rano	1
Epilog	272
Podziękowania	274
Przypisy	276